

STANISŁAW LEM

# ŚWIAT NA KRAWĘDZI

## POCZĄTEK PODRÓŻY

Te rozmowy przypominały żeglugę po wodach burzliwych i słabo oznakowanych, wędrówkę w gąszczu zmiennych i zaskakujących tematów, między przeszłością a przyszłością, tym, co prywatne, i tym, co publiczne.

Krawędź wieku, krawędź tysiąclecia — to tylko umowne granice, wynikłe z przyjęcia takiego, a nie innego kalendarza. Niezależnie jednak od sposobu odmierzania czasu, znaleźliśmy się na progu nowej epoki — epoki biotechnologii. Płyniemy z nurtem wielkiej rzeki ku nieznanemu oceanowi i znajdujemy się dopiero u początku podróży — mówi Stanisław Lem.

Świat rzeczywiście znalazł się na krawędzi. Przewidywania zawarte w *Summie technologicznej* zaczynają się spełniać. Nie potrafimy jeszcze określić zagrożeń, jakie nas czekają. Widać jednak wyraźnie, jak płynne są w dziedzinie inżynierii genowej granice między działaniami o charakterze terapeutycznym a tworzeniem nowych organizmów, jak rośnie odpowiedzialność człowieka, w którego ręce trafia moc decydowania o życiu i śmierci.

Każda nowa technologia rozpoczynała się od niepewnych prób, które często kosztowały wiele ofiar. Także i biotechnologia nie zdoła uniknąć takich zagrożeń, a kto sądzi inaczej, jest utopistą — uważa Lem. Kolizje z przyjętymi dotąd zasadami etycznymi i religijnymi są nie—

uchronne. Nie ma jednak odwrotu, a palisady paragrafów rychło zostaną przez rozwój nauki ominięte. Trzeba więc zachować zdrowy rozsądek, unikając też przesadnego optymizmu tych, co sądzą, że po przejściu zabagnionej sfery zagrożeń wyjdziemy na rozkoszny płaskowyż technobiologicznego raj. Lepiej patrzeć rzeczywistości prosto w oczy — sądzi pisarz — probierzem nowego czyniąc wrażliwe i niezawisłe sumienie.

Wspomniałem o *Summie technologicznej*; wymienić trzeba też inny tytuł, wydane niedawno *Okamgnienie*, konfrontujące wizje sprzed lat czterdziestu z obecnym stanem rzeczy. *Świat na krawędzi* dotyka podobnych problemów, ale przynosi też wiele szczegółów z biografii Stanisława Lema. O jej tle, którym jest historia mijającego stulecia, można dziś pisać zupełnie otwarcie, inaczej niż to było na początku lat osiemdziesiątych, kiedy Stanisław Beres nagrywał swe rozmowy z autorem *Summy*. Także i dlatego są to dwie różne książki.

Te rozmowy były dla mnie niezwykle przygodą. Mam nadzieję, że taką samą przygodą staną się i dla czytelnika.

*Tomasz Fiałkowski*

## ROZMOWA PIERWSZA

O pracowitym dzieciństwie, lwowskiej Arkadii i życiu poza czasem

— *Kiedy czyta się „Wysoki Zamek”, książkę o pańskim dzieciństwie, wchodzi się w obszar poza czasem i historią. Nie ma prawie odbicia wydarzeń zewnętrznych, jest zamknięty świat pasji dziecięcego bohatera. Czy to cecha właściwa odbiorowi rzeczywistości przez dziecko, czy też pańska szczególna właściwość?*

— Chętnie przyjmę, że nie jestem całkiem normalny. Opowiem anegdotę — późna sprawa, ale rzuca światło wstecz. Kiedy mój syn studiował fizykę w Princeton — spędził tam cztery lata — utrzymywałem z nim dość intensywną korespondencję. I on się skarżył matce w liście, że ojciec, zamiast pisać o swoim życiu wewnętrznym albo pytać o jego nastroje, pisze o galaktykach, o czarnych dziurach, o zakrzywieniu przestrzeni. Żona moja odpowiedziała mu: życiem wewnętrznym twojego ojca są właśnie czarne dziury i galaktyki. I naprawdę tak jest.

Tak jest też z moimi wynalazkami opisanymi w *Wysokim Zaniku* — a nie przyznałem się tam do

wszystkiego, nie chcąc robić wrażenia, że się chwale. Naprawdę wynalazłem mechanizm różnicowy, nie wiedząc, że jest już znany; parokrotnie w podobny sposób odkrywałem Amerykę. Stwarzałem też rozmaite zwierzęta. Nie konkurowałem z Panem Bogiem, tylko po prostu wymyślałem je, rysując w specjalnych zeszytach; wszystko to robiłem skrycie. I królestwo legitymacyjne z *Zamku* jest najświętszą prawdą, rzeczywiście stworzyłem je jako chłopiec, chociaż Sadkowski bodaj napisał, że to jakaś blaga. Nasze gimnazjum nosiło numer 560;

przedtem było to Drugie Gimnazjum imienia Karola Szajnochy. Cyfry na naszych tarczach zrobione były z cienkich srebrnych nitki, i ja naprawdę tymi nitkami zszywałem swoje legitymacje.

Miałem oczywiście kolegów, grałem z nimi w piłkę nożną, ale najważniejsze było moje życie wewnętrzne, którego z nikim właściwie nie dzieliłem. Nie miałem aż do samej matury żadnego romansu chłopięcego. Naturalnie spotykałem się z dziewczętami, chociaż wtedy nie było jeszcze koedukacji, ale — jak dziś przypuszczam — odstraszałem je, opowiadając im o gwiazdach. Inaczej nie umiałem, a gwiazdami interesowałem się bardzo.

Latem jeździłem przeważnie w góry. Moja najmłodsza ciotka wyszła za nauczyciela

gimnazjalnego. Żeby dorobić, co roku wynajmowała w Sokolem albo w Worochcie dom na cały okres wakacji i prowadziła w nim pensjonat dla młodzieży. Jeździłem tam i ja; rodzice byli radzi, że znajduję się pod opieką. Opieka polegała głównie na tym, że dostawałem podwójną leguminę, poza tym nikt się mną nie interesował. To było wspaniałe: Prut, wy

prawa na Howerlę. Słyszałem legendy o zmijach, które na Howerli żyć miały w wielkiej obfitości, ale daremne były moje poszukiwania — żadnej nie udało się znaleźć. Silne wrażenie zrobiła na mnie też pewna przejażdżka. Ogromna część Czarnohory była wtedy własnością barona Groedla. Prowadzono wyrąb lasu i pnie ostrugane ściągano kolejką wąskotorową. Kiedy ta kolejka wyjechała na górę, siadało się obok hamulcowego i zjeżdżało w dół stromymi serpentynami. Strasznie mi się to podobało. Krajobrazy w Karpatach były niezmiernie urokliwe, i tam powstały moje pierwsze wiersze — trudno sobie wyobrazić gorsze. „Nad górami zaś wynika szczyt Jawornika” albo historia o „wodospadziku—wodogrzmicu” i temu podobne okropności, które potem starannie przed światem ukryłem.

Nawet kiedy jako szesnastolatek byłem w Delatynie na obozie przysposobienia wojskowego — opisuję ten obóz w *Wysokim Zamku* — i po osiemnastu chłopca spaliśmy w namiotach, też się właściwie z nikim bliżej nie zaprzyjaźniłem. Jako podoficer dyżurny, nosiłem kolegom na przemian smalec, masło lub marmeladę. Przedwojenna marmelada była pakowana w pudełka z cienkiej jakby dykty, jabłkowa, pyszna i bardzo twarda. Kiedy się przychodziło do sierżanta sztabowego, odkrawał najpierw gruby kawałek dla siebie; ja w ślad za nim odkrawałem sobie kawałek nieco cieńszy i pozostałą część dopiero przekazywałem dalej. Uważałem, że mi się to należy, skoro jestem podoficerem służbowym. Karabiny mieliśmy poaustriackie, lebele z 1890 zdaje się roku, zupełnie rozkalibrowane; strzelało się na manewrach ślepakami. Pamiętam, że raz zerwali nas

o czwartej rano — to było w lipcu — i świat wydał mi się cudowny, obiecywałem sobie, że częściej postaram się go takim oglądać. Po powrocie do domu opowiedziałem o tym ojcu, a on na to: — Wiesz, nas też na manewrach zbudzono kiedyś o czwartej i też postanowiłem sobie, że często będę w przyszłości wstawał o tej cudownej porze — nigdy jednak tego postanowienia nie zrealizowałem...

— Ojciec pański służył w wojsku austriackim?

— Tak, podobnie jak ojciec mojej żony. Mój ojciec, jako lekarz, był oberarzem, a ojciec żony — kapitanem. Gdyby nie rodzina, która go fikcyjną depeszą z frontu włoskiego ściągnęła do domu, zginąłby niechybnie, bo okopy, gdzieś nad Piawą, w których jego oddział się znajdował, Włosi wkrótce zatopili. Straszne hekatomby się tam odbywały. Gdyby zaś poległ nad Piawą, ojcem przyszłej żony mojej nie mógłby zostać. Podobnie i ja wcale bym się

nie narodził, gdyby nie pewien żydowski fryzjer w małym miasteczku na Ukrainie, który się akurat napatoczył, gdy ojca mojego czerwoni prowadzili pod bronią, żeby go jako oficera rozstrzelać. Fryzjer znał ojca ze Lwowa, a tutaj golił miejscowego komendanta, i ten jego prośby o zwolnienie ojca wysłuchał. Działo się to oczywiście już podczas rewolucji, gdy pękła obręcz otaczająca obóz jeńców austriackich w Turkiestanie, dokąd ojca zawieziono po upadku twierdzy Przemyśl w 1915 roku.

Co zabawne, a zarazem trochę makabryczne: doktor Wolfgang Kraus, który na początku lat osiemdziesiątych zaprosił mnie z żoną do Wiednia, opowiadał nam, że on z kolei mógł przyjść na świat dzięki temu, że jego ojciec, austriacki oficer, w rosyjskiej niewoli zatrudniony przy wyrębie drzewa na Syberii, nabawił się podczas tej pracy nagniotków. Gdy czerwonoarmieści zatrzymali pociąg, którym z Syberii wracał, kazali pokazać wszystkim dłonie. Kto miał białe rączki — tego rozstrzelowano, kto miał na dłoniach modzele — ocalał. Dziwaczna to równoległość losów.

Ojciec opowiadał też, że za honorową postawę Rosjanie pozwolili im iść do niewoli z szablami u boku; na pierwszej stacji za Przemyślem już im jednak ten przywilej odebrano. W obozie w Turkiestanie przyczepił się do ojca piesek, który otrzymał imię Sralik — oficerowie spali we wspólnej sali i pies robił kupki pod wszystkimi łózkami, z wyjątkiem łóżka mego ojca. Kiedy ojciec wrócił do Lwowa, cesarstwo austro-węgierskie jeszcze istniało, i dostał Goldenes Verdienstkreuz am Bande der Tapferkeitsmedaille, czyli Złoty Krzyż Zasługi na Wstędze Medalu za Odwagę. Jako małe dziecko chętnie się nim bawiłem — pozwalano mi na to.

Po powrocie ojciec został asystentem profesora Jurasza, jednego z twórców polskiej otolaryngologii, na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Mam tu gdzieś świadectwo, szalenie pozytywne, jakie Jurasz mu wystawił.

— Ojciec studiował także we Lwowie?

— Tak, i studiował medycynę lat dziesięć. Zajmowały go bowiem inne sprawy: pisał i drukował wiersze i prozę. Pamiętam z dzieciństwa szufladę pełną wycinków z gazet z jego utworami — wcale się tym wtedy nie interesowałem. Po piątym czy szóstym roku studiów dziadek zawezwał go i powiedział: — Skoro już zacząłeś studia, trzeba je skończyć, potem możesz robić, co chcesz. Ojciec posłuchał, a kiedy już dostał się w tryby maszynierii szpitalno — klinicznej, nie próbował się z niej uwolnić, był zresztą lekarzem szalenie sumiennym. Panowała wtedy moda na tak zwane konsylia: do trudnych przypadków brało się co najmniej dwóch specjalistów. Ojca zawezwano do jakiegoś dziecka wraz z doktorem Mincerem, pediatrą, który i do mnie przychodził. Kiedy już po wyjściu stali na klatce schodowej, ojciec

zaczął dalej mówić o tym przypadku, a tamten na to: — Panie kolego, z chwilą kiedy zamykają się drzwi od mieszkania pacjenta, sprawa przestaje dla mnie istnieć, w przeciwnym razie dawno zachorowałbym na nerwy. Ojciec natomiast — pamiętam to dobrze — wstawał w środku nocy i dzwonił na klinikę (telefon mieliśmy 53 14, nie było ich wtedy wiele we Lwowie), żeby się dowiedzieć, jak się ma operowany, u którego przeprowadzono mastoidektomię, czyli doszczętne wydłutowanie tak zwanego wyrostka sutkowego przy muszli usznej.

Był znanym i dobrym specjalistą. Na półkach stała olbrzymia, kilkunastotomowa bateria poświęcona otolaryngologii. Z cicha gardziłem mało czcigodną dziedziną, jaką mi się wydawały choroby nosa, uszu i gardła — czymże są wobec reszty ciała! Zachwycaly mnie natomiast w atlasach anatomicznych kolorowe obrazy mózgu — poszczególne zwoje pomalowane były na różowo czy zielono, układały się niemal w tęczę. Bardzo się potem rozczarowałem, gdy w prosektorium zobaczyłem, że mózg wcale nie jest różowy ani zielony.

Ojciec był przy tym nerwowcem, może dlatego, że tyle pracował — bo i w klinice, i w kasie chorych, i praktykę miał w domu. Opowiadano, że gdy doktor Lem na trzecim piętrze krzyczy, wyrzucając pacjenta za drzwi, słychać nawet na dole. Miał rozmaite fobie: nie wolno było u nas palić węglem, tylko drzewem, bo tlenkiem węgla można się śmiertelnie zatruć. Nie życzył sobie, bym jeździł na rowerze, bo to niezdrowo. Niechętnie używało się aut; wynajmowaliśmy dorożkę. Do dziś nie mogę odżałować, że kiedy w gimnazjum urządzono wycieczkę do Paryża, ojciec mnie na nią nie puścił, uznając tak daleką podróż za straszliwie ryzykowną. Przed wojną nie byłem zresztą w żadnym większym mieście poza Lwowem — ani w Warszawie, ani w Krakowie. Może dlatego tak jestem do Lwowa przywiązany.

Ojciec sam także Lwowa nie opuszczał. Pamiętam, że jeden jedyny raz pojechał do Truskawca na kurację, ponieważ rozpoznano u niego kamień nerkowy — i przez cały czas pobytu w sanatorium rznął w karciecia. Bardzo zresztą chętnie ze znajomymi i wujkiem w karty grywał. Matka niezbyt była zadowolona, bo kiedy wujek przegrywał, nigdy przegranej nie płacił, tylko szła ona „na kredę”. Wszystko to jednak rozgrywało się ponad moją głową, sprawy rodzinne mało mnie interesowały i pamiętam z nich tylko strzępy.

— Pańscy rodzice poznali się po pierwszej wojnie światowej czy przed nią?

— To zabawna opowieść, którą usłyszałem późno. Rodzice zaręczyli się przed wojną; ojciec urodził się w 1879, matka w 1892. Kiedy ojciec trafił do niewoli, matka moja tak była niezadowolona z jego przedłużającego się pobytu w rosyjskim obozie jenieckim, że pojechała do Wiednia, do Katarzyny Schratt, przyjaciółki cesarza Franciszka Józefa, prosić, by cesarz ponad frontami zwrócił się do cara o zwolnienie mojego taty. Pani Schratt przyjęła matkę

bardzo grzecznie, ale oczywiście nic z tej audiencji nie wynikło. Ojciec zawsze bardzo śmiał się z tego, że jego narzeczona uznała sprawę ich zawieszonoego ślubu za tak ważną. W końcu wrócił jednak z Turkiestanu, nie zabili go też czerwonoarmiści, i ślub się odbył. Polska wybuchła przed moimi narodzinami. Przyszedłem na świat w tym samym mieszkaniu na Brajerowskiej, w którym mieszkali przedtem moi dziadkowie po mieczu. Zeszli z tego świata, nim się urodziłem, znałem ich tylko z fotografii.

— *A dziurka po kuli w szybie okiennej, o której czytamy w „Zamku”, pochodziła z roku 1918?*

— Tak, z czasu wojny polsko—ukraińskiej, kiedy Ukraińcy chcieli Lwów zawłaszczyć. Dowiedziałem się o tym oczywiście znacznie później — było to dla mnie coś w rodzaju historycznej legendy.

Przysłał mi niedawno Władek Bartoszewski dość poruszający niemiecki reportaż ze Lwowa i wschodniej Galicji. Lwów jest dziś porządnie podniszczony — zobaczyłem na fotografii, że wszystkie ulice śródmieścia są jak przed wojną wybrukowane kocimi łbami. Asfalt położono tylko na placu Mariackim, który się teraz inaczej nazywa — nie wiem i nie chcę wiedzieć jak. Z wycinka tego dowiedziałem się też, że moja Szkoła Powszechna imienia Żółkiewskiego nosi dzisiaj numer ósmy.

W szkole dostać można było tak zwane pace: niegrzeczne dzieci nadstawiały rękę i nauczyciel walił w nią linia na płask. Ja jednak nigdy nie byłem bity. Do pierwszej klasy w ogóle nie uczęszczałem; nauczycielka, panna Usarzówna, przychodziła uczyć mnie do domu. Podkochiwałem się w niej trochę. Miałem już siedem lat i byłem młodym człowiekiem zdolnym do wyższych uczuć. Co jeszcze pamiętam? Strasznie dużo czasu zajmowało klejenie ozdóbek na drzewko, bardzo wcześnie zaczynało się to robić.

Od urodzenia mieszkałem więc na Brajerowskiej. Kiedy stałem się już pisarzem tak znanym, że moja sława i chwała sięgnęła Ukrainy, jakiś Ukrainiec z Kijowa, który szczególnie ukochał moją twórczość, pojechał specjalnie do Lwowa, sfotografował kamienicę na Brajerowskiej od zewnątrz, a następnie wdarł się do środka i uwiecznił na kliszy wszystko, co opisałem w *Wysokim Zamku*, między innymi sufit, na którym znajdują się stiuki w kształcie dębowych liści z żołędziami — ich obraz stanowi najwcześniejsze moje wspomnienie, patrzyłem na nie bowiem z mojego łóżeczka. Dziwnie mi było oglądać te fotografie i te kruche stiuki, które przetrwały wszystko — i wojnę, i nadejście Sowietów... Drzewa tylko na ulicy kolosalnie się rozrosły.

Pamiętam tamte czasy jako epokę betonowego, niewzruszonego ładu, i *Wysoki Zamek* opromieniony jest takim klimatem — nie ma tam przy tym żadnego szczegółu, żadnego faktu,

który byłby zmyślony. Zdaję sobie oczywiście sprawę z mojej naiwności dziecięcej, która pozwalała mi tak świat postrzegać. Kres temu przyjść musiał. Miałem świnkę glinianą i do tej świnki wkładałem oszczędności. Kiedy się dowiedziałem, że wybuchła wojna, rozbiłem ją i za złoty sześćdziesiąt kupiłem dwie czekolady, większą i mniejszą — żeby mieć zapas na czas wojny. Po czym jednego dnia obie czekolady zjadłem...

Jeden z moich felietonów w *Lubych czasach* nosi tytuł *Z żabiej perspektywy* — dzieciństwo naprawdę taką perspektywę daje. Obok naszego gimnazjum stała i stoi do dzisiaj stara prochownia z szesnastego wieku. Codziennie ją mijałem, wcale jednak jej nie zauważając. Z ulicy Ruskiej wychodziło się na kamienne lwy przed Ratuszem, obok przy Rynku jest słynna Czarna Kamienica — w ogóle nie zdawałem sobie sprawy, że stanowi ona tak czcigodny zabytek; nic a nic mnie to nie obchodziło.

Tramwaj „czwórka” omijał nasze gimnazjum i wjeżdżał Teatyńską do góry, a tam gdzie stawał, był już park, w którym wznosił się Wysoki Zamek i skąd był wspaniały panoramiczny widok na krajobraz miejski Lwowa. Jak się wracało do domu, to się szło najpierw przez ulicę Ruską, potem schodziło się na dół, gdzie była kawiarnia „Wiedeńska”, skręcało się w bok, można było iść przez plac św. Ducha, gdzie wznosiła się główna w mojej pamięci budowla, to znaczy kiosk z chałwą pana Kawurasa. Rozterki przy wystawie tego kiosku przeżywane opisałem w *Wysokim Zamku* i tkwią one w mojej pamięci głęboko. Niedawno w hipermarkecie Carrefour zobaczyłem kilogramowe paczki chałwy wytwórni Goplana, serce we mnie zamarło i kilkakrotnie wracałem w to miejsce, jak do świętej relikwii, bo przecież wiedziałem, że na chałwę pozwolić sobie dzisiaj nie mogę ze względu na zdrowie...

Trasa biegła dalej przez Legionów, w perspektywie było widać teatr, którego krakowski „Słowacki” jest tylko małą kopią. Przechodziło się przez Jagiellońską, gdzie mieszkała moja ciotka, matka Hemara. Z ciotką tą łączą mnie dwa straszliwe wspomnienia. Raz, kiedy wszedłem przez bramę, zaatakował mnie na podwórzu olbrzymi gulgoczący indyk, nie wiem, dlaczego — i uciekłem. Innym razem przeżyłem u niej znaczne rozczarowanie. Ciotka miała w mieszkaniu to, co się po niemiecku nazywa *eine feine Stube*, czyli salon, do którego nikt nie wchodził, posadzka jak lustro wyglansowana, meble w białych pokrowcach, a na wspaniałym kredensie wielka misa pełna kolorowych marcepanowych owoców. Kiedy raz się tam wkradłem i usiłowałem te owoce nadgryźć, o mało nie połamałem zębów, gdyż czas odmienił zawartość misy w skamielinę. Było to jedno z większych rozczarowań mojego życia. Między mną a Hemarem była różnica dwudziestu paru lat: ja byłem szczeniakiem, on dorosłym człowiekiem i mieszkał w Warszawie.

Pamiętam tylko, że kiedy na pętli ulic Pełczyńskiej, Stryjskiej i Kadeckiej odbywały się wyścigi samochodowe — szyny tramwajowe zalano nawet gipsem — Hemar też w nich startował, w samochodzie Bugatti, i zajął miejsce przedostatnie.

Wyjeżdżaliśmy za miasto do ogrodu pana Ruckiego. Syn pana Ruckiego kilkadziesiąt lat później z drugiego końca Polski napisał do mnie, aby mi podziękować, że wspomniałem jego nazwisko w *Wysokim Zamku*. Z restauracji ogrodowej Ruckiego pamiętam cztery ciekawe rzeczy. Po pierwsze, kręgielnię: kule były tak wielkie, że miałem nie lada trudności z ich ujęciem. Po drugie, olbrzymią huśtawkę, w której siedziało się w czymś w rodzaju wielkiej łodzi. Po trzecie, gąszcze malinowe tak przerośnięte pokrzywami, że do tej pory jestem zdziwiony, kiedy widzę maliny, które wcale nie parzą. Po czwarte wreszcie, sadzawkę, w której łowiłem ryby. Raz złowiłem rybkę wielkości palca, ale zrobiło mi się jej żal i z powrotem wpuściłem ją do wody. Nasz dorożkarz, z którym te wyprawy odbywaliśmy, nazywał się Kremer; dojechawszy na miejsce, odpręgał konia, zamiast siodła kładł pled czy sukno, i jeździłem trochę konno.

Uczniów naszego gimnazjum najpierw nazywano kanarkami, bo nosiliśmy czapki rogatywki z żółtymi otokami, jak żandarmeria, potem zmieniono je na okrągłe maciejówki z niebieską wypustką. Tarcza z numerem 560 powinna była być mocno przyszyta — koledzy nosili ją na szpilce, a dyrektor kontrolował. Matka moja starannie tarczę przyszywała, mowy nie było, żeby ją zdjąć. Po co zresztą się ją zdejmowało — do dziś nie wiem. Nie dowiedziałem się też nigdy, po jakich występnych szlakach krążyli moi koledzy, wychowywano mnie bowiem w typowo przedwojenny sposób. Nie wolno się było na przykład odzywać przy stole jadalnym, nie do pomyslenia było, by dzieci mówiły i robiły, co chciały, nawet szpinak trzeba było jeść...

Były we Lwowie niezwykle atrakcje, przynajmniej dla dziecka. Po pierwsze — Panorama Raławicka. Po drugie — Targi Wschodnie. Czuło się na nich oddech Europy, ale myśmy z kolegami biegali tam głównie po to, by się napić darmowego rosolu Maggi i pozbiierać możliwie wiele reklamowych druków. Wspomnienia dzieciństwa mają magiczną aurę, podobnie jak pierwsze wierszyki, których się nauczymy. Próbowaliśmy niedawno z żoną przypomnieć sobie wierszyki Porazińskiej — „Jedna wrona bez ogona, druga wrona bez ogona...”, i ten o wróblu na kalenicy, do którego kot włazi — miały one niewątpliwie charakter magicznej inkantacji, choć dziś się je czyta jak zwyczajne rymowanki.

Wiele z tego, co się w naszym gimnazjum działo, wydawało mi się na bardzo wysokim poziomie. Pamiętam do dzisiaj, jak profesor Lewicki włożył do słoja wypełnionego tlenem tłący się pręt i pręt ten wybuchnął płomieniem. Pamiętam też, jak sól wyciągnięty

bodaj z oliwy zapalał się żywym ogniem. W pięknym gabinecie profesora geografii Nawrockiego znajdował się straszny przedmiot: sporej wielkości globus, cały czarny, na którym trzeba było kredą zaznaczyć zarysy kontynentów, wskazać najważniejsze miasta czy rzeki. Było to dość okropne — ja jednak dawałem sobie jakoś radę, ponieważ pilnie, choć na wyrwyki, kartkowałem przywleczoną do domu od wuja adwokata dwudziestotomową niemiecką encyklopedię Brockhousa, drukowaną szwabachą, i choć z tekstu nic prawie nie rozumiałem, studiowałem ilustrujące ją sztychy i mapy.

W gimnazjum czytałem po raz pierwszy Grabińskiego opowieści o duchach, które na mnie straszne wywarły wrażenie. Chyba z tymi lekturami wiąże się dziwne zdarzenie, które zostało mi w pamięci. Rodzice wynajmowali w Teatrze Wielkim łożę na pierwszym piętrze i chodzili na przedstawienia, ja zaś zostawałem w domu i odrabiałem szkolne zadania. Któregoś razu, siedząc nad zadaniami, usłyszałem głos matki dobiegający z pokoju rodziców, który znajdował się za moimi plecami; drzwi były uchylone, w środku ciemno. Odpowiedziałem automatycznie i nagle się zorientowałem, że przecież jestem w mieszkaniu sam. Bardzo się przestraszyłem, pomyślałem, że to jakiś znak, i natychmiast pognałem do teatru. Była może dziewiąta, może pół do dziesiątej. Wpadłem do łoży, rodzice się przelekli: — Co się stało? — Słyszałem głos. — A wszedłeś do pokoju? — Wszedłem, zapaliłem światło, i nikogo tam nie było. Musiała to być halucynacja, choć nigdy, ani przedtem, ani potem, nie miałem podobnych objawów.

— A czy w pana rodzinnym domu czytywało się na przykład „Wiadomości Literackie”?

— Owszem, ciekawiły mnie zwłaszcza konkursy, które na ostatniej stronie urządził Marian Eile. Kupowało się czasami „Cyrulika”, tygodnik „As” i chyba prenumerowało się „Gazetę Polską”, bo to była gazeta rządowa. Z gazet miejscowych — „Wiek Nowy”. Ja, prawdę powiedziawszy, czytałem wszystko, co mi wpadło w ręce. Naprzeciw naszego domu znajdowała się wypożyczalnia książek „Ewers”, podobna trochę do krakowskiej wypożyczalni na św. Jana. Postępowałem w niej systematycznie, wypożyczając książki od lewej ku prawej. Jak się coś okazywało mało interesujące, oddawałem na drugi dzień. Znano mnie tam dobrze, mogłem więc brać książki hurtem, na przykład Karola Maya: *Przez pustynię. Przez dziki Kurdystan, Przez kraj Skipetarów*, i tak dalej. Zaglądałem też do strasznych ówczesnych pornografii, jak Pitigrilli, ale wydawały mi się potwornie nudne.

— ***Było tego wtedy sporo: Pitigrilli, Dekobra...***

— Tak, tak. „*Madonna sleepingów*” to powieść niedobra. Napisał ją kiedyś Maurycy Dekobra”. *Madonny sleepingów* akurat nie czytałem, na erotycznie podbudowaną literaturę

byłem zresztą zupełnie niewrażliwy — i to mi w gruncie rzeczy zostało. Eddington, którego zresztą też w wypożyczalni „E-wers” odkryłem, wewnętrzna budowa gwiazd — proszę bardzo, ale Dekobra? Po co?

— *Znał pan „Bibliotekę Wiedzy” Trzaski, Everta i Michalskiego? Alexis Carrel, Paul de Cruif...*

— Naturalnie, ale jeszcze lepszą serią była „Mathesis Polska”. Poza tym strasznie ciągnęło mnie do historii techniki: montgolfiery, początki lotnictwa, Otto Lilienthal, bracia Wright. Z niezmierną szczegółowością ją studiowałem. Miałem też słabość do chodzenia na tandetę i nabywania starych, częściowo już rozpadających się przedmiotów, takich jak magneto samochodowe, stare iskrowniki, szpulki z nawiniętym drutem, cewki. Diabli wiedzą, po co — ale lubiłem to bardzo. Przywleczone do domu części służyły mi do budowy rozmaitych urządzeń. Ojciec kupił mi zresztą, z drugiej ręki, zestaw do budownictwa metalowego. Strasznie kochałem wyładowania elektryczne: zrobiłem cewkę Ruhmkorffa, zrobiłem transformator Tesli... Kupiłem sobie niemiecką książkę *Elektrotechnisches Experimentierbuch*, wydrukowaną szwabachą, i w pocie czoła, ze słownikiem w ręku przedzierałem się przez nią jak przez dżunglę. Do manii moich w tamtym czasie należało robienie w domu doświadczeń chemicznych. Spaliłem częściowo parapet okienny, miałem też nadzieję, że nalot, który osiadał na elektrodach, kiedy przepuszczałem prąd przez roztwór nie pamiętam już czego, okaże się substancją, której nikt dotąd nie odkrył.

Miałem więc — jak już w *Wysokim Zamku* napisałem — dzieciństwo niezmiernie pracowite. I co charakterystyczne: wszystkie te skomplikowane działania podejmowałem sam. Nie odczuwałem potrzeby, aby w pracy towarzyszył mi rówieśnik, miałbym wtedy raczej, jak dziś przypuszczam, wrażenie, że on mi przeszkadza.

— Chciał pan być samotnym Kreatorem?

— Chyba tak, byłem absolutnie samowystarczalny. Co więcej, z moimi legitymacjami kryłem się przed światem i przed rodzicami, i przed kolegami, bo czułem, że mnie wyśmieją. Nie znaczy to, że nie brałem udziału w szkolnych zabawach: ot, dwóch chłopców się zmaśniało i wychodzili z klasy rzekomo za potrzebą, a w rzeczywistości w przedśionku ubikacji rzucali monetami, tak by jedna drugą przykryła. Grało się w guziki, w okręciki papierowe, dmuchało się w ich żagle, by przeszły przez linię przeciwnika. Serca jednak do tego specjalnie nie miałem.

Prawie w każdą niedzielę przychodziło do nas niewielkie grono — mój wujek, znajomi doktorostwo, którzy potem wraz z nami przyjechali do Krakowa i z ojcem grali albo w bridża, albo w pokera. Owszem, terminy, jakich używali, pamiętam — sama jednak gra

wydawała mi się zawsze śmiertelną nudą. Nie mam najmniejszego pociągu do kart, a wszelki hazard jest mi z natury obcy. Dobrze, mogę wygrać — ale po co mi jakieś wygrane? A jeśli przegram, dlaczego mam komuś płacić? Po latach, w Wiedniu, w trafice, do której zachodziłem po „Heralda”, kupiłem los loteryjny. Kosztował dziesięć szylingów. Otwarłem go i dowiedziałem się, że wygrałem... dziesięć szylingów, czyli zwrócono mi poniesione koszty. Wcale się jednak do kolektury nie pofatygowałem.

— *Zwykle chłopięce zabawy nie były panu jednak całkiem obce?*

— Jak wszyscy chłopcy, lubiłem na przykład puszczać kaczki, czyli te płaskie kamyki na wodzie — tylko, niestety, nie mogłem się nauczyć pływać. Ojciec wynajął pana, który uczył mnie tej umiejętności, trzymając na specjalnej wędce. Póki znajdowałem się na uwięzi, pięknie pływałem żabką, ale uwolniony, natychmiast skosem w dół szedłem na dno. Nie wiem, dlaczego. Strzałę potrafiłem zrobić na osiem metrów, ale jak tylko zaczynałem poruszać rękami i nogami, kończyło się to fatalnie.

Nauka odbywała się na kąpielisku, nigdy jednak nie przyniosła spodziewanego efektu. Znacznie wcześniej, kiedy jeszcze byłem całkiem mały, chodziłem z matką na tak zwaną Żelazną Wodę. Były tam oddzielne baseny dla mężczyzn i dla kobiet. Małe dzieci, takie jak ja, mogły się kąpać z kobietami. Siedziałem na brzegu, trzymając moją trzciniową laseczkę, sąsiadka nasza tak długo za tę laseczkę pociągała, aż zsunąłem się i wpadłem do wody. Pamiętam, że zrobiło się zielono, potem ciemno, potem już zupełnie nic. Wyciągnięto mnie za nogi, wytrząsano ze mnie wodę, robiono mi sztuczne oddychanie. Nie było to przyjemne.

Pamiętam epokę, w której pojawiły się dorożki mechaniczne — dwucylindrowe tatry z silnikami chłodzonymi powietrzem nad każdym przednim kołem. Steyery z kolei miały chłodnice w kształcie dziobu okrętowego. W 1938, kiedy skończyłem szesnaście lat — w Polsce można już było w tym wieku dostać zielone, czyli amatorskie, prawo jazdy — ojciec wpisał mnie na kurs. Prawo jazdy zdobyłem na kilka miesięcy przed wybuchem wojny i nie miałem okazji, by się nim wtedy nacieszyć. A dosłownie na sześć tygodni przed wojną, na strzelnicy, która znajdowała się na zakręcie, gdzie „czwórka” jechała na Wysoki Zamek, wystrzelałem złotą odznakę strzelecką. Wkrótce potem wszystko się skończyło, i Polska także... Wtedy jednak nie mogłem się spodziewać, że niedługo będę biegał po Ogrodzie Jezuickim i zbierał tak zwane zegary ze szrapneli, jeszcze gorące od wybuchu. Wiedziałem niby, że od tego można zginąć, ale bardzo mi na nich zależało. Jak się ma kilkanaście lat, człowiek jest nieśmiertelny.

— *W „Wysokim Zamku” wspomina pan pewien moment, gdy już przed wojną spotkał się pan z Historią — myślę o pochodzie robotników po śmierci Kozaka,*

***przeciągającym pod oknami kamienicy.***

— A tak, ojciec mój gniewał się wtedy na mnie trochę, bo ja ten pochód filmowałem. Ojciec kupił mi kamerę filmową, Cinekodak 8. Naświetloną rolkę wysyłało się do Warszawy, w jej cenę — 10 złotych — wliczony był już koszt wywołania i odesłania. Z naszego balkonu robiłem zdjęcia ulicy Kazimierzowskiej dokładnie w chwili, kiedy wzburzeni robotnicy ściągali za nogi policjanta z konia. Raz jeden i do naszego mieszkania wszedł policjant — zdarzyło się to, gdy pacjentce mojego ojca ukradziono futro, które powiesiła na wieszaku w naszym przedpokoju, i policjant ów spisał protokół, poza tym jednak obowiązywała zasada: *my home is my castle*. Później dopiero pojawili się jacyś enkawudyści, jacyś Niemcy, włąził każdy, kto chciał...

Jest jeszcze jedno ważne zdarzenie z mojego dzieciństwa, choć niechętnie o nim mówię. Dostałem kiedyś piękną niemiecką czterowagonową kolejkę elektryczną; znakomicie działała! Wkrótce rozpoczęła się niemiecko-polska wojna celna i kupić cokolwiek w Niemczech było bardzo trudno. Pewien znajomy rentgenolog sprowadzał z Niemiec zakupioną tam aparaturę rentgenowską. Wewnątrz tej aparatury ukryto części do mojej kolejki, które sam wybrałem z katalogu: dwa wagony towarowe i maleńką kasę drukującą bilety. Tymczasem drab rentgenolog uznał, że to są upominki dla niego — i nigdy ich nie oddał! Długo nie mogłem przeboleć, że tak plugawie zachował się wobec niewinnego dziecka; nawet wtedy, gdy ojciec uznał, że jako szesnastolatek jestem już za stary, by bawić się kolejką elektryczną, i oddać ją musiałem dziecku wujka.

— ***Wspomniał pan o studiowaniu encyklopedii Brockhousa i niemieckiej książki o elektrotechnice; a czy w gimnazjum były lekcje niemieckiego?***

— Były. Mieliśmy najpierw profesora Rollauera — po wkroczeniu Niemców został Reichsdeutschem — potem Ukraińca, profesora Turczyna; miał troszkę twardy akcent, ale był dobrym germanistą. Rollauer nauczył naszą klasę żydowskiego wierszyka, do dziś go pamiętam: *Awrum Itzik, giter tencer, hat er sich gemacht a rojten szpencer. A rojten szpencer hat er sich gemacht, und hat getanct die ganze nacht*. Wybijał palcem po katedrze rytm, a myśmy deklamowali.

— ***Dlaczego uczył was tego wierszyka?!***

— To był czas dość oryginalnych profesorów; takich, o jakich w *Zmorach* sporo pisał Zegadłowicz. Nie lubię tej powieści, ale wiele w niej obserwacji prawdziwych.

— ***Ukraińskiego też pana uczono?***

— Tak, robił to także Turczyn. Wśród uczniów krążyły rozmaite żarty, na przykład: *Czetyre perioda ukraińsko] literatury — perszyj buł, ale zahynuł, druhoho ne buło, tretyj*

*Szewczenko ta Iwan Franko, a czwartyj budę.* Niewątpliwie kryła się w nich złośliwość w stosunku do Ukraińców. Wśród uczniów byli zresztą Ukraińcy, to było przecież rządowe gimnazjum. Miśku Wołk siedział koło mnie w ławce. Zawsze jednak rozmawialiśmy po polsku. Ani jeden z Ukraińców nie odezwał się w szkole po ukraińsku poza godzinami ukraińskiego. Miśku pierwszy raz zwrócił się do mnie po ukraińsku, kiedy go spotkałem na ulicy po przyjsciu Sowietów. Zdumiało mnie to tak, że zapytałem: — *Ty szew, zduril?* Wtedy obowiązywało już hasło: *Ukraińsko misto Lwiw buto, je i budę radianske.* A kiedy Ukraińcy studiujący za sowieckich czasów medycynę mówili, że coś tam jest *sowičke*, poprawiano ich: *ne sowičke, a radianske.*

W gimnazjum jednak ta odmienność zaznaczała się dopiero na lekcjach religii — wtedy widać było, kto, będąc grekokatolikiem, wychodzi z klasy. Na co dzień nie zwracało się na to uwagi, wszyscy mówili po polsku. Wiedziałem oczywiście, że mój profesor matematyki Zarycki jest Ukraińcem, ojcem dziewczyny, która brała udział w zabójstwie ministra Pierackiego i dostała za to bodaj siedem lat — ale nie wywoływało to sensacji. Trochę jak w anegdocie o dwóch dyrygentach wielkich orkiestr, sowieckiej i amerykańskiej. Spotykają się i dyrygent sowiecki mówi: — U mnie w zespole jest tylu i tylu Żydów, a u was? — Amerykanin na to: — Ja nie mam pojęcia, nigdy mnie to nie interesowało!

W pamięci znajduję jeszcze kilka nazwisk z mojego grona pedagogicznego. Dwóch dobrych łacinników, Auerbach i Rappaport, obaj zabici zostali przez Niemców — Rappaport był łagodnym staruszkim, za to Auerbach wydawał mi się bardzo groźny. Wspomniany już profesor fizyki, Lewicki, któremu podpowiadałem temperaturę zamarzania rtęci; sześć razy mu podpowiedziałem, aż wreszcie dał mi porządnie po głowie, żebym przestał. Pani Maria Lewicka, polonistka, nie mająca z Łowickim poza nazwiskiem nic wspólnego, która nigdy nie dawała mi skończyć moich wypracowań na wolne tematy i wypisywała o nich na pół strony różne wspaniałe rzeczy. Dyrektorem był Stanisław Buzath, który prosił przed śmiercią, by jeśli Lwów będzie znowu polski, przyjść nad jego mogiłę i cicho mu o tym powiedzieć. Profesor Starzewski, komendant hufca harcerskiego. Nauczyciel gimnastyki, oficer rezerwy Kajetan Janowicz. Mieliśmy też wśród grona pedagogicznego rozmaitych artystów — jeden się nazywał Knobloch, od tak zwanych robót ręcznych. Oczywiście katecheta. Czy jeszcze ktoś? Nie pamiętam.

— ***Zapytani, jak ów sowiecki dyrygent: jakie były proporcje narodowościowe wśród uczniów?***

— Na trzydziestu chłopców mniej więcej jedna czwarta albo jedna piąta to byli Żydzi, dwie albo trzy piąte Polacy, reszta Ukraińcy. Tak mi się dzisiaj zdaje — dokładnie powiedzieć

nie potrafię. Wojna doprowadziła do zerwania wszelkich kontaktów. Niedawno przyjechał z Ameryki jakiś nie znany mi bliżej człowiek, który za oceanem prowadzi wytwórnię sprzętu medycznego, i koniecznie chciał się ze mną zobaczyć; powoływał się na czasy gimnazjalne. Nie poszedłem na to spotkanie; nie przypomniałem sobie, o kogo chodzi, a sztuczne, po sześćdziesięciu latach, ożywianie zamarłych kontaktów wydaje mi się pozbawione sensu. Nasze drogi zupełnie się rozeszły. Owszem, pamiętam, że jeden z kolegów Ukraińców pożyczył ode mnie *Komizm* Bystronia i nigdy nie oddał — do dziś żałuję, bo było to przedwojenne wydanie, a wznawiając tę książkę po wojnie, szereg rzeczy usunięto.

— *Czy świadom pan był, czym dla Ukraińców jest cerkiew Świętego Jura, gdzie miał swoją siedzibę metropolita Szeptycki?*

— Tak, ale jej nie odwiedzałem. Co niedzielę spacerowaliśmy z ojcem aleją Mickiewicza od Brajerowskiej w górę, aż do murów otaczających Jura — ale do środka nie wchodziliśmy. Wiem, że gdy za niemieckiej okupacji zaczęły się polsko–ukraińskie rzezie, kiedy to polskie podziemie zastrzeliło mojego profesora fizyki Łastowieckiego, a Ukraińcy odpowiedzieli zabójstwem histologa profesora Bolesława Jałowego, wtedy czołowy polityk ukraiński Pańczyszyn schronił się u Jura właśnie — i tam umarł na serce. Aż trzech ukraińskich lekarzy podpisało akt zgonu, żeby tej śmierci nie uznano za dalszy ciąg polsko–ukraińskich porachunków.

— *W felietonach wspomina pan, że studiując podczas wojny medycynę, przygotowywał się pan do egzaminów na Cmentarzu Orląt — a czy w czasów gimnazjalnych też pan chodził na ten cmentarz?*

— Naturalnie, ale najlepiej pamiętam go właśnie z lat wojny, łącznie z napisami na niektórych nagrobkach, nie żebym się ich specjalnie uczył, tylko dlatego, że tyle tam godzin spędziłem w piękne dni słoneczne. Lubiłem tam chodzić, choć sentencja na kolumnadzie — *Mortui sunt, ut nos liberi vivamus* — brzmiała za sowieckich czasów jakoś szyderczo... Chętnie siadywałem przy grobie, na którym umieszczono wiersz:

„Na wiosny idącej gody  
Ciężki ująwszy swój młot  
Wykuję jeden dzień młody  
i jeden najwyższy lot”.

Zapamiętałem też kamienną wnękę ze śmigłami: leżeli tam podobno amerykańscy lotnicy, którzy spieszyli na odsiecz Lwowa. Czy rzeczywiście — nie wiem, dla mnie była to

zamarła i zastygła w kamień historia. Kiedy wyjeżdżałem ze Lwowa, Cmentarz Orłąt był jeszcze nietknięty, nikt nie wpadł na tak świetną myśl, by prowadzić walkę z nieboszczykami. O późniejszym jego losie tylko czytałem, nie chciałem go oglądać, tak jak nigdy nie chciałem odwiedzić powojennego Lwowa. Wiele już razy tłumaczyłem, dlaczego. Nie chodzi o kultywowanie jakichś antyukraińskich resentymentów. Kiedy zwróciło się do mnie ukraińskie wydawnictwo „Kameniar” — „Kameniar” to zdaje się z wiersza Iwana Franki — o prawo do publikacji jednej z moich książek, ale bez honorarium, bo nie mają pieniędzy — zgodziłem się. Podobnie jak redaktor Giedroyc, uważam, że Ukrainę trzeba wspierać, bo jej niepodległość jest jedną z gwarancji naszej niepodległości.

— *Zbliżała się wojna — czy miał pan poczucie zagrożenia? Czy dostrzegł pan słabość państwa?*

— Miłosz w swojej *Wyprawie w Dwudziestolecie* zawiesił bardzo dużą liczbę zdechłych psów na Drugiej Rzeczypospolitej. Być może wynika to z różnicy pokoleniowej między nami — bo to jest różnica, czy się ktoś urodził jak ja w 1921, czy jak on w 1911 — ale moje wspomnienia z tamtych lat są odmienne. Ja sobie w ogóle nie wyobrażałem, że może istnieć inna rzeczywistość: dziecko wrasta w krajobraz, w którym się wychowuje. Chyba dopiero podczas obozu przysposobienia wojskowego w Delatynie spotkałem się z prawdziwą przedwojenną nędzą: dziewczynki huculskie za pięć groszy albo za pajdę chleba wypełniały litrową menażkę wojskową poziomkami leśnymi. Sporo trzeba się było napracować, żeby ich tyle nazbierać.

Przygotowywano nas niby do wojny; wachaliśmy w probówkach trujące gazy. Nikt nam jednak nigdy nie powiedział, że istnieje coś takiego jak czołgi. Ale też i nie mieliśmy tych czołgów! Kiedy Cat–Mackiewicz zwrócił się do premiera w „Kurierze Wileńskim”, żeby Polska wystawiła jeszcze jedną prawdziwą dywizję pancerną, to Sławoj–Składkowski szybko wsadził Cata do Berezy. Czołgów nie było, za to mieliśmy dwóch potężnych przeciwników.

Niedawno czytałem, w jaki sposób nasz Korpus Ochrony Pogranicza został 17 września nieprawdopodobną przewagą sowiecką zmiażdżony. Jak oni się we wszystkich strażnicach bronili, ile to istnień ludzkich kosztowało — i wszyscy o tym później zapomnieli! Trudno się zresztą dziwić, niewola była zbyt straszna. Dobrze jednak, że losy tych żołnierzy przypomniano, anonimowe i tragiczne bohaterstwa też powinny być pamiętane. Łatwiej mi jakoś pogodzić się z myślą, że zostaliśmy pokonani, trudniej z tym, że tak nas uderzono nożem w plecy.

Moje wspomnienia z okresu lwowskiego dzieciństwa i młodości tym się przede wszystkim odznaczają, że nie mogę patrzeć na to, co się wtedy we Lwowie i w Polsce działo,

oczami człowieka dorosłego. Mnie się wtedy na przykład szalenie podobała Wesoła Lwowska Fala, Tońcio, Szczepcie i radca Strońc. Obawiam się, że dziś byłbym mniej zachwycony. Tamten świat był mi dany jak ziemia, jak coś, co stanowi ostateczne, trwałe ugruntowanie wszystkiego — i w naszych oczach uległ zmiżdżeniu dwustronnemu. Fakt, że w tak podły sposób dobili nas Sowieci, kiedyśmy się pod nawalą niemiecką znajdowali, sprawia, że wątroba mi się przewraca. Nie chcę się do Prometeusza przyrównywać, ale tak jest.

To, co człowiek wyczytał o historii z książek, zawsze jest przepuszczone przez filtr druku, przez martwą literę. Natomiast wydarzenia, które się samemu przeżyło albo które się widziało, nabierają zupełnie innej jakości. Różnica jest fundamentalna. Tragedię powstania styczniowego, pokazaną na przykład w *Wiernej rzece* Żeromskiego, ogarniam rozumem, ale mnie ona zbyt silnie nie porusza. Inaczej z takim wspomnieniem: rozpoczęło się już bombardowanie lotnicze Lwowa, stałem na balkonie na Brajerowskiej, chłopiec po maturze, i widziałem, jak naszą ulicą przejeżdżają furgony z górą trupów. Pierwszy raz widziałem wtedy trupy. Pamiętam dygoczące od wstrząsów furgonu ciała, uda kobiet zabitych przez bomby niemieckie. To są rzeczy, których już do śmierci nie można zapomnieć. Jest bowiem rzeczą dość okrutną, że pamięć nasza nie podlega aktom woli. Nie mogę zapamiętać dokładnie tego, czego bym sobie życzył, a innych obrazów wymazać.

## ROZMOWA DRUGA

O dwóch okupacjach, wojennej pamięci i rzeczywistości w rozpadzie

— Wybuchła wojna i nagle zostaje pan mieszkańcem Lwowa sowieckiego.

— Najpierw pod Lwów podeszli Niemcy. Z cmentarza ostrzeliwała się polska policja, a w kamienicy na Brajerowskiej 4 pojawił się oddział, którego dowódca oświadczył, że na naszym balkonie postawią karabin maszynowy i zrobią z mieszkania coś w rodzaju szańca: „Już w gruzach leżą Maurów posady, naród ich dźwiga żelaza...” Siedziałem trochę z tymi żołnierzami na dole, piastując ręczną korbę od syreny przeciwlotniczej, a oni dawali nam kostki kawy zbożowej z cukrem, znane mi jeszcze z obozu w Delatynie. Moja matka bardzo się jednak przelęknęła i wyruszyliśmy do jej brata na Sykstuską.

Stamtąd właśnie pamiętam najokropniejsze moje przeżycie, już po wkroczeniu Sowietów. Patrzyliśmy, jak pułk artylerii zjeżdżał z Cytadeli, rozwinięty na całą długość Sykstuskiej. Z bocznych ulic wyjechali na koniach sowieccy żołnierze, nie wiem, dlaczego wszyscy o rysach mongolskich, każdy miał w prawej ręce nagan, a w lewej granat zaczepny. Kazali naszym zdjąć pasy, zostawić jaszczce, armaty i konie i iść sobie. To było straszne: widzieć, jak Polska upada, widzieć to naprawdę. Straszniejsze niż przegrana bitwa, bo wszystko się odbywało w jakiejś cmentarnej ciszy: wszyscyśmy stali w milczeniu i płakali, ja także — w bramie pod dwudziestym dziewiątym — a dozorca, był zdaje się świadkiem Jehowy, okrywał konie derkami.

Kiedy Niemcy się wycofali i nadeszli Sowieci, to było zetknięcie dwóch światów tak obcych i tak niepodobnych, że trudno dziś sobie to wyobrazić. Pierwszy okres sowiecki miesza mi się przy tym trochę z drugim, trudno mi odróżnić to, co się działo w 1940 i 1941, od tego, co było w 1944 roku.

Początek okupacji sowieckiej traktowałem jako rodzaj pełnej zwarć rozgrywki. Nam osobiście nie groziło wywiezienie; nie byliśmy „bieżeńcami”, ojciec pozostał, jako dobry laryngolog, na swoim stanowisku w szpitalu. Matka, osoba politycznie nieświadoma, enkawudystę Smimowa, który przyszedł do nas na kwaterę, po prostu wyrzuciła. Kiedy ojciec się o tym dowiedział, nogi się pod nim ugięły. Enkawudysta okazał się jednak człowiekiem dosyć łagodnym, wrócił i zajął pokój, nie czyniąc nikomu krzywdy. A kiedy Sowieci uciekli przed Niemcami, jego pokój okazał się zasypany zeszytami, w których on wiersze pisał.

— *Wspominał pan, że dzięki lokatorowi poecie wiedzieliście, kiedy rozpoczyna się*

### **akcja wywózki „bieżeńców”.**

— Istotnie. Sowieci mieli tyle wojska, że mogli rzucić na Lwów dwie dywizje naraz, by tej samej nocy, między dwunastą a pierwszą, w każdej kamienicy sprawdzić dowody osobiste mieszkańców, a właściwie tak zwane pasporty — odbywało się to w towarzystwie dozorczy. Wygarniano wtedy wszystkich „bieżeńców” — nie wiedzieliśmy dokąd. Wiedzieliśmy natomiast, że kiedy nasz enkawudysta zakłada wieczorem mundur, pas i wychodzi na miasto, należy się spodziewać najgorszego, więc biegliśmy ostrzec znajomych i znajomych naszych znajomych, którzy właściwych dokumentów nie mieli. Sprowadzaliśmy ich do wspomnianej już wypożyczalni „Ewers” naprzeciwko naszej kamienicy, spuszczało się blaszaną żaluzję i siedzieli za nią, aż się tak zwana „akcja” skończyła — do następnej był względny spokój. Traktowaliśmy to jednak jako rodzaj sportu — ot, żeby Sowiecom zrobić na złość. Rzecz nie miała posmaku czynności z wyższymi patriotycznymi motywacjami — stanowczo nie.

### **— *Wkrótce zaczął pan studiować medycynę.***

— Owszem, dostałem się na studia medyczne, na które się dostać wcale nie chciałem. Chciałem na politechnikę, i młody człowiek nazwiskiem Lubelski uczył mnie geometrii projektowej Monge’a. Zdałem dobrze, ale przez ojca burżuazyjne pochodzenie nie zostałem przyjęty. Ojciec dzięki swym znajomościom — był przedtem, jak wspomniałem, asystentem profesora Jurasza, znał także profesora Parnasa — wsadził mnie na medycynę; nie było wyboru, rozumiałem, że alternatywą jest Armia Czerwona.

Ojciec zresztą, pracując w tym samym szpitalu co przedtem, znalazł się nominalnie na poliklinice, bo zmieniła się nazwa. Uniwersytet Jana Kazimierza przemianowano na Iwana Franki, a Wydział Lekarski został odeń odseparowany jako Lwowski Derżawnyj Medyczny] Instytut.

Na naszym roku było czterystu studentów, wykłady odbywały się więc w tak zwanych dwóch potokach: przed południem i po południu. Na studiach była dzika mieszanina. Nie tylko Polacy i Ukraińcy, także jacyś przybysze z głębi Rosji. Koło mnie kręcił się niejaki Sinielnikow, cały obwieszony blaszkami typu *Gotów k trudu i oboranie*. Było też trochę Żydów, często z głębokiej prowincji — pewnie Niemcy ich potem wszystkich zabili. Zapamiętałem szczególnie dziewczynę nazwiskiem Kaufman: złotowłosa przystojna blondynka o oczach jak niebo, która, jak się odezwała, żydłaczyła nie do pojęcia.

Profesorami w większości byli Polacy, którzy na pytanie, czy potrafią wykladać po ukraińsku, z reguły mówili, że nie potrafią. Jedyńm, który wykładał po ukraińsku, był profesor fizyki Łastoweckij, jak już wspomniałem, zabity potem przez podziemną polską

organizację. W rezultacie Rosjanie znajdowali się w gorszej sytuacji niż my. Anatomii na przykład uczył nas profesor Markowski, a jego asystent nazywał się Krechowiecki — bardzo przystojny, o bladej twarzy i kruczonych włosach, wysoki młody człowiek, w którym prawie wszystkie koleżanki z naszego roku się kochały.

Mieliśmy wobec Sowietów poczucie wyższości, trochę może brzydkie. Mówiło się, że pociągi z Rosji do Lwowa jadą szybko: „spiczki–machorka, spiczki–machorka, spiczki–machorka”, a z powrotem pomału: „skóra–manufaktura, skóra–manufaktura”. Przyjechał do nas, chyba z Moskwy, profesor fizjologii Worobiov — byłem później asystentem wolontariuszem przy jego katedrze. Nosił biedak strasznie wyświecone portki, nie miał też zegarka i na wykład przychodził z blaszanym budzikiem, żeby wiedzieć, kiedy zacząć i kiedy skończyć. Budzik chodził tylko wtedy, jak się go położyło na katedrze bokiem, więc kiedy Worobiov chciał zobaczyć, która godzina, musiał się nachylić. Nie chciał się jednak ustawiać do nas tyłem, bo wtedy te portki straszliwie lśniły, i dziwnie się wykręcał. Był to zresztą zacny człowiek; twierdził, że jest uczniem Pawiowa, choć nie wiem, czy to prawda.

— *Jak długo ta nauka trwała?*

— Studia moje trwały rok, a kiedy przyszedł czas sesji egzaminacyjnej, rozpoczęła się napaść niemiecka i papiery diabli wzięli: indeksy złożone były właśnie w dziekanacie do podpisów. Niemcy kazali je po prostu wyrzucić na ulicę czy do śmieci, na szczęście archiwariusz od Bernardynów zebrał wszystko na taczki i przechował. Kiedy Niemcy sobie poszli, poszedłem do Bernardynów, archiwariusz znalazł mój indeks i chciał nawet podwyższyć moje kwalifikacje, miał też bowiem potrzebne pieczętki. Naiwnie odpowiedziałem, że skoro nie zdałem egzaminu, to nie mogę kłamać: popatrzył na mnie jak na półgłówka...

Wpisałem się znów na medycynę, jeszcze sowiecką, ale już krótko chodziłem na wykłady. Kiedy zdawałem egzamin z chemii organicznej u docenta Sobczuka, Ukraińca, wiadomo już było, że wracamy z rodziną do Polski. Na egzamin przyszedł cały nasz rok: wiedzieli, że Sobczuk będzie zaginał Lema, a Lem będzie walczył. Nauczyłem się wtedy grubego podręcznika chemii organicznej Abderhaldena prawie na pamięć, umiałem nawet narysować cały bardzo skomplikowany schemat hemoglobiny. Ten łotr jednak, widząc, na co się zanoszi, zaczął mnie pytać o jakieś substancje, wytwarzane wyłącznie w czaszce pewnego typu wielorybów; to był temat wykładu w przeddzień egzaminu, kiedy ja się przygotowywałem, i na tym mnie zagał; zamiast bardzo dobrego dostałem tylko dobry i z tym wróciłem do Polski.

— *A jak wyglądało życie codzienne?*

— Kiedy zacząłem studia, okazało się, że studenci pierwszego roku dostają 150 rubli stypendium. Za całe te pieniądze kupiłem rurki Geissiera — takie rurki próżniowe wypełnione gazami, które pięknie świecą pod wysokim napięciem. Do dziś mam szczątki maszyny Wimshursta, która wytwarza iskry wysokiego napięcia; rozkoszowałem się kolorowymi wyładowaniami, zawsze bowiem miałem takie dziwne zainteresowania. Kupić wtedy wiele i tak nie można było; pamiętam, jak w sklepie przy placu Smółki sprzedawano po sto junaków — to był gatunek tanich papierosów — i po odłamie andrutów wypełnionych gorącą jeszcze masą kakaową. Stworzyliśmy z kolegami tak zwaną kohortę Aleksandra Macedońskiego, ustawiając się w trójkąt, wbiliśmy się w napuchłą głowę ogonka, i dzięki temu przyniosłem do domu z triumfem ów dziwny łup. Ojciec bardzo nad nami kręcił głową. Nie było już oczywiście chałwy, ale pojawiły się suszone morele, zwane uriuk — i jakoś się dało przeżyć.

Jedyna rzecz, która za czasów sowieckich była dla mnie nowością, to tak zwana gimnastyka przyrządowa na fizkulturze — poręczce, drażek, koń. Bardzo to lubiłem, a na poręczach i pierścieniach okazałem się jednym z lepszych.

Studia miały też swój aspekt humorystyczny. Kiedy zdawałem egzamin z marksizmu — leninizmu u pana, co się nazywał Hrudnyna, powiedziałem mu, że Marksa czytałem w oryginale i tylko w oryginale mogę przedstawić jego myśli. Co ja tam wyplatałem, jeden Pan Bóg raczy wiedzieć — byłem dość bezczelny, bo wiedziałem, że mój egzaminator po niemiecku nie rozumie.

Jedna przygoda wyglądała groźnie. Zbudowałem kiedyś małe armatki i czołgi, po czym zrobiłem im zdjęcia. Ojciec przestrzegał: — Nie noś tego do wywołania. Ja jednak zaniósłem, a kiedy wróciłem po odbitki, właściciel zakładu mówi: — Ktoś czeka na pana na górze. Wszedłem po schodach na piętro, a tam już czekał enkawudysta. *A to czto takoje?* Skończyło się na niczym, palcem mi tylko pogroził...

— Wspomniał pan o wywózkach. Czy odczuwał pan ciśnienie tego systemu?

— Opowiem anegdotę. Opisałem w *Wysokim Zamku* wieczorną defiladę po śmierci marszałka Piłsudskiego. Szliśmy na baczność przez plac Mariacki, gdzie na postumencie, niedaleko pomnika Mickiewicza, oświetlone snopem światła z reflektora stało popiersie Marszałka. Męczące to było bardzo, bo jak się idzie krokiem defiladowym, trzeba trzymać karabin pionowo, a nasze lebele były ciężkie jak cholera, 1 maja 1940 roku, we Lwowie sowieckim, też tamtędy szliśmy — w zupełnie innym ustroju politycznym i w innym charakterze. Wtedy pierwszy raz wyraźnie odczułem, co to jest za system, ponieważ nie tylko boczne ulice, których wloty znajdowały się na trasie naszego pochodu, były zamknięte

kordonami wojska, ale wejścia z przeciwnych stron tych ulic także zostały zablokowane.

Muszę zresztą powiedzieć ze skruchą, że pan Mieczysław Inglot, przysyłając mi książkę o literaturze polskiej we Lwowie w latach 1939—1941, otwarł mi oczy na rozmaite rzeczy, które troszeczkę tylko poznałem i których nieznacznie zakosztowałem z *Wielkiego strachu* Stryj kowskiego. Przecież w 1939 roku byłem siedemnastoletnim chłopakiem, nie miałem zielonego pojęcia ani o literaturze, ani o tym, co się działo w Związku Literatów, ani o Wacie, ani o Wasilewskiej, ani o Broniewskim. Tu chciałbym — bo mi bardzo na tym zależy — powiedzieć, że moim zdaniem niesłusznie się oczernia i potępia Boya—Żeleńskiego za jego okres lwowski. On wcale nie był trwożliwym oportunistą ani durniem, jak go się czasem przedstawia. Z dokumentów wynika, że robił, co mógł, usiłując ratować szczątki dorobku kultury polskiej, jak choćby Fredrę, przed najeźdźcami. To jest przecież ważne, to się liczy. Tak samo robili oczywiście także inni — i z Mickiewicza robili postępowca, ciągnąc tę postępowość za uszy, by ocalić, co się ocalić dało.

Pewnie, że znalazły się i we Lwowie, i później w Warszawie karierowiczowskie kreatury, ale ludzi takich jak Boy należy traktować na innych prawach.

A te wiersze, które Szemplińska i inni produkowali, te wszystkie ze strachu pisane pieśni i ody o Stalinie? Uważam, że z litości, z miłosierdzia należy opuścić na to kurtynę. Ludziom nieżyjącym nie ma co po ich śmierci wypominać tego, że się bali, zwłaszcza że ten strach był, jak Strykowski pisał, naprawdę zasadny. Jak długo szły tylko oddziały bojowe Armii Czerwonej, nic się nie działo. Jak tylko za nimi pojawiło się NKWD — zaczęły się aresztowania i wywózki, itd.

Trzeba jednak powiedzieć, że podczas gdy Niemcy budzili wyłącznie grozę, to z Sowietów można się było także i naśmiewać. Mieliśmy poczucie, że oni są jak gdyby straszną, olbrzymią małpą, gorylem, i wprawdzie zostaliśmy bezbronnie wydani w ich łapy — jak to mówił Mandelsztam: „*Ja nie znał, czto my byli w łapach gumanistow*” — ale niezdarność ich propagandy, naiwna kłamliwość rodziły niezliczoną ilość anegdot, dość niewinnych. Na przykład o tym, że żołnierze sowieccy wchodzą do sklepu, w którym nic już nie ma oprócz słoików wypełnionych białymi kulkami naftaliny, każą sobie taki słoik podać i na miejscu naftalinę spożywają. Albo o żonach komandirów, które w nocnych koszulach szły do teatru, sądząc, że to są wieczorowe stroje, itd. I te pytania, które się biednym czubarykom zadawało: „Czy są u was kopalnie włóczki?” „Naturalnie, że są”. Żołnierze sowieccy mieli zgodnie z pouczeniem mówić, że u nich wszystko jest. Nieboszczka Edda Werfel, dobra tłumaczka, z którą spotykaliśmy się w Wiedniu, opowiedziała mojej żonie i mnie taką historię. Podczas wojny wywieziono ją z mężem, wielkim komunistą Romanem Werflem,

gdzieś w głąb Sowietów. Warunki były takie, że oboje zamierzali popełnić samobójstwo. Poprawiło się dopiero po nawiązaniu stosunków polsko-sowieckich — pakt Sikorski-Majski. Stała sobie kiedyś na mostku z sowieckim lejtnantem, który jej gorączkowo wykładał wyższość ustroju sowieckiego nad kapitalizmem. W tym momencie zaczął się do nich zbliżać dziad w straszliwych szmatach i łachach, bosi i obdarty. Lejtnant pokazał na niego i powiedział: — *Wot, etogo u nas niet.* Potem sam się przestraszył swojego zapалу ideologicznego...

Oglądałem wtedy rzeczywistość z perspektywy mrówki: najpierw student, potem robotnik w niemieckim garażu. Niewiele wiedziałem o tym, co się wokół dzieje. O tym, że Sowietci zostawili w piwnicach Brygidek masy pomordowanych przed odejściem ludzi — dowiedzieliśmy się, jak przyszli Niemcy. O morderstwie profesorów lwowskich usłyszałem późno. O tym, jak wygląda getto — także. Dochodziły jakby niewyraźne echa wydarzeń. Ale oczywiście groza i nas dotykała. Zaraz po wkroczeniu Niemców zabrano mojego wujka, młodszego brata matki, równocześnie zresztą z profesorami, choć był to tylko zwykły lekarz.

— I został zabity?

— Chyba tak, ale nikt nic do dziś nie wie. Moja matka bardzo go kochała i nie wierzyła, że zginął. Jeszcze długo po wojnie twierdziła, że gdzieś żyje i wkrótce się odnajdzie, choć wszyscy wiedzieli, że to niemożliwe. Ojciec bardzo mu zresztą pomógł podczas studiów medycznych i w uzyskaniu pracy w klinice.

Przyznam, że bardzo niechętnie wspominam tamte czasy. Po takich rozmowach zdarza mi się czasem wyśnić coś, czego bym wolał nie śnić. To jest bardzo ponury okres. Moi najbliżsi wprawdzie ocaleli, część rodziny zginęła jednak za niemieckich czasów.

Kiedy przyszli Niemcy, byłem świadkiem szczególnego momentu: jak się fronty przetaczają przez miasto, przychodzi taka godzina, kiedy miasto jest niczyje. Jedni już uciekli, drudzy jeszcze nie przyszli. No a potem skończyły się studia i zostałem robotnikiem.

— ***Wspomniał pan o pracy w garażach...?***

— To była firma Rohstofffassung. Za cały dokument, który uprawniał mnie do tej roboty, miałem zieloną legitymację amatorskiego prawa jazdy. Firma znajdowała się na Gródeckiej bocznej — dobrze położona, bo obok były koszary Luftwaffe. Niemiecki wartownik chodził po chodniku, aż pod nasz garaż. Nikt tam nie mógł wleźć, zwłaszcza policja ukraińska, czyli tak zwani czarni — znajdowaliśmy się w pewnym sensie pod osłoną Niemców. A w garażu poza normalną robotą mechaników, którzy utrzymywali w ruchu samochody firmy, dwie albo trzy wielkie ciężarówki, fiaty, i samochody osobowe kierownictwa, odchodziły oczywiście rozmaite handle: jakieś kielbasy czy wypieki z kartofli.

W kancelarii na górze pracowali Żydzi; właściwie nic nie robili, tylko płacili, żeby mieć ausweisy. Odwrócenie normalnej sytuacji: nie firma im płaciła, tylko oni firmie. Skończyło się źle:

wszystkich Żydów zabrano. Podobno niemiecki właściciel firmy, Zygfryd Kremin, próbował ich ratować, tak jak Schindler, uzasadniając to potrzebami gospodarczymi, ale Waechter mu powiedział — nie sam Waechter oczywiście, tylko któryś z urzędników władz Distrikt Galizien, to był osobny poddział Generalnego Gubernatorstwa — że polityka idzie przed gospodarką, *Politik geht vor der Wirtschaft* — i nie ma żadnego gadania.

Opisałem to dosyć dokładnie, z fikcyjnymi nazwiskami, w *Czasie neutraconym* — ale hauptsturmfuhrer nazwiskiem Tannhauser naprawdę istniał i bywał u naszego szefa. Pracowało się w warunkach strasznych: zimą w nie opalanej hali z wielką betonową podłogą. Do karterów samochodowych nalewaliśmy zużyty smar, który się podpalało, żeby było trochę cieplej. Chodziłem w kombinezonie wysmolonym nieludzko, czarny jak Murzyn.

Pracując w garażach, miałem kontakt z podziemną organizacją, wynosiłem z „Beutepark der Luftwaffe” (teren byłych Targów Wschodnich) woreczki z prochem artyleryjskim. Chciałem brać udział w akcji propagandowej „N”, skierowanej do żołnierzy niemieckich: dostałem na próbę „Reich” z artykułami wstępnymi Goebbelsa, żeby mu dać kontre, ale okazało się, że moja znajomość niemieckiego jest niedostateczna, zrobiłem błędy, bodaj gramatyczne, a takie ulotki musiały być pisane naprawdę biegłą niemieczyzną.

To był czterdziesty pierwszy i czterdziesty drugi rok, a w czterdziestym trzecim musiałem zwinąć żagle. Ukrywałem przez kilka dni na strychu kolegę, który pracował w milicji żydowskiej, Ordnungsdienst. Kiedy poszedł dalej w świat, uznałem, że lepiej stamtąd spłynąć, bo gdyby go złapali, mógł ich naprowadzić na mój ślad, co by się dla mnie skończyło raczej niedobrze. Przeprowadziłem się wtedy na ulicę Zieloną.

Za okupacji niemieckiej jeden raz tylko zmieniłem nazwisko. Zdobyłem lewe papiery i nazywałem się przez jakiś czas Jan Donabidowicz — to był, zdaje się, Ormianin. Parę dni siedziałem u jednej dobrej staruszki, zanim mi te papiery wyrobiono. Pamiętam stamtąd taką scenę — w ogóle przeszłość pamiętam w migawkach — stoję przy oknie i zza firanki patrzę na ulicę, na której jest łapanka i ładują ludzi na ciężarówki. A ja sobie w tym czasie jem naleśniki z serem posypane cukrem, które mi ta poczciwa staruszka dała. Zawsze miałem dobry apetyt...

— Przedtem mieszkali państwo jeszcze na Brajerowskiej?

— Nie, najpierw na Bemsteina, potem rodzice się przenieśli na Zniesienie. Na Zielonej, w pobliżu Pohulanki, spędziłem ostatnie miesiące rządów niemieckich, bo już w

czterdziestym czwartym latem przyszli Sowieci i zagarnęli Lwów od strony zachodniej. Rozeszła się wiadomość, że się zbliża „SS Division Galizien” i mordują wszystkich mężczyzn. Z Zielonej uciekliśmy na Pohulankę. Po powrocie otwarłem plecak i przekonałem się, jak się człowiek zachowuje w panice: miałem tam kilka kostek cukru, jakieś skarpetki, jeden bucik... Potem któryś z ostatnich patroli niemieckich dobijał się do naszej bramy. Brama była żelazna, zamknięta. Wszyscy mieszkańcy siedzieli w piwnicy; głosy były podzielone, jedni byli za tym, żeby otworzyć, inni nie. Przyszły jednak czołgi sowieckie i rozstrzygnęły nasz dylemat.

Kiedy podczas walk o Lwów siedzieliśmy w piwnicy, nagle strasznie jakoś zachciało mi się napić zimnego barszczu, który stał w kuchni, w baniaku. Bohatersko udałem się na górę. Miałem, pamiętam, garnuszek porcelanowy z uszkiem. Kiedy zaczerpnąłem nim barszczu — nagle zrobiło się białe i rozległ się taki huk, że zupełnie ogłuchłem. Jak się potem dowiedziałem, przy naszym domu od strony ulicy stały czołgi sowieckie i samolot niemiecki rzucił na nie bomby przeciwpancerne. Odłamki tych bomb trafiły w ścianę wewnętrzną kuchni; gdybym stał metr dalej, tobym zginął. Z garnuszka zostało mi tylko uszko na palcu, na ramionach miałem okienną ramę od kuchennego lufcika, a po czole ciekła mi krew, bo wypadająca szyba trochę mnie pokrajała. Straciłem apetyt na barszcz — nie wiem czemu? — i zakrwawiony wróciłem do piwnicy.

Kilka dni wcześniej — jak się ma dwadzieścia parę lat, człowiek łatwo robi głupstwa — poszedłem na górę, żeby się wykapać. Wciąż trwał ostrzał artyleryjski, za każdym strzałem słyszałem gwizd pocisku. Nagle kierunek ognia trochę się zmienił i pociski zaczęły przelatywać dziwnie blisko naszego domu; kończyłem kąpiel z nadludzką szybkością... A kiedy już mi się zdawało, że Lwów jest rzeczywiście przez Armię Czerwoną zdobyty, postanowiłem pójść do rodziców; zresztą mieszkali wtedy niedaleko Brajerowskiej. W miarę jak się zagłębiałem w miasto, spotykałem coraz mniej ludzi. Kiedy doszedłem w pobliże Ogrodu Jezuickiego, nie było już nikogo. Szedłem jednak dalej — i nagle usłyszałem charakterystyczny silnik „Pantery”, grzechot gąsienic po bruku. Odwróciłem się — i rzeczywiście zobaczyłem, co prawda w sporej odległości, jadącą ku mnie niemiecką „Panterę”. Nie wiedziałem oczywiście, że w wielkiej kępie krzaków po mojej lewej stronie ukryto sowieckie działo przeciwpancerne — było dobrze zamaskowane. Chciałem uciec do jakiejś bramy, ale wszystkie były zamknięte. Mogłem się tylko wtulić we wnękę i czekać, co będzie dalej. Przed czołgiem nie uciekniesz. Nagle Rosjanie strzelili i trafili czołg dokładnie między wieżyczką a korpusem; wieżyczka tak została skoszona, że zablokowała wyjście. Słyszałem straszne krzyki ludzi płonących wewnątrz, pamiętam też zdumiewającą siłę

podmuchu, kiedy pocisk obok mnie przelatywał. Zaraz potem zwiąłem z powrotem na Zieloną. Kiedy wróciłem po kilku dniach, traktor odciągał właśnie tę „Panterę”, tak spaloną, że nawet kółka, na których biegały gaśnice, przestały się poruszać. Z ciekawości wlałem na górę tego żelastwa, zajrzałem do środka — i zobaczyłem osmalone czaszki Niemców. Także i ten obraz do dziś pamiętam.

Jak tylko Armia Czerwona weszła do Lwowa, pod Politechniką i w innych miejscach Armia Krajowa zaczęła wystawiać posterunki z biało—czerwonymi opaskami. Kiedy przyszedłem do rodziców, akurat mój ojciec schodził ze schodów z taką opaską, informującą, że jest lekarzem AK. Błyskawicznie go zawróciłem: wiedziałem już, że NKWD związa wszystkich ujawnionych akowców i oni po prostu znikają.

Na Brajerowską 4 nie mogliśmy wrócić, ktoś tam już mieszkał. Dostaliśmy mieszkanie przy ulicy Sykstuskiej. Obok był ośrodek Wehrmachtu, jakaś Kulturstelle, mam stamtąd do dzisiaj trochę książek — Wilhelma Buscha na przykład. A ponieważ zawsze byłem łakomy, wyszukałem tam wśród porzuconych przez Niemców rzeczy ładne, okrągłe placuszki, przyjemnie słodkie. Myślałem, że to chałwa, a to była perwityna, środek pobudzający, który dawano na przykład lotnikom. Jadłem ją tak długo, aż zacząłem się cały trząść — jakoś na szczęście przeżyłem. Buszowałem tam też w hitlerowskich materiałach propagandowych, znalazłem na przykład sprawozdanie ze spędu poetów hitlerowskich, zdaje się, z 1941 roku. Nie pamiętam dokładnie, bo kiedyśmy Lwów opuszczali, książki mniej ciekawe po prostu zostawiłem.

Mam jeszcze jedno wspomnienie przedziwne i makabryczne. Otóż sporo kamienic było własnością Żydów, i mówiono, że w piwnicach Żydzi zamurowali złoto. Wszędzie słyhać było stukanie i pukanie jak w Klondike — ludzie całymi dniami przeszukiwali piwnice. Czy coś znaleźli, nie wiem... Dziwię się, że nikt o tym dotąd nie napisał.

— *Czy z mieszkania na Brajerowskiej coś się uratowało w trakcie przenosin podczas wojny?*

— Trochę książek, ojca instrumentarium, wszystko razem prawie nic. No a dwie kamienice, na które mój ojciec przez całe życie pracował, zostały we Lwowie.

— *Przeżył pan rozpad świata.*

— Nasz świat rozpadał się stopniowo. Najpierw po przyjsciu Sowietów, potem po przyjsciu Niemców, a ostatecznie — kiedy musieliśmy wyjechać ze Lwowa. Próbowaliśmy kiedyś z żoną porównywać dwie okupacje, niemiecką i sowiecką, zastanawialiśmy się, która była bardziej okropna. Wyszło na to, że obie były jednakowo okropne, ale nie dla tych samych ludzi. My na przykład za Sowietów nie musieliśmy natychmiast uciekać, a rodzina

mojej żony — tak. Ojciec żony był dyrektorem dóbr Lanckorońskich w Jagielnicy i ostrzeżono go przed wywózką. Lanckoroński wyjechał niemal natychmiast. Rodzina żony przekroczyła granicę Generalnej Guberni i dostała się do obozu, w którym o mało nie poumierła, bo panował tam bodaj tyfus. Udało się ich jednak jakoś na lewo wyciągnąć z tego obozu — najpierw córki z matką, potem ojca, czyli mojego przyszłego teścia — i resztę wojny spędzili w rodzinnym majątku w Gaiku koło Dobczyc, gdzie jest teraz zbiornik wodny. Szczątki dworu znajdują się dziś pod wodą.

Charakterystyczne, że moja żona, która przeżyła to jako dziewięcioletnia dziewczynka, zgadza się ze mną, że od Sowietów wiało zarówno grozą, jak i śmiesznością. Byli straszni i śmieszni — podczas gdy w Niemczech niczego śmiesznego nie było. Budzili raczej respekt; pamiętam własną fascynację uzbrojeniem i bojowością Wehrmachtu. Kupowałem takie pisma, jak „Die Wehrmacht” czy „Der Adier”, o lotnictwie i armii. Wtedy pierwszy raz niejako dowiedzieliśmy się, że można być tak uzbrojonym. Andrzej Kijowski pisał kiedyś o tym zafascynowaniu nas, podbitych. Warto jednak pamiętać, skąd płynęły źródła niemieckiej siły. Wiemy już coś o tym, choćby po aferze ze złotem, które Szwajcarzy nabywali od Niemców, wspomagając pośrednio ekonomikę wojenną. Było to przecież złoto kradzione we wszystkich niemal państwach Europy.

Urodziłem się i przez siedemnaście lat żyłem w wolnej Polsce przedwojennej. Potem przyszedł niemiecki atak. Potem Niemcy się wycofali, zgodnie z całkowicie nam wówczas nie znanym paktem Ribbentrop–Mołotow, przyszli Sowietci i rozpoczął się okres pierwszej okupacji sowieckiej, a potem długa okupacja niemiecka, potem znowu Sowietci, potem przymusowy wyjazd do Polski Ludowej — wszystko razem stanowi taką miszkulancję, że trudno się w niej wyznać.

Tej Polski przedwojennej okropnie jednak żał. Żał jak młodości, czegoś, co nie może wrócić. Mam dziś chrypkę, bo wczoraj cały wieczór prześpiewaliśmy rozmaite stare pieśni. Dziwna *rzecz*, jak bardzo nasze polskie pieśni wojskowe, zarówno z okresu przedwojennego, legionowego, jak i wojennego, partyzanckiego — „Hej chłopcy, bagnet na broń” itd. — odmienne są i od rosyjskich, i od sowieckich. Odmienny jest tryb (nie umiem tego dobrze nazwać, nie jestem muzykologiem) prowadzenia melodii podłożonych pod słowa i odmienne słowa. Różnica wydaje mi się olbrzymia, choć nie potrafię jej wyraźnie uchwycić.

*„Nasze dzielne żołnierzyki na placówce stoją  
i śpiewają bolszewikom, że się ich nie boją...”*

Zawsze był u nas ten jakiś element sentymentalno–romantyczny, szary bór i tak dalej. A z czasów sowieckich zapamiętałem ważną naukę: że gdy w hymnie, zwłaszcza narodowym albo państwowym, powtarza się zbyt wiele razy słowo „swoboda”, czyli wolność — to jest bardzo podejrzane. Jak napisał chyba Mrozek: tam gdzie jest prawdziwa wolność, tam nie ma wolności zwyczajnej.

## ROZMOWA TRZECIA

O pierwszych latach krakowskich, krętej drodze do literatury i przygodach z cenzurą

— *Do Krakowa przyjechał pan stosunkowo późno.*

— Rodzice moi, a zwłaszcza ojciec, tak mocno wierzyli w aliantów, którzy uratują dla Polski Lwów, że siedzieliśmy tam o wiele za długo. Wyjechaliśmy dopiero, gdy nam powiedziano: albo jedziecie do Polski, albo bierzecie sowieckie paszporty. Prawie za darmo wyprzedawaliśmy meble — rodzice dostali za nie coś sześćset rubli — i pakowaliśmy nasz dobytek do skrzynek. Napisałem na nich wielkimi literami: LEM. Ojciec chciał, żebym dodał imię, ale mu tłumaczyłem, że to rzadkie nazwisko i nie ma we Lwowie drugiego Lema. Przychodzimy na dworzec, ładujemy nasze rzeczy do wagonu towarowego, a obok podnosi się piramida skrzynek oznaczonych: Władysław LEM — to była całkiem inna rodzina, z Łyczakowa.

Pociąg jechał do Bytomia i Wrocławia, my jednak wysiedliśmy w Krakowie, bo mąż naszej przyjaciółki miał tu dwupokojowe mieszkanie przy Śląskiej 3 — zamieszkaliśmy w trzy osoby w jednym pokoju. Dowiedziałem się, że mogę zarobić dwa tysiące ówczesnych złotych, jeśli zostanę spawaczem. Spawaczem karbidowo-acetylenowym byłem już za Niemców, ale kiepskim. Pan Tadeusz Szulakiewicz, który mnie w tym zawodzie poduczał, wychodził na podwórze, brał pięciokilowy młot i pytał: — To ma być spaw? Łups, i cała przyspawana karoseria odpadała. Dwa tysiące złotych dosyć mnie jednak nęciło. Było nam ciężko, ojciec, rocznik 1879, musiał wrócić do pracy lekarza, o żadnym gabinecie nie mogło oczywiście być mowy, asystował profesorowi Miodońskiemu przy operacjach, ale stałej posady w klinice nie mógł dostać. Mówię mu więc: — Może ja jednak pójdę na spawacza? Ojciec słysząc jednak nie chciał o podobnej deklasacji: — Masz dwa lata medycyny, powinienes ją skończyć. Poszedłem więc na medycynę na UJ. Była to wtedy straszna zbieranina, mnóstwo starych koni, którzy przez wojnę pięć lat stracili, bo poza Lwowem pod Sowietami nigdzie nie można było studiować. Nikogusieńko nie znałem oprócz jednej dziewczyny ze Lwowa, z którą kuliśmy do egzaminu. Zaliczyłem tu trzeci i czwarty rok.

— *W Krakowie zaczyna się pańska kariera literacka.*

— Na początku trudno mówić o karierze. Chodziłem do „Odrodzenia” i do „Twórczości” na Basztową 15, obok gmachu z globusem, w którym jest teraz Wydawnictwo Literackie, i razem z moimi wierszami strącany byłem — oczywiście nie dosłownie — ze

schodów i przez Przybosia, i przez Bieńkowskiego, i przez Wykę. Przyboś tłumaczył mi, że piszę pod Leśmiana i że nie należy rymować. Trafiłem w końcu na Wiślną do „Tygodnika Powszechnego” i zacząłem tam drukować zarówno opowiadania, jak i wiersze. Budziło to pewne zdziwienie wśród kolegów — studiuje medycynę i wiersze pisze, to nie jest normalne.

Poznałem pierwszy zespół „Tygodnika” — cały już, niestety, znajduje się po tamtej stronie Styksu. Obok Turowicza ksiądz Piwowarczyk, Gołubiew, Jasienica, pani Starowieyska–Morstinowa. Ona bardzo mi matkowała, to była kobieta nadludzko dobra, z samego zbliżenia do niej rany się goiły. Później jedyne pretensje do *Astronautów* miała o to, że bohaterowie tej powieści mówią do siebie per „pan”... Gołubiew z Jasienica porozumiewali się cytatami z *Trylogii*. A kiedy napisałem wierszyk dedykowany pewnej Marysi, ksiądz Piwowarczyk pytał: — Czy organ Kurii Xiążęco–Metropolitalnej ma panu pomagać w uwodzeniu dziewcząt? — ale wierszyk jednak wydrukował i w którymś z pozólkłych roczników „Tygodnika” można go znaleźć.

Niedługo potem, w 1947 roku, wyskoczyła ze mnie w sposób niespodziewany pierwsza poważna książka: *Szpital Przemienienia*. Złożyłem ją u Gebethnera i Wolffa przy Rynku Głównym; spodobała się i szykowano się już do jej wydania, nagle jednak firma padła pod młotem tak zwanego upaństwowienia, a całą masę upadłościową wraz z moim maszynopisem diabli wzięli do Warszawy. Sprawa zawisła na kołku. Ojciec mój, który *Szpital...* dosyć ceniał, próbował coś zrobić. Jakiś jego znajomy jeszcze ze Lwowa, pracujący w „Czytelniku”, przyjechał z Warszawy i ojciec poszedł do niego na rozmowę. Chodziłem po linii C–D chyba z godzinę, a ojciec sondował szansę. Wrócił, mówiąc, że nic się nie da zrobić.

Zaczęły się moje peregrynacje do stolicy, ale i one na nic się zdały. Autor recenzji wewnętrznej — wiem, kto, ale nie zdradzę nazwiska — napisał, że powieść jest wsteczna, ideologicznie najzupełniej fałszywa i konieczna byłaby przeciwwaga. Zabrałem się za dopisywanie tej przeciwwagi, robiąc strasznych komunistów z moich autentycznych kolegów z wojennego Lwowa, którzy z komunizmem nic nie mieli wspólnego. I to jednak nie pomogło;

*Szpital...* razem z dopisanymi częściami ukazał się jako *Czas nieutracony* dopiero po siedmiu latach, w 1955 roku, w Wydawnictwie Literackim. Dostałem za niego nawet Nagrodę Miasta Krakowa.

— *Wcześniej napisał pan inną powieść: „Człowieka Z Marsa”.*

— To było jeszcze we Lwowie, pisałem ją niejako prywatnie, dla znajomych, zupełnie na wariata.

— *Ale opublikował ją pan po przyjeździe do Krakowa w „Nowym Świecie Przygód”.*

— Opublikowałem, bo chciałem jakoś pomóc finansowo rodzicom; biedni byliśmy jak te myszy kościelne. Wiśka Szymborska zaznajomiła mnie z facetem, który zamawiał u mnie fraszki do humorystycznego śląskiego pisma „Kocynder”. Pisałem tam różne świetne rzeczy, na przykład:

*„Był raz sobie pewien zbrodzień,  
Który lubił trupa co dzień  
I wychodził z bronią co dnia  
A wieczorem — nowa zbrodnia”.*

Też chodziło o tych parę groszy. I jeszcze opowiadania dla katowickiego pisma „Co Tydzień Powieść”. Jedyna właściwie cenniejsza *rzecz*, jaką uratowałem ze Lwowa, to była niemiecka maszyna do pisania marki Underwood; na niej to wszystko wystukiwałem.

We Lwowie powstał nie tylko *Człowiek z Marsa*, także zupełnie bezsensowna — wtedy tego oczywiście nie wiedziałem — praca: *Teoria funkcji mózgu*. W Krakowie poradzono mi, bym z nią poszedł do doktora Mieczysława Choynowskiego, który mieszkał w bardzo ładnym parterowym mieszkaniu na Szopena. Kiedy do niego przyszedłem, akurat wyrzucał go stamtąd konsul sowiecki. Pan Bóg, czy też przeznaczenie chciało, że przeniósł się na aleję Słowackiego pod numer sześćdziesiąty szósty, mniej niż minutę drogi ze Śląskiej. Choynowski redagował miesięcznik „Życie Nauki”, prowadził też Konwersatorium Naukoznawcze, założone przez asystentów Uniwersytetu Jagiellońskiego, i sam mi zaproponował, bym u niego pracował na pół etatu za 500 złotych jako młodszy pracownik naukowy. Spotkałem tam bardzo miłych ludzi: gleboznawcę Komomickiego, magistra Oświęcimskiego, z którym zacząłem układać dialog o niemożliwości odtworzenia człowieka z atomów. Ja wymyśliłem tezę i Oświęcimski co kilka dni przychodził z kontrargumentami, które zbijałem. Tak się narodził pierwszy rozdział *Dialogów*, książki, o której ani przez chwilę bym wtedy nie pomyślał, że może się kiedykolwiek ukazać. Zaprzyjaźniłem się tam też z nieżyjącym już, niestety, Jerzym Wróblewskim, prawnikiem i synem znakomitego przedwojennego profesora prawa z Wilna.

W ramach pracy w Konwersatorium najpierw nosiłem książki w paczkach. Choynowski, nakręcony dziką sprężyną umiejętności organizacyjnych, zwracał się do uniwersytetów amerykańskich i kanadyjskich, żeby nas intelektualnie ratowały, bo jesteśmy po okupacji straszliwie wyposzczeni. Książki wkrótce zaczęły napływać. Wybierałem co

lepsze — a to Norberta Wienera *Cybernetykę*, a to Shannona *Teorię informacji* — i ze słownikiem przedzierałem się przez nie całymi nocami. Silny byłem wtedy jak dwa lub trzy konie...

— ***Choynowski prowadził, zdaje się, także wymianę, wysyłając Amerykanom publikacje rosyjskie?***

— To już trochę później. Jak mawiają Francuzi, *l'appetit vient en mangeant*, i jemu też wzrósł apetyt, skoro zaś mógł się odwdziżyć czymś mającym realną wartość, choćby pracami matematyków ze szkoły Kołmogorowa, zaczął domagać się od naszych dobroczyńców i takich ksiązek, których oni pozbywali się mniej chętnie.

Choynowskiemu więc zawdzięczam najważniejsze moje naukowe lektury. Od razu też powiedział mi, że moja *Teoria funkcji mózgu* jest jednym stekiem bzdur; był to weredyk i człowiek energiczny. Miał też energiczną matkę, która niejako matkowała całemu naszemu Konwersatorium, bo odbywało się ono w ich prywatnym mieszkaniu. Nasze kontakty trwały i później: mam tutaj książkę angielską o podróżach międzyplanetarnych, prezent ślubny, jaki dostaliśmy od Choynowskiego w 1953 roku, z dedykacją: „Młodej parze na podróż poślubną między planetami”.

— ***Ale pańska przysną żona nie była na spotkaniach Konwersatorium?***

— Skąd, była wtedy dziewczęciem nieletnim. Długo zresztą nie chciała wychodzić za mąż za nikogo, wliczając w to i mnie; obłączenie trwało prawie trzy lata...

Po latach opisałem historię Konwersatorium w rozmowach ze Stanisławem Beresiem i posłałem książkę doktorowi Choynowskiemu do Meksyku, gdzie od lat przebywał — w podzięce za to, że mi świat otworzył. Tymczasem on się strasznie oburzył, przyznałem się tam bowiem, że kiedy na rozkaz pani Krassowskiej cały ten interes uległ likwidacji, myśmy z kolegami wynieśli stamtąd książek ile mogli; sam do dziś mam kilka. Choynowski był bardzo zagniewany i w liście z Meksyku kazał mi natychmiast umieścić w „Trybunie Ludu” przeprosiny za ten niegodny postępek. Myślałem, że sprawię mu przyjemność — a on mnie obrugał. Przeprosin oczywiście nie umieściłem.

Kiedy wszystko już się rozleciało, Choynowski trafił jako psycholog do szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie. Jakiś czas tam się męczył. Był rzeczywiście strasznym weredykiem. Pamiętam, jak przedstawiciel marksistowskiej psychologii profesor Tomaszewski wygłosił odczyt, po czym zapytano, kto się zgłasza do dyskusji. Po krótkiej chwili wstał Choynowski i powiedział: „Wszystko, co zostało dotąd powiedziane, jest kompletnym nonsensem od pierwszego do ostatniego słowa”. Zapanowało powszechne zdrtwienie, ale nic mu nie zrobiono, chociaż wtedy słowa takie brzmiały nadzwyczaj

obrazoburczo.

W Krakowie wpadłem też — sam nie wiem jak — w towarzystwo plastyków. To był przede wszystkim Romek Hussarski i jego przyszła żona Hala Burtan ze znanego krakowskiego rodu, ojciec jej był właścicielem fabryki porcelany w Ćmielowie; także Zosia Puget. Romek mieszkał na Łobzowskiej, a Burtanowie mieli w Przegorzałach dom, którego większą część zabrało państwo. Romek z Halą urządzili tam pracownię i rzeźbili jak szaleni, prawie wyłącznie dla kościołów. Oboje, zwłaszcza Hala, pisali też wiersze, które drukował im — jak i mnie — „Tygodnik”.

Pracownia była na piętrze; kiedyś Romek wykonał tam wielką gipsową figurę Chrystusa z rozpostartymi rękami, po czym się okazało, że nie ma takiej siły, by tego Chrystusa z pracowni wydobyć. A kiedy wreszcie się udało — spadliśmy ze schodów razem z figurą, która się oczywiście połamała. Nie było to do śmiechu, ale groteskowość sytuacji sprawiła, że wybuchaliśmy śmiechem nieopanowanym. Anegdota ta przypomina inną, z mieszkania Romka na Łobzowskiej, gdzie syn współlokatorów zbudował kajak w kuchni, po przekątnej, i też nie dało się go w żaden sposób wydostać.

W Przegorzałach był piękny, wielki, stary sad z jabłoniami, które — robiąc bokami — wciąż rodziły mnóstwo jabłek. W sezonie spędzałem na nich wiele czasu, niby małpa, i wracałem objedzony do nieprzytomności. Od północy sad Burtanów graniczy z Lasem Wolskim, gdzie jest krakowski zwierzyniec. Chodziliśmy tam, by dla matki Romka Hussarskiego zbierać owłosienie z liniejących zębów, a ona robiła z niego swetry.

Z Przegorzał wracałem zawsze pieszo, często przyplątywały się do mnie jakieś psy, potem — bywało — wybuchała awantura, że psa ukradłem. A ja po prostu sam pachniałem psem, bo Hala ofiarowała mi wilka. Miał na imię Radża. Ludzie mniej kształceni myśleli, że to jest „ta radża”, a chodziło o radzę indyjskiego. Był to olbrzymi pies, bardzo go kochałem. Przeszedłem z nim całe Tatry; pamiętam stamtąd dwie zabawne sceny. Kiedy wyjeżdżaliśmy kolejką na Kasprowy, Radża oparł przednie łapy o okienko wagonika i wyglądał bardzo zainteresowany. A kiedy poszliśmy na Czerwone Wierchy, zaczął padać straszliwy deszcz, a potem grad. Nakryłem jego i siebie płaszczem—pałatką, przykucnęliśmy, żeby grad przeczekać, kulki lodu bębniły o brezent. Przechodziła grupa turystów i słyszę: „Popatrz, nasz żołnierz tu siedzi i strzeże granicy”.

Biedny Radża zginął tragicznie; po zastrzyku szczepionki przeciw wściekliźnie, oczywiście szczepionki radzieckiej, kompletnie go sparaliżowało i musieliśmy go zawieźć dorożką do uśpienia. Z trudem znieśliśmy go ze schodów; ważył blisko sześćdziesiąt kilo.

Mieszkałem już wtedy na Bonerowskiej w dwóch pokojach z żoną i matką; ojciec

zmarł w 1954 roku. Jeszcze w 1936 roku rozpoznano u niego *angina pectoris*. Nie wolno mu było samemu zasnurować bucików, kazano mu się oszczędzać... A potem? Przettrzymał jedną okupację, drugą okupację, po przyjeździe do Krakowa pracował do końca. W któreś popołudnie roku 1954 wyszedł z naszego mieszkania na Śląskiej na pocztę, która była zaraz za rogiem, przy alei Słowackiego — iż tej poczty przyniesiono go już martwego.

W tym samym 1954 roku, w lutym, braliśmy z żoną ślub kościelny w kościele św.św. Piotra i Pawła. Było przeraźliwie zimno, wypowiedaliśmy słowa przysięgi, niemal szczękając zębami. Wymieniliśmy obrączki, żona swoją obrączkę zaraz zgubiła, kupiliśmy więc drugą, po czym przy ścieleniu tapczanu ta pierwsza się znalazła — mamy odtąd trzy. Przez pewien czas byłem zresztą mężem tramwajowe dojeżdżającym, ze Śląskiej na Sarego, gdzie żona mieszkała wraz z siostrą. Zapamiętałem stamtąd zwłaszcza bramę prowadzącą z sieni na schody, podobną do szafy — w tej szafie zmówiliśmy się, że się jednak pobierzemy. Ten wzruszający moment sprzed blisko półwieku trwa wciąż w mojej pamięci.

— Wróćmy jeszcze do pierwszych lat powojennych i do pewnej niemiłej przygody, charakterystycznej dla tamtych czasów.

— Któregoś dnia, w początkach stalinizmu, wkuwałem pilnie, bo zbliżał się termin egzaminu z położnictwa i ginekologii, ale postanowiłem na chwilę zajrzeć do Romka. Poprosiłem matkę, by była uprzejma zagrzać mi kawy, bo zaraz wrócę. Wróciłem po trzech i pół tygodniach, bo w mieszkaniu na Łobzowskiej wpadłem w kocioł. Nie chodziło o Romka, ale o jego sublokatora, który zresztą uciekł w nocy przez okno po związanych prześcieradłach; strasznie na nas za to krzyczano. Solidarność ludzi była jednak wtedy tak wielka, że gdy wyrzuciłem przez okno karteczkę z wiadomością zaadresowaną do mojego taty, otrzymał ją już po półgodzinie.

Zanim nas wypuszczono, zostaliśmy przewiezieni na plac Inwalidów do gmachu UB. Naiwny, poprosiłem, żeby mi dali zaświadczenie dla uczelni, bo minął właśnie termin egzaminu. — O nie, my żadnych zaświadczeń nie wydajemy — usłyszałem w odpowiedzi.

— *A* kiedy począł się pan pojawiać w Związku Literatów na Krupniczej jako początkujący pisarz?

— Chyba w 1946 roku, w tak zwanej Sekcji Młodych. Przechadzał się wokół nas Wyka, który największą nadzieję literatury polskiej widział wtedy w Wilku Machu. Byli tam tacy, o których świat dziś nic nie wie — w literaturze jak w maratonie, po drodze często się odpada. Siedziałem w kącie jak szare gąsiątko.

W 1948 roku kończyłem studia, robiłem absolutorium, i wtedy się okazało, że wszyscy absolwenci medycyny idą do wojska — na zawsze. Powiedziałem sobie — nie, w

takim razie ostatniego egzaminu zdawać nie będę, nikt mnie nie zmusi. W tym samym roku odbyła się w Sowiech—związkowej Akademii Rolniczej, podczas której Łysenko rozgromił tak zwany weissmanizm—morganizm, czyli genetykę po prostu. „Prawda” relacjonowała w miarę dokładnie przebieg tej sesji, wycinałem więc nożyczkami wszystkie argumenty mendelistów—weissmanistów—morganistów, by je następnie przytoczyć w „Życiu Nauki”, w przeglądzie prasy. Rozpętała się burza, uderzyła z Warszawy sama pani minister Eugenia Krassowska, ale poczciwy Choynowski nie zdradził, kto się kryje pod kryptonimem, jakiego używałem. Niedługo potem miesięcznik „Życie Nauki” zabrano do Warszawy, a nowym redaktorem został Bogusław Leśnodorski, który bardziej dał się brać pod włos.

Łysenkizm był bzdurą wprost przerażającą. Pamiętam, chyba jeszcze ze Lwowa, wizytę Głuszczenki — był prawą ręką Łysenki — który pokazywał pomidor wielkości mniej więcej dużej piłki futbolowej. Zapanowało powszechne osłupienie. Ktoś chciał pomacać, ale usłyszał, że pomidor jest z wosku, a oryginał znajduje się w Moskwie. Na to jeden z profesorów powiedział, ale tak ciszej, półgębkiem, że on już widział, jak wyciągają za uszy białego królika z cylindra, mimo to wie, że króliki w cylindrach się nie rodzą.

— W 1948 roku stracił pan też. legitymację kandydata Związku Literatów?

— Tak, bo nie wydałem żadnej książki. To znaczy, książka istniała, ale nie miała szans na wydanie. Byłem nikim: przestałem być studentem, ale dyplomu nie zrobiłem, absolwent to żaden tytuł. Druk w „Tygodniku Powszechnym” bardzo niezdrowy, dla władzy wręcz obrzydliwy. Nie mogłem już robić przeglądów prasy w „Życiu Nauki”, pracownikiem Konwersatorium Naukoznawczego też wkrótce być przestałem — zlikwidowano je, bo ustrój nie lubił oddolnie powstających organizacji — chodziłem tylko na smażone kartofelki, bardzo smaczne, do narzeczonej Jurka Wróblewskiego. Przyjaźń nasza z Jurkiem przetrwała wiele lat. Także wtedy, gdy on wyjechał do Łodzi, gdzie został profesorem, korespondowaliśmy regularnie i dość otwarcie. Umarł, niestety, na serce; leżałem akurat unieruchomiony tak zwanym heksenszusem i nawet na pogrzeb nie mogłem pojechać.

— *W efekcie wszystkich tych perypetii pierwszą pańską opublikowaną powieścią byli „Astronauty”.*

— Historia *Astronautów* zaczyna się od pewnego spaceru. Mieszkałem w Zakopanem, w „Astorii”, i poszedłem nad Czarny Staw z grubym panem, o którym nie wiedziałem, że to Jerzy Pański, szef ówczesny „Czytelnika”. Rozmawialiśmy o braku w Polsce powieści fantastycznych. Zapytał: — Napisałby pan? — Odpowiedziałem: — Dlaczego nie! — I po paru tygodniach przychodzi umowa, tylko puste miejsce na tytuł. Wpisałem więc: *Astronauty*, choć nie wiedziałem jeszcze, o czym to będzie.

Kiedy *Astronauta* się ukazali, Zofia Woźnicka, której Dąbrowska rokowała nadzwyczajną przyszłość jako pisarce, zniszczyła mnie kompletnie, zarzucając mi brak wyczucia klasowego. Słonimski potem ją delikatnie wyśmiewał, tłumacząc, że gdyby w kosmosie istniała walka klasowa, to musiałaby też powstać Komunistyczna Partia Wenus, która by nigdy nie dopuściła do inwazji na Ziemię. Drugi atakował Grzeniewski, w dwugłosie; na ogół dwugłos służy temu, by pokazać przeciwne stanowiska, a to był dwugłos negatywny. Dostałem porządne lanie.

— *Zareagował pan?*

— Coś tam głupio odpowiedziałem, ale potem przypomniałem sobie słowa Goethego w rozmowie z Eckermannem: że nigdy nie powinno się rozmawiać z krytykami. Eckermann na to: — A gdyby oskarżyli pana o kradzież srebrnych łyżeczek? — Też nie — odpowiedział Goethe, i miał naturalnie rację.

— Po wydaniu „*Astronautów*” przyjęto pana ponownie do ZLP?

— Nie od razu. Najpierw przyjechał do Krakowa Putrament i tłumaczył mi w jakiejś kawiarence, że dla Polaków najgorszy jest brak własnej Syberii — gdybyśmy ją mieli, moglibyśmy tam wszystkie śmieci antyrządowe i antykomunistyczne powysyłać, i to by dopiero oczyściło atmosferę. On przemawiał, ja się nie odzywałem. W końcu obiecał, że moje przyjęcie do Związku załatwi, i tak się rzeczywiście stało.

Po *Astronautach* napisałem *Obłok Magellana*, który był w moim rozumieniu czerwoną utopią; Janek Błoński nazywał to „chwytaniem ustroju za fasadę”. Są tam zresztą rzeczy, które technologicznie zdumiewająco się sprawdziły, na przykład cała informacja zakodowana jest na Ziemi w specjalnej sieci, a statek „*Gea*”, który leci w przestrzeń, najważniejszą jej cząstkę zabiera ze sobą. Wymyśliłem tam też „wideoplastykę”, która zasadą działania bardzo przypomina dzisiejszą wirtualną rzeczywistość.

*Obłok*... również miał kłopoty. Rozszyfrował mnie mianowicie w recenzji wewnętrznej Ignacy Złotowski, chemik, który potem wyjechał do Ameryki. Napisał, że to, co ja w powieści nazywam mechaneurystyką, jest w rzeczywistości cybernetyką, czyli burżuazyjną pseudonauką. Maszynopis został na blisko rok zatrzymany. Pomógł mi Jurek Wróblewski, który, jako prawnik, tłumaczył w „*Iskrach*”, że rzecz jest całkowicie niewinna. Tymczasem zresztą nadchodziła odwilż, zaczęło się robić coraz swobodniej.

W latach czterdziestych przygotowywano w ZSRR awanturę z fizykami, analogiczną do tej, której na obszarze biologii przewodził Łysenko. Wtedy nie wiem już, czy Lew Landau, czy ktoś inny powiedział, zdenerwowany, najwyższym władzom, że jeśli zaczną atakować fizykę teoretyczną i „einsteinizm”, nie będą mieli nigdy bomby atomowej, tylko g... I

awanturę odtrąbiono. Były jednak domeny nauki, jak ekologia, na które lodowaty wicher łysenkizmu podziałął bardzo szkodliwie. Najlepsze natomiast życie mieli matematycy, ponieważ umysł komunistycznego marksisty nigdy nie zdołał wleźć tak wysoko, by matematykę zrozumieć. Zatrzymywał się na poziomie tego, co w *Anty-Duhringu* napisał Engels o dialektyce przeciwieństw. Zawsze zresztą uważałem, że dialektyka jest to ogromna kupa bzdur, na której postawiono filozofię dialektycznego materializmu. Pani Helena Eilstein, kiedyś uczennica Kołakowskiego, która wróciła niedawno z meksykańskiego wygnania, napisała teraz książkę, wykazując w niej absolutną nieżyciowość marksizmu i myśli marksowskiej, brak punktów stykowych z rzeczywistością ludzką po prostu.

— Mówiliśmy o „zamrożeniu” na siedem lat „Szpitala Przemienienia” i o atakach na science fiction w czasach stalinowskich; a czy któraś z pana późniejszych książek miota kłopoty z cenzurą? Przecież, od „Dialogów” poczynając, poprzez „Podróż trzynastą” Ijona Tichego, tę z Pintą i Pantą, poprzez „Eden”, aż po „Opowieść pierwszego odmroźca” Z tomu „Maska”, powraca wciąż u pana w różnej postaci krytyka najlepszego z ustrojów.

— Pomagał czopowy język, czytelnicy jednak umieli się przezeń przedrzeć. Kiedyś z żoną pojechaliśmy do Pragi czeskiej, całkiem na wariata, nie rezerwując wcześniej żadnego noclegu. Jeździmy taksówką od hotelu do hotelu — nie ma mowy o pokoju, wszystko zajęte. W końcu trafiliśmy na Vinohrady. Kładę paszport w recepcji i słyszę znowu: — Nie ma nic. — Za chwilę jednak recepcjonista podnosi znad mojego paszportu głowę: — To wyście napisali *Eden*? Ja rozumiem, ja rozumiem... — i wręcza mi klucz. To był największy sukces pisarski mojego życia.

Napisawszy *Pamiętnik znaleziony w wannie* dałem w zakopiańskiej „Astorii” maszynopis do czytania Janowi Koltowi i chyba też Maciejowi Słomczyńskiemu. Obaj zwrócili mi go, mówiąc: — To dobre, ale u nas nigdy się nie ukáže. — Za rok *Pamiętnik...* był w księgarniach.

— ***Ingerencje cenzury są natomiast w pańskich rozmowach ze Stanisławem Beresiem, prowadzonych w latach 1981—1982.***

— No, stamtąd wypadł cały jeden rozdział — o Polsce. Został tak poszatowany, że wolałem go w ogóle usunąć. Pozostałe ingerencje były niewielkie. Cenzura skreśliła na przykład zdanie, że mój ojciec nigdy nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, w jakim ustroju naprawdę żyjemy. Nie byłem drobiazgowym zbieraczem opustek cenzuralnych, cieszyłem się natomiast sporym niezrozumieniem. Na Zachodzie do dziś dziwią się, jak mogłem w połowie lat pięćdziesiątych przedstawić w *Dialogach* rzeczywisty mechanizm systemu komunistycznego. U nas natomiast niewiele z tego pojęto, co widać najlepiej po

okładce, na której Mikulski narysował dwa papucie i drabinę. Ma to tyle wspólnego z moją książką, co pan z dalajlamą.

I jeszcze jedno: niektóre utwory zmieniają z latami charakter. Kiedy ukazała się *Maska* ze wspomnianą przez pana *Opowieścią odmrożeńca*, wiadomo było, że w historyjce o Harmonii Sfer i Goryllium chodzi o komunizm i Sowiety. Pisało się takie rzeczy z pianą na ustach i jadem w sercu, a dziś czyta się je jak zwykłą bajkę. Barańczak zatytułował jedną ze swoich książek *Breathing under water (Oddychanie pod wodą)* — to znów aluzja do podróży Ijona Tichego na planetę Pinta, gdzie po podniesieniu poziomu wody o pół głębarka trzeba było chodzić na palcach, a niektórzy zaczęli znikać. Owszem, ludzie inteligentni mieli z tych kawałków dużo przyjemności, a ja je pisałem, ponieważ para wychodziła mi uszami.

— A czy nie czepiano się „Wysokiego Zamku”? To byta przecież, bodaj pierwsza książka o Lwowie napisana w PRL-u; przedtem był tylko „Zegar słoneczny” Parandowskiego.

— To dziwne, ale nie. Cenzura się nie przyczepiła, uznano to za niewinne wspomnienia z dzieciństwa, dostałem natomiast ogromną ilość korespondencji z kraju — od lwowiaków, którzy czytali mnie nie jako autora *science fiction*, tylko jako tego, który pisze z miłością o ich mieście. Niedawno Krzysztof Myszkowski zapytał mnie, czym jest dla mnie Lwów. Odpowiedziałem krótko: Ojczyznę. Miasta znajdujące się na pograniczu kulturowym wytwarzają często środowisko jakby bardziej skupione, dokonuje się w nich akumulacja intelektualna; nad Pełtwią tak właśnie było. Mieszkam w Krakowie ponad pół wieku, ale kiedy prezydent miasta prosił, bym coś napisał do kuli na ratuszu, grzecznie odmówiłem, tłumacząc, że jestem tutaj tylko azylantem. Jestem wypędzony, *ich bin auch ein Vertebener* — zawsze to powtarzałem Niemcom, którzy mi opowiadali o swoich krzywdach, jak na przykład burmistrz Berlina pastor Heinrich Albertz podczas pewnej kolacji. Powiedziałem mu: — Nie uważam, by państwa były czymś w rodzaju mebli, które można przesuwac z kąta w kąt, ale wam się przynajmniej wolno skarżyć głośno. W PRL-u ani pisać, ani mówić się o tym nie da, gęby mamy zamknięte na kłódkę. — Ani słowem już do tematu nie wrócił.

— Był jednak pewien pański utwór, którego nie próbował pan nawet przedstawić cenzurze — groteskowa opera o Stalinie...

— Ja tę operę nawet nagrałem, ale taśma magnetofonowa starego typu stała się wskutek długiego składowania nie do odczytania, a maszynopis zaginał gdzieś w czeluściach naszego domu. Pamiętam oczywiście fragmenty: w finale wychodził na scenę towarzysz Stalin, „nadludzko genialny i nieludzko uśmiechnięty”. Występowały tam takie osoby, jak Awdotia Niedonagina-Praksichwsichina, jak Diemientij Psychow, który pojechał do Stanów

Zjednoczonych, by tam podglądać kapitalistyczną produkcję przez dziurkę od klucza, i wrogowie wybili mu oko, wsadzając w tę dziurkę drut do szydełkowania, jak enkawudysta Anichwilitegonie radzę, który się nerwowo bawił naganem. Występował też Miczurenko, uczeń Łysiurina; wyhodował on kaktus z sutkami, który wytwarzał specjalne mleczko i można go było doić. Miczurenko okazał się jednak nie dość prawomyślny, mleczko nie było takie, jak trzeba, po uczonego mieli przyjść przedstawiciele wiadomego urzędu, zmiłował się jednak nad nim nieludzko uśmiechnięty Stalin. — *Nu* — powiada — *niemnozko tak od linii otorwats'a?* — A, niech tam...

Czytałem tę sztukę znajomym i przyjaciółom, nawet nie pod kołdrą. Odgrywałem wszystkie postacie, także Awdotię Niedonaginę, przemawiając cienkim głosem. Nie mogę odżałować jej straty.

## ROZMOWA CZWARTA

O zagranicznych podróżach, rosyjskich przygodach i olbrzymiej kuropatwie

— *Z zamkniętego świata PRL—u zaczął się pan stosunkowo szybko wyrwać za granicę.*

— W pierwszą poważną podróż wyruszyliśmy z Bonerowskiej. Żona moja, w przeciwieństwie do mnie, była zawsze zapaloną miłośniczką wycieczek. Wypłynęliśmy w rejs „Mazowszem”, taką straszną płaskodenną łajbą, sprowadzoną zdaje się z Balatonu, i po raz pierwszy zetknęliśmy się z prawdziwym światem kapitalizmu — to była połowa lat pięćdziesiątych, a na statku zebrały się ówczesne polskie elity. Byliśmy w Norwegii i w Danii; w Kopenhadze zwiedzaliśmy o drugiej w nocy „Tivoli”. Wszystkie wystawy sklepowe jarzyły się elektrycznością. Panowie poszli w jedną stronę, panie w drugą. Mężczyźni zachowali równowagę, natomiast kobiety wróciły kompletnie załamane tym, co zobaczyły. Przemyciłem na tę wycieczkę w kieszonce od zegarka straszliwą kwotę dwudziestu dolarów, żona kupiła za to jakiś sweterek, który już w Krakowie rozpadł się na dwie części, gdy go po praniu wyżywała...

Kiedy wschodnioniemiecki reżyser Kurt Maetzig kręcił *Milczącą gwiazdę* — straszny film podług *Astronautów* — i po raz pierwszy pojechałem do NRD, przywoziłem stamtąd walizkę rozmaitych cudów. Żona leżała akurat przeziębiona w łóżku i razem z siostrą podziwiała a to torebkę z prawdziwego plastiku, a to flaszkę — też z plastiku, a to prawdziwe plastikowe treпки...

*Astronauci* ukazali się w NRD jako *Der Planet des Todes*. *Obłok Magellana* nosił tam dziwny tytuł *Gast im Weltraum* (*Gość w kosmosie*) — ale miał osiem albo dziewięć wydań, i to masowych. Brałem z banku grube zwitki marek wschodnich, wsiadałem do metra, jechałem do Berlina Zachodniego, tam wymieniałem je na marki zachodnie — trzy za jedną — i szalałem, kupując rozmaite rzeczy, głównie dla żony. Tym, kto mnie do uprawiania tego procederu skusił, był pewien członek Związku Literatów z Warszawy — dziś nazywa się Marcel Reich—Ranicki i mieszka w Niemczech. Najpierw trochę się bałem. Kiedy wysiedliśmy z metra i zobaczyłem policjantów zachodnioniemieckich w długich białych płaszczach, miałem wrażenie, że na moim czole widnieje napis: „Ten jest spod czerwonej gwiazdy!”, i zaraz się ci policjanci na mnie rzucają.

— *To się działo przed zbudowaniem muru?*

— Żadnego muru jeszcze nie było, jeździło się stosunkowo swobodnie, zacząłem się więc rozzuchwalać. Była akurat zima, kupiłem żonie sztuczne futerko do kolan — sztuczne tworzywa bardzo były w modzie — no ale trzeba było jakoś przejechać przez granicę stref, gdzie odbywała się enerdowska kontrola celna. Ubrałem się więc w futro z bobrowym kołnierzem, na głowę włożyłem futrzaną czapę, siadłem w kącie wagonu metra i cały zasłoniłem się płachtą „Prawdy”, którą wcześniej nabyłem: Oto ja, *sowietskij czelowiek*, siedzę i „Prawdę” czytam! Celnicy kontrolowali cały pociąg — mnie nie odważyli się nawet zagadnąć. Gdyby się zresztą do mnie zwrócili, zacząłbym mówić po rosyjsku...

Wcześniej otrzymałem propozycję wydania *Astronautów* w ZSRR, lecz niezbędnych okazało się coś sto poprawek. Ponieważ przy *Szpitalu Przemienienia* przeszedłem już przez te wszystkie wyżymaczki, więc powiedziałem: żadnych poprawek nie będzie. I po jakimś czasie wydali — bez poprawek. Inaczej było z *Solaris*. Kiedy w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych mieszkałem w Wiedniu, zaczął do mnie pisać tłumacz nazwiskiem Nudelman, rosyjski Żyd, który wyemigrował do Izraela. W piśmie, które po rosyjsku tam wydawał — nazywało się „II”, do dziś nie wiem, skąd ten tytuł — zamieścił artykuł, w którym przytoczył skreślenia dokonane w rosyjskim wydaniu *Solaris* przez sowiecką cenzurę. Nic o nich nie wiedziałem, miałem ważniejsze rzeczy na głowie, aniżeli czytać własne powieści po rosyjsku — a teraz się dowiedziałem, że wszystko, co dotyczyło Boga, religii i tak dalej, zostało starannie wyczyszczone. Dziś już oczywiście ukazują się wydania pełne, bez żadnych skreśleń — ale to były inne czasy...

— ***Wtedy zaczęły się pańskie wyprawy do ZSRR?***

— W Rosji robiłem się coraz bardziej znany, a już na punkcie *Solaris* zwariował nie tylko Tarkowski, o którego film bardzo się z nim zresztą pokłóciłem — ale o tym opowiadałem już szczegółowo Beresiewi. Jak tylko pojawiałem się w Moskwie, naukowcy odbijali mnie od literatów. Nie poznałem w rezultacie ani jednego literata, może z wyjątkiem braci Strugackich, tylko samych fizyków, astrofizyków, cybernetyków; zapraszany byłem na śniadania, obiady, kolacje. Zacząłem też spotykać dysydentów, którzy mi zadawali trudne pytania, na przykład, dlaczego u nas nie ma samizdatu? Nie wiedziałem, co odpowiedzieć — u nich był już i samizdat, i tamizdat, czyli to, co drukowane za granicą. Któregoś dnia odwiedziłem tak zwany Instytut Wysokich Temperatur pod Moskwą, dokąd trzeba było mieć specjalną przepustkę, i miałem coś w rodzaju pogadanki do pracowników. Kiedy wkładałem palto, ktoś mi wsunął do ręki karteczkę, na której było napisane: „Temu człowiekowi może pan spokojnie wierzyć”. Człowiek zaś powiedział mi: — Proszę z hotelu „Pekin”, gdzie pan mieszka, wyjść o dziewiątej wieczór i stanąć na rogu.

Polecenie to polecenie: wyszedłem przed hotel, po chwili zajechał zaporoziec — nieduże auto, za to pełne ludzi. Pytam: — Jakże ja wsiądę? — Niczewo! — Usiadłem na czyichś kolanach i ruszyliśmy w czarną noc moskiewską. Oglądałem się, czy nie jadą za nami jakieś kagiebowski budy, ale nie. Jechaliśmy ciemnymi zaułkami, potem poprowadzono mnie po jakichś schodach — i nagle otwierają się drzwi, bucha światło elektryczne, a za stołem śmietanka nauki rosyjskiej, w tym prezes Akademii Nauk, estońskiej do tego, a także profesor Josif Szklowski, którego wcześniej poznałem — to był radiofizyk, organizował z Carlem Saganem sympozjum na temat łączności z innymi cywilizacjami.

Siadamy, każdy ma talerz, nóż, widelec, po prawej stronie stoi puszka zagranicznego piwa, a po lewej małe pudełko z camelami. I oświadczają mi: — *Zdies' možna goworit' wsio!* — Powiadam wtedy: — Skoro można wszystko mówić, to odpowiedzcie mi, proszę, na pytanie. Mam pomysł na książkę o superkomputerze, który by wygłaszał wykłady na temat ludzkości i jej losów. Czy to ma sens? — *Nu, konieczne*) — zaczęli mnie tak podbechtywać, że niedługo po powrocie do Polski powstał *Golem*...

— ***Czy właśnie wtedy poznał pan Strugackich?***

— Nie, ich spotkałem w Petersburgu, czyli naówczas Leningradzie. To osobna historia. Pojechałem tam z inicjatywy mojej tłumaczki, Ariadny Gromowej — już nie żyje, biedaczka. O północy odchodził z Moskwy pociąg, złożony z samych wagonów sypialnych, i szedł prosto do Petersburga, nigdzie się nie zatrzymując. Istnieje znana legenda, że pociąg ten w jednym tylko miejscu zatacza półkole — tam mianowicie, gdzie car, rysując trasę na mapie, przytrzymał palcem linijkę. Nie wiem, czy to prawda.

W Petersburgu dużo się działo. Mieszkałem w hotelu naprzeciw wspaniałego Isaakijewskiego soboru, a pokój wyglądał tak, jakby przed chwilą wyszedł z niego carski oficer: adamaszki i tak dalej. Bracia Strugaccy brali mnie pod włos: kiedy rozmawialiśmy, postawili na stole butelkę koniaku z trzema gwiazdkami i gdy tylko się opróżniała, czarodziejskim sposobem zjawiała się następna. Ale nie dali rady, nie pozwoliłem się od tej strony złapać i uszedłem z honorem.

— ***A czy pańscy rosyjscy znajomi prowadzili z panem korespondencję?***

— Nie, ale na przykład noblista profesor Frank, kiedy przyjechał do Krakowa, przyszedł mnie odwiedzić.

— ***Znał pan też innego noblistę, profesora Kapicę.***

— Owszem, choć on już nie podróżował — w Krakowie był po latach jego syn. Sam Kapica przyjął mnie w Moskwie; zamknął się ze mną w gabinecie i rozmawialiśmy godzinę. Jego współpracownicy czekający na korytarzu byli bardzo rozczarowani, powiedziałem więc

lekkomyślnie: — Kto sobie *życzy*, może mnie odwiedzić w hotelu „Pekin”. I wieczorem przyszło tylu gości, że musieli stać, chociaż pokój był wielki, a kameralne w zamyśle spotkanie przekształciło się w rodzaj mityngu. Zupełnie się tego nie spodziewałem. Innym razem fizycy zaprosili mnie na kolację do restauracji na Nowym Arbacie. Olbrzymia hala, jak na zeppelin, kelnerzy powinni w niej jeździć nawet nie na wrotkach, ale na rowerach. Popatrzyłem do karty i poprosiłem o kuropatwę. Ponieważ w Związku Radzieckim wszystko było wielkie, kuropatwa okazała się być rozmiarów wielkiej starej kury. Siedzieliśmy długo, w końcu zacząłem się kręcić niespokojnie, bo o wpół do jedenastej zamówił się do mnie na wizytę w hotelu członek korespondent Akademii Nauk. Niepokoilem się słusznie, bo kiedy wyszliśmy, okazało się, że łatwiej o Królową Śnieżkę niż o taksówkę, choć moi gospodarze z wielką ofiarnością próbowali ją zdobyć, rzucając się niemal pod koła przejeżdżających aut. Dotarłem w końcu do hotelu o wpół do dwunastej — przed drzwiami mego apartamentu siedział akademik na własnej teczce, położonej na dywanie. Obaj staraliśmy się udawać, że to zupełnie normalne i że akademicy niczego innego nie robią, tylko wysiadują na podłodze na teczkach.

Przed drugą wizytą w Moskwie przyjaciele poradzili mi zabrać neskę i skondensowane słodzone mleko. Przyjeżdżam do hotelu — tym razem był to hotel „Warszawa” na prospekcie Lenina — i nazajutrz rano dowiaduję się, że nie ma mleka do kawy. Nie szkodzi — mam puszkę z mlekiem skondensowanym. Na piętrze znajduje się niewielkie okienko, przez które wydają śniadania, a przed nim stoi długi ogonek, składający się częściowo z gości z NRD. Pewien inżynier z NRD z żoną mieszkał naprzeciw mnie. Jeździłem z nimi często windą i zauważyłem, że zwłaszcza jego żona bardzo była przestraszona ogólną radzieckością. Na śniadanie bywały całkiem dobre parówki, ale zwykle nie chciało mi się stać w kolejce. Byłem zresztą w rozmaite produkty żywnościowe zaopatrywany: jeden Rosjanin przyniósł mi jabłka, zielone i twarde jak kamień, inny — jeszcze jedną puszkę mleka, i jakoś się żyło. W apartamencie oprócz trzech telewizorów — dlaczego aż trzy? — bo któryś może się zepsuć, tłumaczyła mi hotelowa obsługa — stała też olbrzymia lodówka; nie wiedziałem po co, szybko jednak zrozumiałem...

ZSRR nie przestrzegał wtedy konwencji o prawach autorskich, i tłumaczono tam bez ograniczeń zachodnią literaturę z dziedziny fizyki czy astronomii. Nie miałem takich zdolności w jej pozyskiwaniu jak Choynowski, ale na przykład całego Feynmana mam do dziś na półce po rosyjsku. Zresztą i sami Rosjanie mieli, trzeba to powiedzieć, pierwszorzędną naukę. Mówię o naukach ścisłych;

filozofia to był jeden nonsens. Zarówno w Rosji, jak i w krajach przez nią

kontrolowanych. Podczas jednej z moich ostatnich przejazdów do NRD zostałem zaproszony przez prezydium tamtejszego związku literatów. Spotkanie miało przebieg całkowicie surrealistyczny: ja mówiłem pewne rzeczy — po niemiecku oczywiście! — oni jednak udawali, że ich nie słyszą, i odpowiadali na zupełnie inny temat, chociaż także po niemiecku. Wyszedłem po dwóch godzinach, wściekły i okropnie opity herbatą, którą, słuchając ich bredzenia nieprzytomnego, wciąż popijałem.

— ***W NRD, mimo popularności, nie miał pan tak bliskich kontaktów z ludźmi?***

— Bliskich kontaktów może mniej, ale popularność nadludzką! Kiedy podpisywałem książki u mego wydawcy, w wydawnictwie Volk und Welt, ogonek ciągnął się przez schody, wychodził na ulicę i tam zakręcał. Przedemną piętrzył się stos tomów, w których jak maszyna składałem autografy, a tymczasem co jakiś czas z kolejki wyciągano za kołnierz następnego delikwenta, który nie miał pieniędzy na książkę i próbował ją po prostu ukraść. Jak się potem dowiedziałem, jeden wracał trzykrotnie! Bardzo żałowałem, że powiedziano mi o tym za późno; należała mu się nagroda za wytrwałość.

Podczas kolejnej wizyty, którą odbywałem już z żoną, dyrektor wydawnictwa, pan Gruner, zaprosił nas do siebie i tam w domowym zaciszu skarżył się, że kiedy wyjeżdża na targi książki do Frankfurtu, jego małżonka zostaje we wschodnim Berlinie jako zakładnik. Z wschodniego Berlina przenieśliśmy się potem do zachodniego, mieszkaliśmy w hotelu „Sylter Hof”. Miałem sporo pieniędzy, bo wydawano mnie już obficie w obu częściach Niemiec, wynająłem więc taksówkę na pół dnia, by nas po całym Berlinie Zachodnim obwiozła. Taksówkarz zawiózł nas pod sam mur, tak daleko, jak było można, pokazał specjalny punkt widokowy i ze zgrozą pokazywał wypalony czarny Reichstag, który jak trupi szkielet stał po drugiej stronie.

Innym razem, kiedy odwiedziłem Berlin z krewnym żony, profesorem Olgierdem Czemerem, architektem, który Wrocław z gruzów podnosił, przejeżdżaliśmy przez granicę stref S-Bahnem, oglądając z góry zabezpieczenia od wschodniej strony: pasy śmierci, zaoraną ziemię, spirale drutu kolczastego i słupy z urządzeniami samostrzelającymi. Propaganda enerdowska twierdziła, że po zachodniej stronie dzieją się rzeczy straszne. Tymczasem, jak to Gombrowicz w *Dzienniku* opisał, nic się tam w ogóle nie działo: starsze panie spacerowały z pieskami, starsi panowie pili kawcię. Raz jeden oglądaliśmy z żoną capstrzyk oddziałów brytyjskich, ale i wtedy bomb atomowych nam nie pokazano...

Jeszcze pilniej strzeżone były oczywiście granice Sowietów. Spędzaliśmy dawno temu z żoną wakacje gdzieś przy wschodniej ścianie, na bieszczadzkiem pogórzu — głównie zbieraliśmy tam rydze — i gospodarze powiedzieli nam, że w rzeczce, która płynęła na stronę

sowiecką, założono specjalne siatki umocowane łańcuchami, by zatrzymać wszelkie płynące obiekty. Żadna puszka z wrogimi materiałami nie zdołałaby się przez oka tych siatek prześliznąć. Wyszliśmy raz na spory pagór i zobaczyliśmy, że jadący po sowieckiej stronie półtoratonowy GAZ ciągnie za sobą długą kitę kurzu i piachu: droga, po polskiej stronie już wyasfaltowana, tam była nadal drogą ziemną. Za to w lasach pogranicza znajdowały się betonowane przecinki, którymi mogłyby wjechać do Polski czołgowe zastępy, gdyby tylko taka potrzeba zaszła, choć były to dopiero lata pięćdziesiąte i o interwencji w Czechosłowacji jeszcze nikt nie myślał.

— *W pańskiej biografii znajduje się jeden wyjątkowo długi pobyt za granicą; nie było pana w Polsce przez, całe niemal lata osiemdziesiąte. Dlaczego?*

— Kiedy wprowadzono stan wojenny, zostałem, jak wszyscy, odcięty od całego świata, w tym także od moich spraw wydawniczych. Udało mi się zdobyć paszport i wyjechać do Berlina Zachodniego, gdzie można się było dostać bez wizy RFN-owskiej. Stamtąd porozumiewałem się telefonicznie z moim wydawcą, doktorem Siegfriedem Unseldem, szefem Suhrkamp Verlag — dla mnie to tak zwany *Stamm-erlag*, ukazały się tam prawie wszystkie moje książki. I właśnie dzięki Unseldowi zostałem zaproszony na roczny pobyt w zachodniobерlińskim Wissenschaftskolleg, czyli Institute for Advanced Studies pod rektorem Wapnewskim, jako tak zwany *visiting fellow*. W Berlinie Zachodnim przebywało wtedy wielu Polaków. Najbardziej zbliżyłem się z Władkiem Bartoszewskim, świeżo wypuszczonym z internatu, mieszkaliśmy obok siebie przy Pacelliallee.

— Napisał pan wstęp do niemieckiego wydania jego książki o getcie warszawskim.

— I to miało swój dalszy ciąg już w latach dziewięćdziesiątych. Kiedy Bartoszewski został ambasadorem w Wiedniu, wydał w swej rezydencji wieczerzę, na którą uroczyście nas zaproszono. Podczas niej wstał, zadzwonił w szklankę i wygłosił na moją cześć przemówienie. Wdzięczny mi był, że go wprowadziłem do wydawnictw niemieckich, gdzie do dzisiaj ukazują się jego książki. Było to trochę krępujące, ale i, przyznaję, bardzo przyjemne.

Poznałem w Berlinie także inną osobę znaną mi wcześniej z lektury. Kiedyś, gdy grzebałem w moim mercedesie, stojąc przy Pacelliallee, przystąpił do mnie pan z pieskiem i przedstawił się: to był Bohdan Osadczuk. Chodziliśmy później do Osadczuków często, byliśmy — poza kręgiem polskim — trochę osamotnieni. Nasza dzielnica była dość arystokratyczna, willowa. Naprzeciwko naszego domu stała budowla wyglądająca jak powiększony dom Baby—Jagi kryty piernikami — ten z *Jasia i Małgosi*. Mieszkał w nim komendant amerykańskiego sektora, a po chodniku chodził zawsze tam i z powrotem

niemiecki żandarm z *walkie-talkie* i innymi udoskonaleniami technicznymi.

Spędziłem w Berlinie cały rok akademicki 1982/ 1983. Żyło się fantastycznie, jedynym moim obowiązkiem było wygłoszenie jednego wykładu — wybrałem temat z *Filozofii przypadku*, o tym, jak powstają arcydzieła literatury — poza tym nie tylko pieniądze wpływały na konto, ale przede wszystkim radowałem się obsługą biblioteczną taką, jakiej nigdy przedtem nie miałem i nigdy już nie będę miał. Wypisywałem tylko zamówienia i składałem je na stoliku przed drzwiami mieszkania. To, co można było znaleźć w Berlinie, dostawałem od razu; to, co znajdowało się w którejś z niemieckich bibliotek — na drugi dzień; a jeśli książkę trzeba było sprowadzić z Londynu albo z Ameryki, trwało to aż trzy dni... Ściągałem całe stosy książek. Zaczęła mnie wtedy interesować lateralizacja mózgu po kalotomii...

— Zabieg, któremu poddany wstaje w „Pokoju na Ziemi” Ijon Tichy.

— Właśnie, w tej powieści znajdzie pan echo moich ówczesnych lektur. Siedziałem więc w Berlinie, a po mniej więcej pół roku udało mi się ściągnąć żonę i syna. Był tam pewien Węgier, emigrant, mieszkający od lat w Ameryce, który także przyjechał jako *fellow*, i powtarzał mi wciąż: „*Now or never*”, albo teraz zostaje pan na Zachodzie, albo nigdy. Myśmy jednak nie byli zachwyceni taką perspektywą i postanowiliśmy — podobnie zresztą jak Bartoszewscy — pozostać na paszportach polskich jak długo się da. I to się powiodło. W którymś momencie w „*Die Welt*” napisano, że Lem wybrał wolność; odpowiedziałem listem do redakcji, że jestem nadal obywatelem polskim.

Siedząc w Berlinie, mieliśmy oczywiście silnie osłabiony wpływ na to, co się w Polsce działo, ale razem z Władkiem umieściliśmy w berlińskiej gazecie „*Tagesspiegel*” list otwarty, dotyczący sfalszowanego przez bezpiekę rzekomego listu Jana Józefa Szczepańskiego do władz. Nawiasem mówiąc, robiąc niedawno porządki w bibliotece, znalazłem książkę — *de mortuis nil nisi bene*, ale jednak dosyć koszmarnego pana Jerzego Witthna, jego zapiski z lat osiemdziesiątych. Można tam zobaczyć, jak te lata postrzegała druga strona, strona prominentów *PRL*, i w jakich przyjemnościach się pławili.

Napisałem wtedy, po pierwsze, trzyczęściową *Bibliotekę XXI wieku*, po drugie, jak wspomniałem, *Pokój na Ziemi*, po trzecie, zacząłem pisać *Fiasko*. I chodziłem na spacerzy do niezbyt daleko położonych muzeów. Wisiały tam najpiękniejsze Cranachy, a w Antropologisches Museum stał okręt, zbudowany przez tubylców z wysp Oceanii, cały z drzewa, bez jednej cząstki metalu. Sam już nie wiedziałem, co jest wspanialsze — czy Cranachy, czy ta pierwotna sztuka. Jedyłą podłą rzeczą była *mensa academica* w naszym Instytucie. Strącano nam ze stypendium kilkanaście marek dziennie na najgorszą kuchnię w

całym Berlinie. Podejrzewaliśmy, że gdzieś w Niemczech znajduje się olbrzymi kocioł, z którego rozprawdzają rurociągami sos do pieczenia... Szpinak gotowano tam w ten sposób, że wrzucano na wrzątek całe kępy liści. Nie jestem bardzo skąpy, ale nie lubię też, jak się marnuje pieniądze, jednak wolałem stracić te trzynaście marek i chodzić na własny rachunek do włoskiej restauracji.

— A jakimi drogami trafił pan później do Austrii?

— W Wissenschaftskolleg poznałem nieżyjącego już, niestety, doktora Wolfganga Krausa, kierownika Österreichisches Institut für Literatur. Kiedy kończył się nasz pobyt w Berlinie, to właśnie doktor Kraus zaprosił nas do Wiednia. Siedzieliśmy tam sześć lat, mój syn zdążył skończyć American International School, do której udało się go wsadzić, aż wreszcie pojawił się na horyzoncie Gorbaczow ze swoją *glasnością*, i w 1988 moja żona proroczo powiedziała: to jest dla nas znak! Jesienią tego roku wróciliśmy do Polski. Syn został w Wiedniu, a następnie poleciał do Stanów, dostał bowiem wspaniałą depezę, że przyjęto go do Princeton. Skończył tam fizykę teoretyczną — już w gimnazjum odznaczył się matematyczno—fizycznymi talentami, które ani mnie, ani żonie nie zostały dane — ale zachwycony amerykańskim stylem życia nie był i zdecydował po studiach, że wraca do Polski. Hugo Steinhaus napisał w swoich pamiętnikach, że są Polacy, którzy do amerykańskich warunków świetnie się adaptują, jak Stanisław Ułam, i są tacy, którzy są do tego organicznie niezdolni.

Co się działo w Wiedniu? Austriacy zachowali się o tyle ładnie, że nie byłem obciążony pełnym podatkiem, płaciłem tylko ryczałt, ale za to znajdowałem się pod całkowitym *Arbeitsverbot*, zakazem jakiegokolwiek pracy. Poprawiałem tylko to, co napisałem w Berlinie. *Fiasko* ukazało się w Fischerverlag, co doktor Unseid uznał za zdradę — ale Fischer dał mi sto tysięcy marek za książkę, której jeszcze nie było, a pieniądze bardzo mi były wtedy potrzebne.

— *W Austrii obsypano pana nagrodami...*

— A tak, owszem; podejrzewam zresztą, że *magna pars fuit* tenże doktor Kraus. Dostałem najpierw Österreichisches Preis für Europäische Literatur, a potem Kafka—Preis — odbierałem jaw Klostemeu—burgu — którą nieco później wyróżniono i Mrożka. Z Mrozkiem zresztą prowadziliśmy przez cały czas żywą korespondencję.

Charakterystyczne dla stosunków austriackich jest, że jak długo byłem nieznaną istotą, traktowano mnie dosyć brutalnie, a kiedy się rozeszła fama o moich nagrodach, bardzo się to zmieniło. W Berlinie, siedząc rano przy pracy, wiedziałem, kiedy bije dziewiąta, bo dokładnie o tej godzinie pojawiali się listonosze na żółtych motocykietkach. W Wiedniu natomiast

poczta raz przychodziła o dziesiątej, raz o pierwszej, a kiedy indziej wcale. Poszedłem więc do kierownika urzędu pocztowego z reklamacją i już na progu dumnie oświadczyłem: — *Ich bin ein österreichischer Preisträger*. Skutek był porażający: kierownik biegł przede mną korytarzem zgięty w pół i otwierał wszystkie drzwi, a poczta zaczęła przychodzić punktualnie.

Mieszkaliśmy najpierw przy Margareten, ale tam było bardzo ruchliwie, co dla nas, nawykłych na krakowskich Klinach do warunków raczej wsiowych, było nieprzyjemne; na szczęście udało się przenieść do małego, ale przytulnego domku jednorodzinne na Hietzingu. Najpiękniejszą ozdobą tego domku było drzewo śliwkowe, *Zwetschgenbaum*; jesienią zbieraliśmy olbrzymie kosze wspaniałych owoców. Pamiętam też dobrze tort Księcia Eugeniusza, Prinz Eugen Torte. Żona moja twierdzi, że umiałbym pokazać na mapie wszystkie miejsca, w których zjadłem coś dobrego. Być może to prawda...

Obok nas mieszkał pewien Belg i z nim prowadziliśmy grzeczną, choć zdawkową konwersację, natomiast drugi nasz sąsiad, Austriak, udawał po prostu, że nas nie dostrzega. Żona moja powstrzymywała mnie zawsze przed publicznym narzekaniem na Austriaków: po sukcesach Haidera zmieniła trochę zdanie. Ale Wiedeń to w ogóle dziwne miasto: olbrzymia głowa na małym ciele, stolica imperium, które następnie wciągnęło swoje austro—węgierskie macki i skurczyło się do rozmiarów małego państewka. Kiedy weźmie pan książkę telefoniczną Wiednia, znajdzie pan tam nazwiska czeskie, chorwackie, polskie, węgierskie, włoskie i Bóg wie jakie jeszcze — niemieckich jest najmniej. I dlatego właśnie, jak sądzę, Austriacy są takimi ksenofobami.

— Podczas pobytu w Wiedniu współpracował pan z „Kulturą” paryska.

— Owszem, publikowałem tam artykuły jako „P. Znamca”, a Giedroyc pisał do mnie bardzo zabawne listy: „podobno zna pan pana Znamcę, niech mu więc pan powie to i to...” Taka trochę szkolna konspiracja. Oczywiście telefonowałem też czasem do Maisons—Laffitte, rozmawiałem zwykle z panią Zofią Hertzową, ale starałem się być ostrożny — uważałem, przyznając się do tego, że odstrzeliwanie pięty Leninowi nie ma wielkiej skuteczności, natomiast *littera monet*. Co się wydrukuje, choćby pod pseudonimem — to pozostanie.

Otrzymywałem regularnie numery „Kultury”, chodziliśmy też często do Polnische Buchhandlung prowadzonej przez Zosię Reinbacher, siostrę pani Ewy Milewicz, która dziś pracuje w „Wyborczej”, i kupowaliśmy tam wszystkie nowości. Niestety, podczas powrotu tylko część tej biblioteki udało mi się sprowadzić, resztę zatrzymano. Zdarzyło mi się zresztą przywozić z zagranicy zakazane materiały za tylnym oparciem mercedesa. Raz tak je głęboko i dokładnie schowałem, że w Krakowie musiałem zakupić ginekologiczne szczypce, by je

wyłowić. Kanapę bowiem na granicy czasem podnoszono, podwozie badano lusterkiem, liczyłem jednak na to, że nikt mi nie każe rozmontowywać samochodu.

— W „Kulturze” ukazały się wcześniej, jeszcze w końcu lat siedemdziesiątych, pańskie „Prognozy Chochola”, tekst napisany dla PPN-u, czyli Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, z którym pan wtedy współpracował, a którego twórcą był Zdzisław Najder.

— Nie wiedziałem, kto jest na górze, ponieważ obowiązywała zasada, żeby za dużo nie gadać; moim kontaktem był Jan Józef Szczepański. O ile pamiętam, dostarczyłem tam dwa teksty. Jednym były wspomniane przez pana *Prognozy*, bardzo pesymistyczne, a drugi, stanowiący pracę zespołową, traktował o tym, że duża część programu politycznego Stronnictwa Narodowego została zrealizowana, niestety, pod auspicjami sowieckimi, czego twórcy programu nie przewidywali.

— Czy to był pański debiut w „Kulturze”?

— Wydaje mi się, że ogłosiłem tam coś pod pseudonimem już wcześniej, ale zupełnie nie pamiętam, co to było, pamiętam tylko, że przez jakąś trzecią osobę otrzymałem honorarium w wysokości kilkuset austriackich szylingów — bardzo byłem zdziwiony, bo nie spodziewałem się żadnych pieniędzy.

Działalność Giedroycia jest dziś według mnie stanowczo nie doceniana. To znaczy, teoretycznie jego dorobek się respektuje, ale praktycznych nauk zeń nie wyciąga. Kiedy za PRL-u przyjeżdżałem do Warszawy do Związku Literatów, zawsze biegłem na najwyższe piętro do biblioteki. Bibliotekarka mnie znała i już czekał odłożony stos numerów „Kultury” wydanych od mojego poprzedniego pobytu; „Kultura” bowiem tam dochodziła, „Zeszyty Historyczne” już nie. Przez następne godziny gorączkowo wchłaniałem zawartość tych numerów, tak jak ktoś, kto się przed uduszeniem ratuje ożywczym strumieniem tlenu.

— Rzeczywiście nie myślał pan o pozostaniu za granicą?

— Nie wiedzieliśmy, czy uda się do Polski wrócić, ale myśl o pozostaniu w Austrii zdawała się raczej okropna. Doprowadził mnie do wściekłości dziennikarz „Profilu”, który zapytał, czy przybyłem tam, by zakosztować słodczy kapitalizmu. Czuliśmy się po prostu źle. Pewien wpływ na to miały na pewno moje kłopoty ze zdrowiem. W Berlinie już zaczęły się choroby, które trapiły mnie przez kilka lat, przeszedłem kilka operacji. Z jednego stołu operacyjnego zląziłem, popisałem trochę i włąziłem na następny.

Jedyną dobrą stroną pobytu w obcym kraju jest brak zaangażowania emocjonalnego w jego wewnętrzne sprawy. Kiedy mieszkaliśmy w Austrii, wybuchła tam właśnie afera korupcyjna z panem Sekanią, szefem centrali związkowej. Wzruszaliśmy tylko ramionami:

Cóż to nas obchodzi! A wobec polskich spraw nie potrafię się zdobyć na podobny dystans.

Przeglądając książkę nieboszczyka Jerzego Wittlina, pomyślałem sobie tak: ci prominenci, o których on się w latach stanu wojennego lubieżnie ocierał, byli strasznymi ludźmi. Ale ci, którzy domagali się teraz od władz Łodzi, by wyrwać z muru tablicę poświęconą Janowi Karskiemu, ponieważ był szerzycielem kłamstwa oświęcimskiego wymyślonego przez żydowskich enkawudystów, przerażają mnie jeszcze bardziej. Ktoś napisał: idiotyzm. To za mało! Mam zresztą za złe Michnikowi, że nagłośnia w gazecie o blisko milionowym nakładzie wszystko, co napiszą jacyś wariaci. Wychodzi takie piśmko zatytułowane „Szaniec” — cztery chude karteczki. Kupiłem jeden numer: wszyscy są oczywiście Żydami, Kwaśniewski — Żyd, biskup Pieronek i cały Episkopat — też Żydzi. Kompletna aberracja. Ale w kiosku był jeszcze drugi egzemplarz. Codziennie pytam, czy ktoś go kupił — nie, nikt, leży już drugi miesiąc. Ciekawe, skąd się biorą ludzie, którzy na to łożą. No ale w ten sposób definitywnie powróciliśmy na polskie podwórko.

## ROZMOWA PIĄTA

O przyczynach rozpadu Imperium, spotkaniu z kosmonautą i rosyjskiej dumie

— *W jednym z artykułów, które publikował pan w latach osiemdziesiątych na łamach „Kultury” jako „P. Znamca”, dojrzał pan w katastrofie czarnobylskiej elektrowni znak technologicznego schyłku Imperium. A jak postrzegał pan perspektywy Imperium wcześniej, choćby pisząc we wczesnych latach pięćdziesiątych „Dialogi”?*

— Przede wszystkim uważałem, że wyścig zbrojeniowy, zarówno na Ziemi, jak i w kosmosie, którego wierzchołkiem była próba lądowania na Księżycu, przeciąży ekonomikę sowiecką. Sowietci, chcąc dorównać wysiłkom i wynalazkom amerykańskim — choć dorównać im nie mogli — przesuwali coraz większą ilość środków, także w ciężkim przemyśle, w stronę militarno-zbrojeniową. Należy to rozumieć szeroko; rakiety księżycowe powstały po prostu na przykład jako odnoga programu rakiet interkontynentalnych. Stanowiło to równocześnie utrudnienie i ułatwienie, ponieważ wysyłanie rakiet na orbitę i na Księżyc to jednak nie to samo.

Sytuacja była zatem bardzo dziwna. Teraz wiem o pewnych rzeczach, o których wtedy nie wiedziałem — Sowietci przecież bardzo wszystko utajняли. Styl karierowiczowsko—konkurencyjnego dopychania się do Biura Politycznego czy do Stalina tak zaważył na wewnętrznym mechanizmie rządzącym szczytami sowieckiej władzy, że więzienie najbardziej nawet niezbędnych atomowemu programowi sowieckiemu uczonych, jak Lew Landau, albo areszt domowy Kapicy, samo w sobie nie stanowiło w oczach na przykład Laurentego Berii zagrożenia dla systemu. Tłumaczyć mu to dopiero musieli ludzie, którym ufał, związani z nauką, jak Kiełdysz, choć i oni nie mogli po prostu powiedzieć, że nie można przekładać kryteriów polityczno—rasistowskich nad militarne, sięgali raczej po argumenty partyjno—biurokratyczne. O szczegółach tamtych wydarzeń dowiadujemy się dzisiaj z „tołstych żurnalów”, które od mojego agenta z Moskwy wciąż dostaję. Zresztą już dawniej, podczas opisanych wcześniej podróży do Związku, troszeczkę mnie wtajemniczano — czynili to zwłaszcza fizycy. Pokazując mi pierwszą w świecie — oczywiście bardzo słabą — elektrownię atomową, wspominali półgębkiem, że zbudowano ją na kościach zeków. Jak już mówiłem, mogłem też odwiedzić Kapicę — już się wtedy nie znajdował w areszcie domowym. Kapica odmówił współpracy nad bombą atomową, ale pomógł wyciągnąć z łagru Landaua, który był na tyle szalony, że rozpowszechniał tak zwane „listowki” antysowieckie.

W ówczesnych prognozach opierać się musiałem na porównawczych danych dochodów narodowych Stanów Zjednoczonych z jednej, a Związku Radzieckiego z drugiej strony. Podczas gdy dane amerykańskie były mniej więcej zgodne z prawdą, dane publikowane w Sowietach okazały się później zasadniczo fałszywe. Przewidywałem więc krach sowiecki na pierwszą ćwiartkę XXI stulecia, ponieważ liczyłem, że w ZSRR około 12 do 14 procent dochodu narodowego brutto inwestuje się w zbrojenia; w rzeczywistości inwestowano ponad 25 procent! Przypominało to sytuację osła, któremu kładzie się na grzbiet słomę, żdźbło po żdźbło, aż mu się kręgosłup złamie.

— *Można to też chyba przyrównać do mechanizmu, którego jeden element działa w zupełnie innym rytmie niż pozostałe, i w końcu całość ulega rozprężeniu.*

— Mam drobny i trywialny, ale za to bliski nam przykład obrazujący ówczesną sytuację. W niedawnych badaniach opinii publicznej 56 procent Polaków uznało, że najlepiej żyło im się za Gierka. Otóż prawdą jest, że jak się wtedy żenił najstarszy syn mojego przyjaciela Janka Błońskiego, mogłem bez trudu za 100 złotych kupić wielką czekoladę Toblerone, butelkę francuskiego wina i krajowy koszyk wypełniony smakołykami, by młodej parze zanieść w prezencie. Szaleństwa owe odbywały się jednak za czterdzieści miliardów pożyczonych dolarów. Socjalizm w Polsce był trupem, a na tej padlinie my jak robaki żerowaliśmy coraz swobodniej. Oceniam oczywiście sytuację ze stanowiska człowieka należącego wówczas do publiczno–intelektualnej elity: kiedyśmy w 1980 roku zażądali w Krakowie miesięcznika „Pismo”, pięścią w stół uderzając, dostaliśmy je zaraz. Wyszło siedem czy osiem numerów i wprowadzono stan wojenny — ale przedtem władza rozdysponowywała podobne fundusze lekką ręką.

Degrengolada miała u nas mikroskopijne rozmiary w porównaniu z Sowietami, jakbyśmy oglądali świat przez odwróconą lornetkę. Na wschód od Bugu i terror, i późniejsza gospodarcza katastrofa odbywały się na olbrzymią skalę. Rozumiałem też, że w Sowietach dochodzi do rozmaitych wypaczeń czy wyboczeń nauk podstawowych, decydujących na dłuższą metę o istnieniu całego imperium. Zaczęło się od Łysenki. Czuję, że łysenkizm dać musi straszliwe rykoszety w całym rolnictwie sowieckim.

— *I dał, choćby w bezsensownej próbie zaorania stepów kawchskich.*

— Były i inne wariactwa. Chruszczow na przykład chorował na kukurydzę, gotów był ją na Kasprowym Wierchu sadzić. Ochronne bariery leśne na terenach Powoźża i częściowo Ukrainy powstrzymać miały tak zwany suchowiej — guzik to przyniosło, ale olbrzymie pieniądze zmarnowano. Ekologia sowiecka uległa straszliwej ruinie. Zasada bowiem obowiązywała jedna: priorytetu polityki nad gospodarką. Wspominałem tu już, jak władze

Distrikt Galizien odpowiedziały niemieckiemu właścicielowi firmy, w której pracowałem za okupacji, gdy próbował ratować zatrudnianych przez siebie Żydów: *Politik geht vor der Wirtschaft*. Ofiarą tego hasła padły i Sowiety: wynikiem jego praktycznego zastosowania była niesłychanie niska wydajność rolnictwa.

Podczas wojny zdawałem sobie sprawę, że Niemcy muszą ją w końcu przegrać — wystarczyło porównać decydującą w czasie przedatomowym globalną produkcję żelaza i stali aliantów z taką produkcją Niemiec i opanowanej przez nie Europy. Jeśli zaś chodzi o Sowiety, oni mieli zawsze bardzo dobrych uczonych w naukach podstawowych, natomiast strykiem czy obrożą okazywała się komunistyczna doktryna totalitarna. Przez dłuższy czas jej wyznawcy usiłowali zadeptać cybernetykę jako burżuazyjną łże—naukę, i trzeba było wielu wysiłków, by przekonać władze, że dla sterowania pociskami raketowymi, już nie mówiąc o zdobywaniu Księżyca, cybernetyka i jej konsekwencje są nieodzowne. Mnóstwo energii i czasu zamotrawiono na rozbijanie murów, którymi bolszewia sama siebie otoczyła; w rezultacie komputerologia sowiecka pozostała daleko w tyle za zachodnią. Prywatnie dosyć rad byłem z tego, że oni tak sobie utrudniają życie, ponieważ życzyłem im wszystkiego najgorszego, czego nikt chyba nie uzna za dziwactwo.

Podczas pobytu w Wiedniu robiłem na własny użytek wykresy uwzględniające koszty produkcji najdroższych i najnowszych uniwersalnych myśliwców i bombowców odrzutowych. Wychodziło na to, że każda ze stron będzie poświęcać na ich produkcję coraz większy ułamek dochodu narodowego, a około roku 2030–2040 Sowietów stać będzie najwyżej na pięćdziesiąt takich samolotów. Chodziło przecież o setki milionów dolarów inwestowanych w każdą maszynę; minęła już dawno epoka bambusu, płótna i drutu, z których konstruowano latające pojazdy za czasów braci Wright. Moje horoskopy ukrywałem jednak przed światem nie tylko dlatego, że nie chciałem, by mi ktoś poderznął gardło. Nie miałem odwagi ich ogłosić, bo wydawały się nazbyt utopijne, a już wcale nie przypuszczałem, że sprawdzą się tak wcześnie. Byłem z moimi przewidywaniami w tłumie antykomunistów dosyć osamotniony; owszem, Amałrik pisał o roku 1984, stanowił jednak wyjątek.

— ***Rzeczywiście, większość sowietologów traktowała system jako doskonale niemal stabilny.***

— Tak, i tutaj mamy paradoks. System był monolitem, a najbardziej gęstą siecią stalowych więzów utrzymywano go w NRD. Wiem z materiałów ujawnionych w „Spieglu”, że rząd Honeckera przygotowywał armię do uderzenia na własne społeczeństwo w razie jakichś niepokojów. Wydawało się, że przy takim zagęszczeniu funkcjonariuszy Stasi i ich

Informelle Mitarbeitern oka sieci są zbyt drobne, by coś z niej mogło wyskoczyć — a jednak stało się inaczej. Choć oczywiście do upadku NRD najbardziej przyczynił się sam Gorbaczow...

— *Mimo tej sieci NRD nie była tak ściśle izolowana, jak na przykład Korea Północna.*

— Toteż Korea do dziś pozostaje autarkicznym państwem ortodoksyjnego komunizmu. W utrzymywaniu spójności NRD sporą rolę odgrywała mentalność części jej obywateli. Spotykałem się tam z czymś w rodzaju osobliwej odmiany patriotyzmu która do dziś przetrwała, czego znakiem popularność postkomunistycznego PDS—u i tak zwana ostalgia. Mimo że na obszarze całego niemal kraju, z wyjątkiem enklawy lipskiej, oglądać można było w telewizji przepychy Zachodu. Ci, którzy — jak Grass — protestowali w 1990 roku przeciw zjednoczeniu, motywowali to między innymi różnicami mentalności. O tyle mieli rację, że mentalność zmienia się najwolniej i o dekady potrafi przetrwać upadek ustroju. To nie przypadek, że we wschodnich Niemczech tak mocno zakorzenił się ateizm? wychowanie stanowi element szalenie istotny.

Ukraińcy z Galicji uważali, że są przez Polskę prześladowani. Nie bez racji, dokonywano tam przecież pacyfikacji wsi. Mimo to rozwijał się potężny ukraiński ruch nacjonalistyczny, po części maskowany na przykład przez Masłosojuz. I teraz we Lwowie mówi się po ukraińsku, natomiast na wschód od Zbrucza, a zwłaszcza od Kijowa, gdzie przez siedemdziesiąt lat panowali Sowieci, dokonana się kompletna rusyfikacja. Inny przykład: Słowianie w Bośni na skutek wielowiekowego panowania Turków stali się muzułmanami z przekonania. Kto nad tobą panuje, takim się stajesz, zwłaszcza jak reżim jest opresywny. *Cuius regio, eius religio* — ta religia przez pewien czas może być narzucona potem zostaje rzeczywiście przyjęta.

Notabene czytałem właśnie w „Wyborczej” że walka chińskich komunistów z sektą Falun Gong nie ma perspektyw, nie jest to bowiem żaden ruch polityczny. Przypomina ona trochę — oczywiście *mutatis mutandis* i *ceteris paribus* — walkę z początkami chrześcijaństwa. Zdaje się, że partia komunistyczna znalazła godnego siebie przeciwnika, który jest zarazem absolutnie bierny i absolutnie wytrwały.

Trzeba jednego albo dwóch pokoleń, żeby zmienić przekonania wpojone ludziom przez lata indoktrynacji. System demokratyczny, raczkujący i kulejący jak u nas i w innych krajach dawnego sowieckiego bloku, każe pamiętać o słowach Sorosa: słaby rząd jest nie mniejszym zagrożeniem społecznym aniżeli totalitaryzm. Dlatego do takiej pasji doprowadza mnie traktowanie Leppera, który przecież notorycznie łamie prawo, jako pełnoprawnego

partnera do negocjacji. Te jego garnitury od Armaniego i podróże — kto za nie płaci? Uważam, że jedynym miejscem dla Leppera jest, symbolicznie mówiąc. Święty Krzyż — czyli kryminał, ciężkie więzienie podobne temu, w jakim przed wojną Sergiusz Piasecki siedział. Im dłużej wychowywane jest społeczeństwo, im lepiej rozumie samoograniczenia demokratyczne, tym mniej musi się obawiać „Samoobrony”, Lepperów, krótko mówiąc — anarchosyndykalizmu, który jest anarchizmem o posmaku nihilistycznym.

„Polityka” czy też „Wprost” podały wyniki sondażu Pentoru, w którym pytano: Co byś gotów był dać za odejście Balcerowicza? Niektórzy chętnie godzili się nawet, by dolar kosztował pięć złotych. Ekonomia jest skomplikowanym mechanizmem i ludzie nie dostrzegają po prostu dalszych ogniw kauzalnych rozmaitych procesów. Tymczasem znajdujemy się w epoce tak daleko posuniętej globalizacji, że całkowita autarkia jest niemożliwa do pomyślenia. Żadne państwo na świecie nie zdoła dziś jej zachować.

— Chyba że je się trawę, jak północni Koreańczycy.

— Albo obgryza się korę z drzew. Ale wielu Polaków tego po prostu nie rozumie. Skądinąd sami ekonomiści, nawet ci najwybitniejsi, bardzo się różnią w receptach. Liberał Milton Friedman uważał, że gospodarkę rzucać należy na głęboką wodę i niewskazana jest jakakolwiek interwencja państwa; George Soros twierdzi, że interwencja taka jest dzisiaj konieczna, wydał nawet bardzo anty—kapitalistyczną książkę. Warto go chyba słuchać choćby dlatego, że część jego życiorysu zanurzona jest w komunistycznych Węgrzech, gdzie się urodził, i rozumie on niejako od środka perturbacje, jakie przechodzą dziś kraje postkomunistyczne.

— Wracając do technologii: mówiliśmy już. o wyścigu kosmicznym jako pochodnej wyścigu zbrojeń. Jaka rolę w potęgowaniu zadyszki systemu sowieckiego odegrał amerykański pomysł z bombą neutronową?

— Rola bomby neutronowej nie była aż tak ważna. Sprawą prestiżową, która — przenośnie mówiąc — otworzyła oczy całej ludzkości lub jej znacznej części, okazał się jednak wyścig na Księżyc. Wyścig ten, nakazany przez prezydenta Kennedy’ego, miał charakter czysto polityczny. Nikomu tak naprawdę nie chodziło o postawienie nogi na Księżycu, ale o to, kto zrobi to pierwszy. Sowietom strasznie się spieszyli, Amerykanie jednak ich ubiegli. I, co charakterystyczne, na wystrzelenie czekało dwadzieścia „Saturnów”, ale po siedemnastym lądowaniu, kiedy na Księżycu znajdowały się już pojazdy, których wraki leżą tam do dzisiaj. Amerykanie zrezygnowali: wyprzedziliśmy Sowietów, cały świat się o tym dowiedział — i wystarczy. Cały świat z jednym sporym wyjątkiem: część Chińczyków do dziś pewnie o zdobyciu Księżyca nie wie, bo nie poinformowała o tym wtedy ani chińska telewizja, ani

żadne media. U nas natomiast lądowanie „Apolla” pokazano na żywo.

Nieufność prostego ludu wobec sowieckich możliwości zakorzeniona była u nas głęboko. Pamiętam do dzisiaj, że kiedy w 1957 roku pierwszy sputnik poleciał w kosmos, naród mówił: Co, powiązane sznurkami będzie latało? Zawracanie głowy! Czytałem wtedy zresztą w „Sternie” reportaż z głębokiej Syberii: korespondent tego tygodnika opisywał, jak baby wiejskie na koromysłach nosiły wodę ze studni, podczas gdy nad ich głowami latał sowiecki sputnik.

— ***Pewnie mu się to podobało?***

— Ależ tak, zachwycony był tym czarownym kontrastem. W myśl sowieckiej ideologii pamięć o potędze imperialnej zastąpić miała wygodę codziennego życia, mydło, owoce zagraniczne, w ogóle wszystko. Przy tym faktyczne różnice intelektualnego poziomu, kulturalnego wychowania i wiedzy pomiędzy poszczególnymi warstwami były w Sowietach wielkie.

— ***A czy spodziewał się pan tak łagodnego przebiegu rozpadu ZSRR?***

— Absolutnie nie. Opowiem tutaj anegdotę. Naukowcy, których spotykałem w Moskwie w latach sześćdziesiątych, rozmawiali ze mną dosyć otwarcie. Jeden z wybitnych matematyków z sowieckiej czołówki zaprosił mnie na śniadanie. Pochodził z mieszanego małżeństwa: był synem Rosjanki i Żyda, rzecz po rewolucji bardzo częsta. I on, i jego przyjaciele obawiali się mas, ciemnych i nieoświeconych, które — jak przyjdzie co do czego — będą ich *riezat*’. Powtarzam to, co mi nad pięknym śniadaniowym obrusem powiedział: — Nikogo się tak nie boję jak ludu rosyjskiego.

— ***Taki lęk mógł stać się motywem do wspierania systemu, który owe masy mimo wszystko okiełznał.***

— Trudno powiedzieć, czy na przykład naukowcom uczestniczącym w budowie bomby atomowej chodziło o system. Myślę, że niektórzy pracowali przy bombie nie z patriotyzmu, ale — by żyć! — robili to, co robić umieli. Mała dygresja: czytałem pamiętniki Richarda Feynmana, który *magna pars fuit* przy budowie amerykańskiej bomby, i nawet był jednym ze świadków pierwszego wybuchu atomowego. Bardzo zawierzył zdaniu Johna von Neumanna, który mu powiedział: „Jednostka nie może ponosić odpowiedzialności za cały świat!” Feynmanowi przyniosło to znaczną ulgę, aczkolwiek widział innych, którzy po tym pierwszym wybuchu mówili: „Zrobiliśmy rzecz straszną!”

Wracając zaś do Sowietów: nie dysponuję tak zwaną próbką reprezentatywną tamtejszego społeczeństwa, ponieważ obracałem się tylko wśród sowieckich uczonych. Moim dobrym znajomym był wspomniany tu już radioastronom profesor Josif Szkłowski, poznałem

też niektórych kosmonautów: lekarza Jegorowa, Fieoktistowa i Komarowa. Wsadzono ich do kapsuły bez skafandrów, bo nie było dość miejsca, polecieeli, ryzykując życie, w odpowiednią rocznicę, by można było ogłosić światu, że pierwszy trójosobowy lot załogowy to dzieło kosmonautyki sowieckiej. Później budowano olbrzymią raketę, która miała wynieść jednego tylko człowieka na Księżyc, wybuchła jednak przed startem i wyścig wygrali Amerykanie. Żeby zachować twarz, Rosjanie zajęli się projektem łunochoda, zwanego u nas, jak wiadomo, łunołazem. Przy odległości dzielącej Ziemię od Księżyca opóźnienie trzysekundowe bardzo komplikuje sterowanie takim urządzeniem — ale prymat w wyścigu kosmicznym był najważniejszy.

— Znajomość z kosmonautami ustawiała pana chyba w tamtejszej hierarchii niesłychanie wysoko?

— Występowaliśmy we dwójkę z Fieoktistowem w Bibliotece imienia Gorkiego. Potem poszliśmy na zaplecze, *zawiedujuszczaja*, gnąc się w ukłonach, częstowała nas kawą, a my rozmawialiśmy o... *Trylogii*, którą on znał. Był to bardzo mądry człowiek i miał równie jak ja złe zdanie o filmie Tarkowskiego według *Solaris*... W pewnej chwili otworzyły się drzwi i zaanonsowano szofera, który po mnie przyjechał, czekał mnie bowiem z kolei występ w telewizji. Siadam do auta i widzę, że czoło szofera zroszone jest grubymi kroplami potu. Pytam: — *Wam czto? Wy bolnoj?* On na to: *Niet, no ja pierwyj raz w żyzni widiel kosmonawta!* Widok prawdziwego kosmonauty wywołał u niego rodzaj szoku. Takie to były czasy. Ojciec mój za pierwszej okupacji sowieckiej we Lwowie rozmawiał z dozorcą w kasie chorych na temat nowych porządków. Zapamiętałem jego zdanie: „Same dyrektory — niby towarzysze, a nie ma komu nasermater powiedzieć”. Rzeczywiście: udawano równość, a tak naprawdę społeczeństwo podzielone było straszliwie.

Dobra pozycja dawała naturalnie spore możliwości. Miałem kiedyś spotkanie ze studentami Uniwersytetu imienia Łomonosowa w potężnym gmachu na Lenińskich Górach, w największej auli, gdzie mieściło się ponad tysiąc osób. Dostawałem karteczki z pytaniami; stojący koło mnie profesor, wybitny zresztą specjalista od techniki laserowej, zapytał po cichu, czy ma podawać mi wszystkie pytania, czy też niektóre eskamotować. Odpowiedziałem: — *Ja budu otwieczat' na wsie woprosy!* No i pojawił się *wopros: Razwie wy kommunist?* Odczytałem go głośno, chwilę milczałem, zastanawiając się, i postanowiłem, że odpowiem tak: — Nie jestem komunistą, chociaż wizja przyszłości świata, jaką głosi ideologia komunistyczna, jest piękna. Zdażyłem jednak tylko wypowiedzieć słowa: Nie jestem komunistą — i rozległ się taki grzmiot braw, że sala się zatrzęsała, a ja nie zdołałem już wygłosić drugiej części zdania... Młodzież tak napała na drewniane podium, na którym

stałem, że zacząłem z wolna sunąć w stronę tablic przyściennych. Profesor pochwycił mnie za kołnierzyk i wciągnął przez niewielkie drzwi na zaplecze auli, gdzie następnie częstował mnie kawą, parzoną w szklanych kolbach. Komsomolska organizacja, która spotkanie zorganizowała, nie była, zdaje się, zachwycona, ale wyrzutów czynić mi nie mogli — znajdowałem się za wysoko.

— *Anegdota o szoferze świadczy jednak, że propaganda skupiona wokół wyścigu kosmicznego odnosiła autentyczne sukcesy.*

— Pewnie tak. Czytałem w „Heraldzie” rozsądny, ale i groźnie brzmiący artykuł Jima Hoaglanda:

autor uważa, że cała wojna w Czeczenii i powoływanie się czołówki kremlowskiej na natowskie bombardowanie Serbów służą temu, by odzyskać pozycję równego partnera Ameryki i mocarstwowe priorytety, podczas gdy Rosja jest dziś w rzeczywistości państwem średnim, nie zaś supermocarstwem.

— *Z wypowiedzi rosyjskich polityków widać wyraźnie, że дума mocarstwowa przetrwała zmianę politycznego systemu.*

— Oczywiście, ta дума jest szalona, choć na szczęście nie na tyle, by rozpocząć wojnę atomową. Rosjanie bardzo boją się złamania przez Amerykę ich obrony przeciwbalistycznej, i znawcy przestrzegają, by ich zanadto nie wpędzać w kąt; słabszy łatwiej zdecyduje się na użycie takiej broni, gdy uzna, że został osaczony.

— *Co więc nas czeka w najbliższych dziesięcioleciach?*

— Żona pokazała mi artykuł z pisma „Nowoje wrieminia”, przedrukowany przez nasze „Forum”. Piszą tam, że w przyszłym stuleciu nadejdzie koniec Rosji, Indiom, Chinom i Stanom Zjednoczonym. W rozpad Stanów Zjednoczonych nie wierzę; co będzie za tysiąc lat, oczywiście nie wiem, ale w nadchodzącym stuleciu to się nie stanie, choć niby zachodnia część USA rozwija się teraz bardziej dynamicznie. Równocześnie nie można, niestety, liczyć na to, by szybko powstały — skądinąd bardzo pożądane — Stany Zjednoczone Europy. Naczelne bowiem i zarazem proste moje hasło głosi: Ludzie na ogół są głupi. To nieprawda, że *vox populi, vox Dei. Vox populi, vox stultitiae!* — takie jest moje osobiste przekonanie.

## ROZMOWA SZÓSTA

O złu w historii, głupocie i prywatyzacji zbrodni

— Które z wydarzeń mijającego stulecia jest dla pana najwyraźniejszą emanacją zła?

— Cała światowa polityka w XX stuleciu, jak o tym już zresztą pisałem, była połączeniem egocentryzmu, naiwności, złej woli i niezliczonej ilości straszliwych błędów. Nie jest rzeczą przypadkową, że mordy dokonywane przez bolszewizm i hitleryzm zaczęły na dobre wnikać w świadomość zachodnio—europejsko—amerykańską pół wieku po tym, kiedy ich dokonano! Stopień, w jakim usiłowano zignorować te tragiczne wypadki, jest przerażający.

Oczywiście, można się powoływać na wojny punickie, wyprawy krzyżowe, inkwizycję i diabli wiedzą na co jeszcze, tłumacząc, że każda epoka zawiera ogromną liczbę ampuł pełnych zła, które się w różnych okolicznościach, postaciach i formacjach wylewa. Mówimy jednak o stuleciu, w którym całe moje życie przebiegało, widzę je więc mimo woli z bliska i jego wypadki bardziej mnie poruszają aniżeli na przykład rewolucja francuska albo Wiosna Ludów. Właśnie czytałem życiorys Schopenhauera, który uczestników wydarzeń 1848 roku nazywał z francuska „*la canaille*”...

Zło jest, niestety, dosyć równomiernie rozsmarowane po całej historii ludzkiej od prawieków, z tym że nowoczesne technologie, zwykle bez złej intencji wynajdywane i odkrywane przez rozmaitych, szczególnie po temu uzdolnionych ludzi, bardzo jednostronnie wykorzystano dla umasowienia możliwości jego dokonywania i rozprzestrzeniania.

— Historycy wciąż, się spierają o to, które zbrodnie były większe — hitlerowskie czy stalinowskie. Ostatnio spór odżył przy okazji „Czarnej księgi komunizmu”.

— Mnie to przypomina szukanie odpowiedzi na pytanie: czy wolisz, by ci odrąbano prawą czy raczej lewą nogę. Zło nie jest wymierne ani przeliczalne! Nie możemy przecież powiedzieć, że skoro tu zamordowano dziesięć tysięcy ludzi, a tam czterysta tysięcy, to tam jest czterdzieści razy gorzej — to byłby nonsens! Różnicę pomiędzy zbrodniami sowieckimi a hitlerowskimi widzę głównie w czym innym. Za zbrodnie hitlerowskie parę osób jednak szczęśliwie powieszono, a procesy denazyfikacyjne naprawdę obrodziły powstaniem państwa, którego każdy obywatel drży dzisiaj na samą myśl o tym, że mógłby zostać na jakiś front wysłany i utracić kawałek ucha. Natomiast wszystkie próby wyjaśnienia Rosjanom, co oni nam narobili, odbijają się jak od tarczy ochronnej.

Zawsze słyszymy: Czym jest dwadzieścia tysięcy waszych oficerów zamordowanych w Katyniu i w innych miejscach Rosji albo i cała polska ściana wschodnia z Korpusem Ochrony Pogranicza poległym pod nawałą czołgów sowieckich w porównaniu ze stratami, jakie myśmy ponieśli! Licytacje tego rodzaju uważam za straszliwy i stanowczo nieodpuszczalny grzech przeciw elementarnemu poczuciu moralności. Nie wszystko można odpuścić i zapomnieć: owszem, pogodzić się z wieloma rzeczami musimy, ale przemoc pozostaje przemocą.

Znów była u mnie ekipa telewizyjna, prosząc o wypowiedź o Krakowie, zresztą dla Niemców. Odpowiedziałem tak, jak zawsze odpowiadam: — Jestem lwowianinem i Iwowianinem do śmierci pozostanę. Nic się tutaj nie zmieni, ludzie i narody to nie szafa, którą się przesuwa z kąta w kąt. Najbardziej zaś dolegają mi zbrodnie, które nie tylko nie zostały ukarane i odkupione, ale w ogóle wskazane. Niedawne oświadczenie rosyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w sprawie 17 września 1939 uważam za pohańbienie pamięci żołnierzy naszego KOP—u.

— *Mówiąc o obecności zła w najnowszej historii, szybko przechodzimy do podstawowego pytania: „unde malum”...*

— W sensie biologicznym jesteśmy niewątpliwie tworamii ewolucji dość potwornymi. Przodkowie nasi przekraczając granice wegetariańskie stali się mięsożercami — łowcami, a nawet kanibalami. Dzięki udzielonej nam przez ewolucję nadmiernej wolności poczynań jesteśmy zdolni do wszystkiego, co złe. Gorzej — zło nas często bardziej pociąga niż to, co dobre, czasem nawet zyskuje sankcję religijną, jak u asasynów. Aztekowie z kolei wierzyli, że jeśli przestaną młodym ludziom wrywać serca z piersi za pomocą noża z obsydianu, zawali się sklepienie niebieskie. Potem ich imperium upadło, a sklepienie niebieskie się nie zawaliło.

Moc sprawcza, moc niszczycielska, a nawet moc przekonująca zła jest daleko większa aniżeli moc dobra. Ewangelie nie zachęcają przecież do wrywania nóg. A mimo to istniała inkwizycja i zdarzali się papieże, których zwłoki wyciągano z grobowca i wyrzucano do Tybru.

Ludzie są jednostkami bardziej socjalnymi — podobnie jak mrówki, termity czy osy — aniżeli sobie wyobrażają. Jednostki mogą mieć suwerenne przekonania, ale to jest rzadkość; wszystko idzie raczej w kierunku ich ujednoczenia, zwłaszcza teraz, w dobie kultury masowej. Przestałem już oglądać telewizję, także zachodnią — jest nie do oglądania, tak generalny i tak okrutny upadek ją dotknął — krajowej nie oglądam od 1990 roku, gdy się zaczęły awantury w Sejmie i w Senacie. Kanałami najnowszych technologii pompuje się w ludzi najobrzydliwsze brednie.

Pornografia stosowana jest raczej jako narkotyk albo środek oszalamiająco—usypiający, natomiast mordy i krew zdają się mieć groźniejsze działanie. Nie jestem zwolennikiem teorii spiskowej i nie twierdzę, że istnieją w Hollywood czy diabli wiedzą gdzie tajne grupy, które świadomie w taki sposób kształtują media. Nie — produkuje się to, co jest pokupne, a równocześnie wytwarza się w ten sposób nowe potrzeby, działa rodzaj *circulus vitiosus*. Ostatnio modne są genomika, robotyka, sztuczne psy, sztuczne koty...

— *Takie stwierdzenie wystawia jednak smutne świadectwo naturze ludzkiej — wynikałoby z tego, że kultura masowa do reszty obnaża jej prawdziwą twarz* —

— Bardzo smutne. Ale stwierdzenie takie ma starą tradycję. Starczy przeczytać jakichś filozofów z prawdziwego zdarzenia — co oni myśleli o człowieku... Nie trzeba nawet iść w stronę dzieł straszliwego mizantropa, jakim był Schopenhauer.

— *Pan jednak w jego stronę chadzał.*

— Bardziej interesowała mnie jego biografia; poza tym to bardzo piękna niemiecka proza. Napisałem kiedyś o Schopenhauerze do jakiejś niemieckiej antologii, że to wycie niedocenionej i totalnie ignorowanej przez czterdzieści lat, a suwerennej i nie byle jakiej indywidualności budzi współczucie. On się sprzeciwiał duchowi czasu. Filozofowie starali się wtedy odnaleźć w ludziach raczej boski, prometejski pierwiastek, który też w nich zresztą jest — ale prometejskim ogniem podpala się potem domy i miasta. Tak to, niestety, wygląda.

Do kosztowania zła, obżerania się nim i zalewania mamy coraz lepszy dostęp, technologicznie wciąż przyspieszany i łatwiejszy. Technologie są wykorzystywane przede wszystkim do celów złych! Nowe techniki operacyjne, na przykład operacja serca, którą potrafi przeprowadzić robot pomiędzy żebrami, są dla nielicznych bogaczy. Ogromna większość ludzkości znajduje się poza granicą dostępności tego rodzaju zabiegów, a nawet informacji o nich! Czytam za to, że znowu się nasiliło rozszerzanie się pandemii wirusa HIV, zwłaszcza w Afryce. Rocznie umiera tam około dwóch milionów mężczyzn, kobiet i dzieci. Łączna liczba ofiar jest wprawdzie mniejsza, niż przewidywał mój znajomy epidemiolog: sądził, że w 2000 roku będzie ich sto milionów, mamy „tylko” trzydzieści pięć, nie znaczy to jednak, że jest ich mało... Gdyby przeliczyć na narody — to jakby umarła cała Polska!

Okropnie jest nie dlatego, że mnie się chce, by tak było. Telewizja pytała mnie znów o Internet — powtórzyłem, że jest to przede wszystkim nowe pole dla szerzenia rozmaitych plugawych czynności. Po pierwsze, chuligani albo maniacy usiłują zagwoździć poszczególne adresy e-mailowe, pakując tam rozmaite nonsensy. Po drugie, pojawiły się zupełnie nowe rodzaje wirusów, które przychodzą z radosną wiadomością: kiedy otworzysz ten plik, zobaczysz coś ciekawego. Po czym z pliku wyskakuje wirus, który niszczy wszystko, co było

na dysku. Jest to działanie najzupełniej bezinteresowne.

W moich rozmowach ze Stanisławem Beresiem znajduje się kilka miejsc wykropkowanych — wtedy już pozwalano znaczyć w taki sposób ingerencje cenzury. W jednym z tych miejsc przywoływałem przypadki zupełnie bezinteresownego zadawania zła w czasie funkcjonowania w Polsce stanu wojennego — na przykład likwidację wartościowego miesięcznika „Pismo”. Poszliśmy wtedy — Szymborska, Błóński, Jerzy Kwiatkowski — do Krystyna Dąbrowy, ówczesnego wojewódzkiego sekretarza partii, on głową pokiwał, ale nic to nie pomogło i „Pismo” nam zabrano, a pierwszy numer pod nową redakcją był po prostu antologią tekstów pornograficznych. I choć na pornografię pozostają zwykle całkowicie obojętny, ogarnęła mnie wtedy wściekłość.

Zapytano mnie w tej telewizyjnej rozmowie, dlaczego powiedziałem, że piekło jest już skomputeryzowane. Wyjaśniłem najpierw, że jak się zaczyna tłumaczyć dowcip, to on przestaje być dowcipem. Sens zaś głębszy tego dowcipu był taki, że skoro wszystko porusza się naprzód, to i smoła w beczkach przestaje być aktualna i trzeba ją czymś zastąpić — niech więc to będą komputery.

*— Wspomniał pan o prometeizmie — czy nie jest tak, że w zeszłym stuleciu, w którym dokonał się rozruch nowoczesnej technologii, prometeizm, radość tworzenia i przekonanie, że z wynalazków i odkryć nauki wynikną same rzeczy dobre, zdecydowanie przeważał? W pańskiej twórczości też widać fascynację dobrą stroną postępu technologicznego.*

— Kiedy dostaję dwie miski i w jednej są zgniłe gąsienice, a w drugiej smakowicie ugotowana soczewica, nie mam wątpliwości, że wolę soczewicę od gąsienic. To była kwestia wyboru — dlaczego miałbym zajmować się tym, w czym się lubowałem na przykład Céline?

Postęp technologiczny czasem też się przyczynia do zwalczania zła. Na przykład technologia genomowa pomogła w Niemczech znaleźć gwałciciela pewnej dziewczynki; osiemnaście tysięcy mężczyzn musiało w tym celu polizać szkiełko, czy też wacik. No ale Niemcy, jak niemal wszystkie kraje europejskie, usunęły karę śmierci ze swego kodeksu. Ja tymczasem jestem entuzjastycznym zwolennikiem kary śmierci w przypadkach, kiedy zwolnienie lub ucieczka zbrodniarza pociąga za sobą łańcuch dalszych mordów i gwałtów. Dysponowałem jako pisarz dostateczną imaginacją i umiejętnością wcielania się w rozmaite, nawet i straszne postacie, by opisać w pierwszej osobie życie psychopaty, który zajmuje się wyłącznie wyszukiwaniem i mordowaniem nieletnich ofiar, następnie zaś ukrywaniem ich zwłok i umykaniem sprawiedliwości — dlaczego jednak miałbym to robić, skoro temat jest dla mnie odrażający? I pan mógłby wziąć młotek, by idąc ulicą, rozbijać szyby samochodów

— pan tego jednak nie robi, choć wcale nie musiano by pana od razu złapać! Istnieje wewnętrzna potrzeba wyhamowywania tego rodzaju możliwości — nie wszystko, co można zrobić, jest do zrobienia. Nie uważam wcale, że skoro Boga nie ma, to wszystko wolno. Nigdy nie wolno wszystkiego.

Sąd opolski uznał, że pan Ratajczak, oskarżony o tzw. „kłamstwo oświęcimskie”, jest nie bardzo winny, ponieważ negowanie zamordowania iks milionów ludzi w obozach zagłady jest niezbyt szkodliwe. Fakt ten daje, jeśli idzie o mnie, tego rodzaju rykoszet, że gdybym był dwadzieścia lat młodszy, szybko wyemigrowałbym dokądkolwiek. Jest to rodzaj zanieczyszczania środowiska nikczemnością, płaskością i podłością, z którym nie mogę się pogodzić. Sam zresztą nigdy nie byłem w oświęcimskim muzeum, było mi to zupełnie niepotrzebne — ale ja wojny doświadczyłem na własnej skórze.

— Dotykamy tu w skrajnej formie problemu granic wolności wypowiedzi.

— Z jednej strony jest dobrze, że zarówno ojciec Rydzyk, jak i Jerzy Urban mogą swobodnie działać, z drugiej — coś się w człowieku przeciw temu buntuje. Rozumiem oczywiście intencje tych Amerykanów, którzy w imię Pierwszej Poprawki udaremnili usunięcie z wystawy w Nowym Jorku obrazu Matki Boskiej obwieszonej łańcem słońca — ja bym chciał, żeby podobnych rzeczy nie było, ale nie uważam, by z pomocą policji należało usuwać ludzi, którzy je robią. Notabene w naszym Muzeum Narodowym widziałem kiedyś palce trupów zanurzone w probówkach z formaliną i obstawione dokoła syczącymi palnikami acetylenowymi. Doszliśmy do tego, że dziełem sztuki mogą być rozkładające się zwłoki.

— Czy w takim razie i Ratajczaka nie powinno się bronić w imię Pierwszej Poprawki, zwalczając oczywiście przy tym jego poglądy? Tak pisał na przykład komentator „Gazety Wyborczej”.

— Uważam jednak, że nie jest bezzasadna ustawodawcza moc niemieckich zakazów w kwestii „Auschwitzluge”, czyli tak zwanego kłamstwa oświęcimskiego. Amazon, największa księgarnia internetowa, sprzedawał *Mein Kampf* — Niemcy doprowadzili do wycofania tej książki. Nawiasem mówiąc — mam ją, jest potwornie nudna i trudno przebrnąć przez pierwsze dziesięć stron...

— **A czy pan się zgadza z tezą Hannah Arendt o banalności zła?**

— Dużo jest w tym prawdy. Bezkarne czynienie zła musi być dla wielu rzeczą przyjemną. Czytałem relację o pewnym oddziale niemieckim, który skierowany został do małego miasteczka, by rozstrzelać zebranych tam Żydów. Dowódca miał łzy w oczach i zapewniał, że nikt tego czynić nie musi; znaleźli się jednak tacy, którzy chcieli. Potem wszyscy się do egzekucji przyzwyczaili i skarżyli się głównie na to, że broń się zanadto

rozgrzewa, a zużycie naboju jest zbyt wielkie. Problem rozwiązano, sięgając po techniki mordu bardziej masowego.

Nie potrafię przejść obojętnie obok tego rodzaju dokumentów, są na swój przerażający sposób fascynujące. Hugo Steinhaus opisuje w pamiętnikach, jak pod koniec wojny oglądał pociągi, którymi wieziono do Oświęcimia czterysta tysięcy węgierskich Żydów, mijające małą miejscowość, gdzie się pod fałszywym nazwiskiem ukrywał. Nie podaje żadnego komentarza — co wydaje mi się bardzo zasadne.

— *Wciąż krążymy wokół pytania „unde malum”...*

— Wśród ludzi czyniących zło są chyba dwie zasadnicze kategorie: jedni robią to, bo lubią, i chętnie korzystają z okazji, drudzy zaś może i nie lubią, ale podporządkowują się. Jeśli władza nakazuje rozstrzeliwanie i mordowanie, to oni nie będą się może do tego szczególnie przykladać, ale za cyngiel pociągną. W czasie okupacji zauważyłem, że ludzie, których nikt by o to nie posądził, zachowywali się nieraz wspaniale i szlachetnie, inni natomiast, z pozoru zacni, okazywali się kanalami. Nie śmiałbym powiedzieć, że pod ciśnieniem warunków odsłania się prawdziwy rdzeń ludzkiej natury, że schowany głęboko w nas trzpień charakteru zostaje obnażony — to nie jest tak prymitywnie proste, choć jakieś predyspozycje zapewne się wtedy ujawniają.

Pytanie *unde malum* ma dla mnie odpowiedź czysto naturalistyczną, z przymieszką czynnika socjologicznego: z chwilą kiedy można czynić zło, jedni się z tym godzą chętnie, inni mniej chętnie, nieliczni zaś będą gotowi nawet złożyć ofiarę z własnego życia, by uratować kogoś innego.

— Eksperyment Miligrama, skądinąd kontrowersyjny, pokazał rolę autorytetu: uczestnicy eksperymentu, zwyczajni ludzie, gotowi byli stosować wobec innych elektrowstrząsy o wielkiej sile tylko dlatego, że tak im polecono, choć wiedzieli, czym to ofierze grozi.

— Pokazała to też wystawa o zbrodniach Wehrmachtu, która wywołała w Niemczech tyle szumu. Teraz wprawdzie odkryto, że na niektórych zdjęciach oprawcami są nie żołnierze niemieccy, lecz szaulisi czy estońscy esesmani, i zaczęto mówić, że wystawa pokazuje nieprawdę, ja się z tym jednak nie zgadzam. Może i były tam pomyłki, ale mało istotne. Na pytanie zadawane przez młodą generację Niemców rodzicom, czy teraz raczej dziadkom:

Jak mogliście to robić? — niesłychanie trudno udzielić odpowiedzi. Kiedy się robi coś pod wpływem powszechnej fali społecznej i z przyzwoleniem najwyższych władz, wygląda to zupełnie inaczej, niż gdy ktoś skrytobójczo i po cichu kogoś morduje.

Wróć jeszcze do kwestii skłonności, które też nie są bez znaczenia. Była taka autorka

powieści psychologiczno–kryminalnych, Patricia Highsmith, która bohaterami swych książek czyniła samych obsesjonatów. Braliśmy udział oboje w pewnym literackim konkursie, tematem był czerwono–niebieski materac. Materac stał się u mnie znakiem widniejącym w wystawowym oknie, po którym bohater opowiadania orientuje się, że tkwi wewnątrz cybernetycznej wizji wirtualnej — nie było żadnego trupa. A ona napisała o tym, jak dwóch chłopców się zmagają, który z nich potrafi wejść do hotelu, zadzwonić do przypadkowego pokoju i roztrzaskać temu, kto otworzy, głowę tak zręcznie, by się mózgiem nie pochłapać. Literacko było to dobre — ale mnie odepchnęło. Ja bym się rękami i nogami zapierał — nie chcę!! Nie znaczy to wcale, że jestem taki zacny, ale nie lubię scen przemocy ani dręczenia kogoś.

Zdaje mi się przy tym, że zło nie występuje nigdy bez większej czy mniejszej przymieszki głupoty.

— Potrzebne jest przynajmniej zawieszenie własnego osądu. Jeśli nawet przyjąć tak dominującą rolę autorytetu, jak chciał Miligram, to jednak zwykły zdrowy rozsądek musiał zostać u uczestników jego eksperymentu wyłączony.

— Mogę pana zapewnić, że gdyby w herbacie stojącej obok pana na stoliku była trucizna, nie pozwoliłbym jej panu wypić. Nie dlatego, że pana szczególnie lubię — ale są rzeczy, których się nie robi. To czysto odruchowy, wewnętrzny kod.

Przekonanie, że toniemy raczej w falach głupoty niż absolutnego zła, znajduje silne uzasadnienie. Wiadomo na przykład od dawna, kto i gdzie wymyślił *Protokoły Mędrców Syjonu*, a mimo to cieszyły się one i cieszą nadal znacznym powodzeniem. Potrzeba kozłów ofiarnych była jednak zawsze wielka. Rzeczpospolita Obojga czy Wielu Narodów była rzeczą bardzo wzniosłą, ale zrodziła też i nienawiść Litwinów do nas za to, że prężność naszej kultury okazała się większa; podobnie jest z Ukraińcami.

Zadziwia też stopień, do jakiego ludzie, którzy żyli bardzo długo w strasznych ustrojach — w Polsce czterdzieści, w Sowietach siedemdziesiąt lat — są zdolni o ich straszności zapominać i opowiadać niestworzone rzeczy. Powtarzam: *vox populi non est vox Dei*, raczej *mundus vult decipi ergo decipiatur*. Czytając rosyjskie periodyki, widzę, że rosyjskie elity dosyć energicznie starają się wyswobodzić spod tego duchowego nieszczęścia, którego ślady w postaci muru w głowach jeszcze u nich pozostały. Nie tylko u nich; mówiliśmy tu już o ostalгии, która wciąż trwa, choć w nieszczęsną NRD wpompowano tysiąc miliardów marek.

Zarówno Niemcy, jak i Rosjanie w swojej masie bali się, ale czego się bali, sami dokładnie nie wiedzieli. *W naszej dieriewnie nie stychali, czto by kogo—nibud' strielali*. U nas

z kolei mówi się, że ci, którzy przeżyli awans społeczny, mają władzy ludowej do zawdzięczenia tylko dobro.

Ludzie zachowują się, mówiąc najkrócej — różnie. Zdolni są do wszystkiego, i można ich zorientować czy — ohydne nowe słowo — ukierunkować, by działali tak albo inaczej. Czy ktoś sobie dawniej wyobrażał, że w Polsce naśladować się będzie Ala Capone i organizować częste napaści na banki? System miniony leżał na wszystkim jak ciężka płyta betonowa, tym samym jednak także udaremniał ruchy osób zbyt skorych do złego. Zbrodnia była upaństwowiona, obecnie zaś uległa prywatyzacji i reprivatyzacji. Zbrodniarzem może być każdy, komu się zachce, jeśli jest dostatecznie zręczny albo jeśli żyje pod rozkazami takiego Miloševicia.

Ten świat opuścić przyjdzie nie bez ulgi i z uczuciem rozczarowania. Moja wnuczka ma w tej chwili czternaście miesięcy. Jeszcze nie mówi, ale śmiech jej podobny jest do wesołości naturalnej, z jaką na świat przychodzą wszystkie ssaki: małe kotki, małe pieski. Ewolucja wstrzykuje nam niejako radosną gotowość życia i dojrzewania, a gdy zaczyna się dostrzegać zło, człowiek powoli smutnieje. Znalazłem niedawno listy, które pisałem do mego ojca w roku 1950 z Zakopanego, z „Astorii”, i listy zmarłego Aleksandra Ścibora-Rylskiego, z którym bardzo byliśmy blisko. Zobaczyłem, że w tym okropnym systemie, w czasie kiedy zewsząd mnie wyrzucano i nie chciano wydać pierwszej książki, dosyć wesoło chodziło mi się na Rysy. Nie było tak, że cały załkany i czując łańcuchy, które mnie nieznośnie krępują, myślałem sobie: Boże, co ja będę jutro jadł.

— *Może to nie tylko energia młodości, ale i odreagowanie wojny?*

— Pewnie i to; poza tym energia rozkłada się nierównomiernie. Kiedy zadzwonił do mnie niedawno Czesław Miłosz, bym podpisał list do Rosjan w sprawie wojny w Czeczenii, zaskoczony byłem timbre’em jego głosu: to jest głos czterdziestoparoletniego mężczyzny! A bywają ludzie znacznie młodszy, którzy mówią starym, zbolalym głosem nie dlatego, że starych odgrywają, tylko dlatego, że nimi są! Periodyki światowe pełne są teraz optymistycznych wzmianek: pokonamy raka, pokonamy choroby dziedziczne, radykalnie obniżymy śmiertelność... Ja się tymczasem zamieniam z futurologa w antyfurologa i nakładam raczej szczęki hamulcowe na nieskończone brednie, które sypią się ze wszystkich stron.

## ROZMOWA SIÓDMA

O religii, wierze, wiedzy i przywoływaniu imienia Pana Boga nadaremno

— *W pana twórczości beletrystycznej — zauważył to już Jerzy Jarzębski — dokonała się pewna ewolucja, jeśli chodzi o obraz pojawiających się w niej osób duchownych. Istnieje znaczna różnica między misjonarzem gwiazdnym, ojcem Lacymonem, z „Podróży Ijona Tichego”, który jest humorystyczną postacią wyjętą jakby z wolteriańskiej powiastki, a ojcem Arago w „Fiasku”.*

— Zmiana perspektywy, o której pan mówi, nie dotyczy jednak stosunku do transcendencji, raczej do społecznego obrazu Kościoła. Powiedziałbym tak: są dobrzy i źli lekarze, są też dobrzy i źli księża, i oczywiście wolę biskupa Pieronka (nie mówiąc już o Wojtyłę) od arcybiskupa Michalika, który przestrzega nas przed Unią Europejską. Postawa niektórych duchownych — niekoniecznie katolickich, bardziej choćby islamskich — jest przecież straszna.

Uważam przy tym, że profesor Samuel Huntington głęboko się myli, przepowiadając epokę gwałtownych zderzeń, także militarnych, między cywilizacjami czy kulturami opartymi na wspólnocie religii. Tymczasem islamski Iran nie wykazuje najmniejszej ochoty, by wspomagać wyznających islam Czeczenów — bo ma interesy w Rosji. Interesy ekonomiczne okazują się ważniejsze od tej mitycznej wspólnoty. A wewnątrz islamu szyi i tępą sunnitów i odwrotnie.

Religie tradycyjne nie budzą mojej niechęci, choć nie powiem, bym się poczynaniami mułłów w Iranie nadto zachwycał. Natomiast sekty takie jak scjentologia wydają mi się całkiem durnowate. Ani to nauka, ani to religia...

— **Za to dobrze zorganizowana.**

— To nie jest żaden argument na jej rzecz, raczej przeciwnie. Jeden z moich przyjaciół — nazwisk wymieniać nie będę — został zaproszony na jakąś konferencję, a potem się okazało, że organizuje ją sekta Moona. Na koniec każdy z uczestników dostał kopertę, w której było pięćset dolarów. Pozyskiwanie konwertytów w ten sposób wydaje mi się mało szlachetne, aczkolwiek — biorąc pod uwagę ułomność ludzkiej natury — zrozumiałe.

— Wobec dusz już pozyskanych stosują metody diametralnie odmienne: nie wręczają żadnych kopert, raczej ogołacają z majątku.

— Ci, co uciekli spod skrzydeł rozmaitych sekt, opowiadają w ogóle straszne historie.

Inna rzecz, że w księgarni znajdzie pan też dzisiaj pamiętniki byłych księży albo pozycje w rodzaju *Das Kreuz mit der Kirche*. Staram się je omijać dużym łukiem; nie czytuję ani mistyków i apologetów, ani tych, którzy z Kościołem walczą. Myślą znajduję się zupełnie gdzie indziej, nie tylko z racji braku takich akurat zainteresowań. Nie jestem w stanie — zwłaszcza teraz, na starość — pokonać zwałów literatury i informacji z rozmaitych dziedzin nauki, które są mi naprawdę potrzebne, aby nadążyć za tymi w różne strony odjeżdżającymi pociągami.

— Badacze pańskiej twórczości — jak wspomniany Jarzębski czy Małgorzata Szpakowska — z upodobaniem i nie bez racji piszą jednak o wątkach religijnych w pana dziele.

— W mojej pierwszej prawdziwej książce, w *Szpitalu Przemienienia*, też pojawia się ksiądz, i nie widzę powodu, by się temu dziwić. To zupełnie tak, jakby ktoś się zdumiewał, że w moich książkach występują osoby, które mają dwie nogi. Opisując świat, nie można udawać, że religii w nim nie ma. Ksiądz modli się tam w oczekiwaniu na egzekucję, a kiedy Stefan szarpie go za sutannę i szepcze, że nie ma nic, że ten świat to tylko nasza krew, a kiedy krew przestaje płynąć, nawet niebo umiera, modlący się odpowiada: „Tego świata nie ma”. Wydaje mi się to repliką najzupełniej elementarną.

— Ale to jest pewna sytuacja egzystencjalna. Pan się jednak też zajmował, mniej lub bardziej serio, analizą rozmaitych tez teologicznych i ich wewnętrznych sprzeczności.

— Nie ma religii bez wewnętrznych sprzeczności. Stopień nasilenia okrucieństwa na fikcyjnej skali moralności jest oczywiście różny. Wspomniałem już o okrutnych rytuałach religijnych Azteków: wrywanie serc obsydianowym nożem i tak dalej. U Majów wyglądało to łagodniej: składali ofiary z ludzi tylko wyjątkowo. Ale wszędzie dostrzegam wspólną tendencję: bóstwa, rozmaite Opatrzności czy nadziemskie moce są zasadniczo korumpowalne. Trzeba im składać ofiary, ofiarować wszystko — cierpienie i tak dalej. Nawet nie dlatego, że to się nam skalkuluje, tylko dlatego, że tak się godzi.

— ***W judaizmie, a potem w chrześcijaństwie ofiara się jednak odmaterialnia, odcieleśnia.***

— Ale w judaizmie mamy na początku historię Abrahama, który gotów jest ofiarować własnego syna. Powtarzam jednak: nie jestem zbyt biegły w zawilosciach religijnych doktryn, a — przepraszam, że to przypominam — wydłubywaniem wątpliwych rodzynek z obu Zakonów zajmował się kiedyś w swoich bajeczkach Leszek Kołakowski. Ja raczej nie odczuwałem potrzeby, by religię kasać czy wywracać na nice. Tamte moje wolteriańskie hocki—klocki miały zupełnie inny charakter. Zresztą o wewnętrznych sprzecznościach wiary

pisali sami teologowie. *Credo quia absurdum, credo quia impossibile* i tak dalej. Obszary dla nas niezrozumiałe są tak olbrzymie...

Niepokoi mnie natomiast co innego. Ostatnio, bez żadnych brzydkich myśli, kartkowałem wielką psychiatrię Bilikiewicza ojca. Znajdzie pan tam całą gradację umysłowego niedorozwoju: matołectwo, kretynstwo, *debilitas mentalis* i tak dalej. Uważani, że czysto zapobiegawcza ekstyrpacja tego rodzaju genów, jeśli się okazała możliwa, byłaby ze wszech miar słuszna. Wydaje mi się straszne, gdy Watykan domaga się, by za wszelką cenę ratować dziecko poczęte przez czternastoletniego chłopca niedorozwiniętego umysłowo z równie niedorozwiniętą dziewczynką. W stosunku do takich dylematów istnieją zresztą znaczne różnice zarówno między poszczególnymi odnogami chrześcijaństwa, jak i między chrześcijaństwem a innymi religiami.

Dla mnie każda forma mieszania się religii do osobistego życia ludzi — jak i co mają jeść, jak się ubierać, którą część ciała kobieta ma zakrywać — jest niezrozumiała i trudna do przyjęcia. Podejrzewam szczerze wszystkich, którzy głosowali ostatnio u nas za zaostrzeniem zakazu rozpowszechniania pornografii, że są to z ich strony czysto oportunistyczne ruchy, mające na celu uzyskanie wsparcia politycznego ze strony Kościoła. To Boy, zdaje się, pisał o księdzu, który chodził po szpitalu i posągom antycznym obtłukiwał genitalia. Tymczasem mnie uczono, że Szatan nie posiada mocy kreacyjnej — czyli że genitalia nie mogą być jego dziełem, dlaczego więc je obtłukiwać? Seks był w rozmaitych kulturach traktowany bardzo różnie — raz go tabuizowano, innym razem kultywowano nawet prostytutkę sakralną. Co do mnie — raczej bym go delikatnie podtabuizował, ale nie przesadzajmy.

Zirytował mnie sam pomysł ścisłego określenia, co jest pornografią, a co nią nie jest, zwłaszcza zaś stwierdzenie, że kiedy organy płciowe się łączą, mamy do czynienia z czymś nadzwyczaj podniecającym. Jestem w końcu z wykształcenia medykiem i znam położniczo—krwawy finał, jakim się z natury rzeczy kończy kopulacja. Równie łatwo byłoby mi się podniecić kominkiem, który znajduje się obok pana. Oglądałem pokaz mody w niemieckiej telewizji: najpierw pojawiła się modelka zupełnie goła, na jednej łopacie miała tylko niewielkie punkciki i to była jej pierwsza szata. Owszem, kiedy dziewczyna jest szczupła, wygląda przyjemniej, niż gdy wiszą na niej zwaly tłuszczu — ale trudno mi się dopatrzeć w widoku narządów rodnych czegoś szczególnie ekscytującego. Poświęciłem temu jedną z sylw w „Odrze”. Napisałem tam, że po pierwsze, narządy płciowe męskie są z estetycznego punktu widzenia jeszcze mniej atrakcyjne niż kobiece — bo kobiece są bardziej schowane, a po drugie, sposób, w jaki ludzie muszą kopulować, nie jest także, mówiąc głupio, niczym ładnym. Ktoś bardzo zirytowany nadesłał do redakcji list, pytając, jak śmiem tak wybrzydzać

— ale ja tylko wyraziłem moje szczere przekonanie.

„Le Figaro” wydał numer swego magazynu poświęcony Pompejom. Znaleźć tam można bardzo piękne przedstawienia erotyczne, wśród nich mozaikę zachowaną na ścianie jakiegoś lupanaru, na której naga dziewczyna okracza nagiego chłopca podczas stosunku. Jeśli już mówić o uczuciach — fotografia ta wzbudziła we mnie głęboką melancholię. Prawie dwa tysiące lat minęło... Upływ czasu zmienia nasz stosunek do wielu spraw. Kiedy ktoś świeży grób rozkopie, popełnia świętokradztwo. A jak ktoś rozkopuje groby sprzed dwóch albo dwudziestu tysięcy lat — jest naukowcem, archeologiem. Tymczasem duch nie ułatwia się ze zwłok po trochu: po prostu od chwili śmierci go tam nie ma. Ale podobno już u neandertalczyków można znaleźć ślady wiary w istnienie życia pozagrobowego — przejawiające się właśnie w trosce, jaką otaczali szczątki zmarłych.

Żydzi, jak się zdaje, na samym początku nie wierzyli w istnienie duszy nieśmiertelnej. Nie wiem tego jednak od żadnego rabina, więc autorytatywnie wypowiadać się nie mogę. Mam tu na półce Stary i Nowy Testament, trudno jednak powiedzieć, bym je pasjami studiował. Ani po to, by — jak to robił Kołakowski — wyszukiwać w nich sprzeczności, ani jako religioznawca amator. Ja się w ogóle do rozmów o religii nie nadaję, bo się na religioznawstwie wcale nie znam. Nie tylko się na nim nie znam, ale się nim nie interesuję. Zanadto jestem zagłębiany w sprawach, które z religią nie mają nic wspólnego. Choć na przykład do pewnych formuł biblijnych zakorzenionych w języku bardzo jestem przywiązany i próby unowocześnienia przekładów Biblii wydają mi się czymś koszmarnym. Pozostaję twardo przy Wujku.

— A co pan sądzi o próbach pożenienia współczesnej kosmologii z tezami o charakterze właściwie już religijnym?

— Uważam, że tych dwóch dziedzin łączyć nie należy. Przyklejanie dogmatyki, która powinna być nieprzemijająca, do doraźności rozmaitych hipotez naukowych wcale religii nie służy. Z zupełnie pozareligijnych powodów opowiadani się za przestrzeganiem przykazania, wedle którego nie należy przywoływać imienia Pana Boga nadaremno. Pan Bóg to nie jest rodzaj kitu albo plasteliny, którą się zatyka jakieś szpary i dziury. Zresztą, nawiasem mówiąc. Papież powiedział niedawno, że nie należy wyobrazać sobie Boga jako starca z długą siwą brodą. Pisałem kiedyś żartem, że wyobrażenia takie winny pociągnąć za sobą wiarę w istnienie boskiego manicure, w przeciwnym bowiem razie boskie paznokcie musiałyby się rozprzestrzeniać w kosmosie jak ogromne węzowiska.

Ale taka antropomorfizacja, a także rozmaite tendencje animistyczne są bardzo silne w masach ludowych. I szalenie pogańskie. Huknął piorun, powiada baba, ledwo dopadłam

święconego ziela. Kiedy się uważa, że sacrum kryje się w materii, nie zaś, że na przykład święte obrazy są jedynie znakiem czegoś wyższego — nie mamy już w ogóle o czym gadać.

— Najbliższa byłaby panu wiara, jaką żywią pańscy ojcowie destrukcjanie z dwudziestej pierwszej podróży Ijona Tichego: oczyszczona nie tylko z materialnych przejawów kultu, ale i z jakichkolwiek wyobrażeń i oczekiwań, całkowicie bezinteresowna?

— Owszem, ładnie to zanalizował Jarzębski.

— *Szpakowska także.*

— Szpakowska tak mnie zirytowała uwagami o naturalizmie i porównaniem z Przybyszewskim, że rozdziału o mojej teologii wcale nie przeczytałem.

Kiedy pan zajrzy do indeksu w książkach Bernda Graefratha, który się moim pisaniem i poglądami od szeregu lat zajmuje, nie znajdzie pan tam żadnych Przybyszewskich, tylko rozmaitych filozofów, cybernetyków, biologów. Nie rzucam się zresztą chciwie na każdy tekst sobie poświęcony. Zrobiłem, co mogłem — *feci, quod potui, faciant meliora potentes* — tak właśnie uważam. Takim mnie Pan Bóg stworzył.

Co się tyczy społecznego funkcjonowania religii — doceniam to i uważam za zasadne usiłowanie Kościołów, aby od najmłodszych lat wdrażać ludzi do wiary. Ja natomiast mam w sobie odruchową niezdolność do wyłączenia wiedzy czysto faktograficznej, rzeczowej. Zwiastowanie i dzieworództwo? Może i było, ale powinna się w takim razie urodzić dziewczynka, skoro brakło męskiego chromosomu. Nie umiałbym uwierzyć w dogmaty, które opierają się na cudzie i zaprzeczeniu wszelkich racjonalnych reguł.

Jeśli zaś oczekuje pan ode mnie jeszcze jakichś krytycznych uwag: nie lubię obojętności Kościoła, w dużej mierze odziedziczonej po judaizmie, wobec świata zwierząt. Choć i tu staram się być wyznawcą zdrowego rozsądku. Graefrath, który gościł u nas w domu dwukrotnie, zastrzegł się przed przyjazdem, że nie je mięsa — ale tylko zwierząt wyższych. Gdzie jednak przeprowadzić granicę? To delikatna sprawa. Kasza hreczana — w porządku, ale co ze skwarkami? A bez skwarków jest niedobra... Chcąc być konsekwentnym, nie powinno się też nosić bucików skórzanych ani paska. Przestrzeganie takich zasad przerodziłoby się szybko w neurozę.

Kiedy pan zajrzy do indeksu w książkach Bernda Graefratha, który się moim pisaniem i poglądami od szeregu lat zajmuje, nie znajdzie pan tam żadnych Przybyszewskich, tylko rozmaitych filozofów, cybernetyków, biologów. Nie rzucam się zresztą chciwie na każdy tekst sobie poświęcony. Zrobiłem, co mogłem — *feci, quod potui, faciant meliora potentes* — tak właśnie uważam. Takim mnie Pan Bóg stworzył.

Co się tyczy społecznego funkcjonowania religii — doceniam to i uważam za zasadne

usiłowanie Kościołów, aby od najmłodszych lat wdrażać ludzi do wiary. Ja natomiast mam w sobie odruchową niezdolność do wyłączenia wiedzy czysto faktograficznej, rzeczowej. Zwiastowanie i dzieworództwo? Może i było, ale powinna się w takim razie urodzić dziewczynka, skoro brakło męskiego chromosomu. Nie umiałbym uwierzyć w dogmaty, które opierają się na cudzie i zaprzeczeniu wszelkich racjonalnych reguł.

Jeśli zaś oczekuje pan ode mnie jeszcze jakichś krytycznych uwag: nie lubię obojętności Kościoła, w dużej mierze odziedziczonej po judaizmie, wobec świata zwierząt. Choć i tu staram się być wyznawcą zdrowego rozsądku. Graefrath, który gościł u nas w domu dwukrotnie, zastrzegł się przed przyjazdem, że nie je mięsa — ale tylko zwierząt wyższych. Gdzie jednak przeprowadzić granicę? To delikatna sprawa. Kasza hreczana — w porządku, ale co ze skwarkami? A bez skwarków jest niedobra... Chcąc być konsekwentnym, nie powinno się też nosić bucików skórzanych ani paska. Przestrzeganie takich zasad przerodziłoby się szybko w neurozę.

— *Byłaby to forma czegoś w rodzaju rygoryzmu religijnego, który pan wcześniej krytykował: takiego, co kobietom w Iranie każe zasłaniać twarz, a chasydom nosić pejsy i kapelusze określonego kształtu oraz przestrzegać w codziennym życiu setek drobnych zakazów.*

— Co nie znaczy, że wszystkie zwyczaje trzeba odrzucić. Na przykład w Wigilię zawsze się u nas pościło i nie zaczniemy nagle zażerać się wędzonką. To jest tradycja, której u nas się przestrzega, i nie musi być ona podparta sankcją religijną!

— *Wspomniał pan o stosunku chrześcijaństwa do zwierząt — ratuje je trochę święty Franciszek...*

— Ale pograżają kucharki! Niewiasty, które same nie zabijają ryby, ale znajdują zawsze pomocnika, a potem z zimną krwią będą tę rybę oprawiać. Brak w tym konsekwencji.

Wracając zaś do głównego nurtu rozmowy: kwestie religijne dlatego też pozostawiają mnie obojętnym, bo widzę ich silne uwarunkowania kulturowe. Gdybyśmy siedzieli nie w Krakowie, ale w Teheranie, mówilibyśmy o zupełnie czym innym. Tyle że tam na ateizm nie bardzo można sobie pozwolić... Zastanawiający i bardzo skomplikowany kłęb przyczyn stanowi o ekspansji rozmaitych religii — na przykład islamu wśród amerykańskich Murzynów. Skoro ich przez tyle lat uważano za gorszych, w odruchu buntu postanowili teraz oddzielić się od białych także i na tej płaszczyźnie.

Dawniej zresztą myślałem, że jest wiele rozmaitych religii, lecz tylko jedna fizyka czy geologia. Dziś wiem, że rozszczepienie poglądów ludzkich dokonuje się w niezliczonych domenach, także w nauce. „Wprost” zamieściło rozmowę z królewskim astronomem

brytyjskim. Tytuł artykułu brzmi ładnie, ale ten astronom to nie jest jakaś wielka fisza; jeden z jego poprzedników zapewniał, że żadne maszyny cięższe od powietrza nie oderwą się od ziemi. Mówił także o znanej już koncepcji poliwersum — Hawking, a i Lem także o niej pisał. Można ją porównać do grona baniek mydlanych, które się równocześnie wydmuchuje: te bańki byłyby równoległymi światami. Koncepcja, wedle której jesteśmy kosmicznym wyjątkiem, a we wszystkich innych ewentualnych wszechświatach nikogo nie ma i być nie może, wzięta jest z sufitu. Owszem, żaden Lem tam na pewno nie siedzi i z żadnym panem Fiałkowskim nie rozmawia, w to głęboko wierzę — ale żeby w ogóle nic nie było? I co w takim razie z uniwersalizmem chrześcijaństwa?

— A co z zaświatami i życiem wiecznym?

— Nie jestem skłonny do kategorycznych stwierdzeń: jest tak i tak. Wiem jednak na pewno — choć to tylko moja subiektywna prawda — że po śmierci niczego nie ma. Dostatecznie wiele razy widziałem, jak się duch ulatnia z człowieka w miarę zanikania poszczególnych odcinków kory mózgowej. Nikt nie potrafi przeprowadzić wyraźnej granicy między świadomością na pół jeszcze zipiącą a nieświadomością. Na tym tutaj świecie jest zresztą tyle zagadek oczekujących rozwiązania, że do żadnych zaświatów się nie palę.

Poza tym mam trywialną uwagę: patrzeć nie przez ciemne szkło, ale twarzą w twarz — to wizja wspaniała. Można tak sto tysięcy lat, nawet milion, ale dwieście czterdzieści siedem trylionów, potem centylion i dalej jeszcze? Chodzi wszak o wieczność! Nie — do tego nikt mnie nie nakłoni.

— A jeśli czasu już wtedy nie będzie?

— Jak czasu nie będzie, to i mnie nie będzie. Nie, nie wierzę w zaświaty i w wieczne istnienie ludzkiej duszy. Nie wierzę też w żadne duchy, widma, teleportacje i telepatie.

— Schodzimy parę pięter niżej — ale podobno uniemożliwił pan kiedyś pokaz temu biednemu komandosowi izraelskiemu, Uri Gellerowi, który zasłynął z wyginania widelców na odległość?

— Owszem, twierdził, że ja wydzielam emanacje, które jego umiejętnościom bardzo szkodzą. Później się zresztą dowiedziałem, że ten łotr nie tyle w poprzednim wcieleniu, ile w poprzedniej fazie życia był zwyczajnym prestidigitatorem — a prestidigitator nie takie sztuki potrafi. Skądinąd zresztą i podczas doświadczeń w laboratoriach trudno czasem obyć się bez pomocy sznurków i drucików...

A skoro już zeszliśmy na temat rozmaitych szarlatanerii — stwierdziłem ostatnio, że staję się umiarkowanym zwolennikiem cenzury. Nasz Kościół — pozwolę sobie tak powiedzieć — już dawno nie zabrania mówić o ewolucji. Tymczasem w Stanach

Zjednoczonych pojawili się nagle dzicy i wojujący kreacjoniści, co bardzo zmartwiło tamtejszych biologów.

\_ Kreacjoniści owi próbują nawet uniemożliwić nauczanie o ewolucji w szkołach niższego szczebla.

— No, to się musi źle skończyć — jak z Łysenką. Genomika wchodzi przecież tymczasem szerokim frontem. Na podobne brednie cenzurę bym jednak wprowadził. Podobnie jak na wspomnianego pana Ratajczaka. Przeczytałem, że Szymona Wiesenthala nazwał oszustem. Szkodliwość czynu tego osobnika, szkodliwość negowania nie tylko judeofobii, ale i realności nazistowskich mordów, jest ogromna. Okazuje się, że Papież może sto razy mówić o judeochrześcijańskim powinowactwie i o wspólnych korzeniach obu religii, a potem przychodzi taki Ratajczak — i nic, nikt mu nawet nie wkręci śruby tam, gdzie nie trzeba. Jak widać — oddziaływanie autorytetów religijnych nie zawsze okazuje się dość skuteczne.

## ROZMOWA ÓSMA

O upadku sztuk wizualnych, błędnych drogach kultury i triumfie merkantylizmu

— Z pańskich wypowiedzi na temat współczesnej kultury dałoby się ułożyć zgrabny i zjadliwy pamflet. Rzeczywiście jest aż tak źle?

— Z kulturą dzisiejszego świata dzieje się, moim zdaniem, nie najlepiej. Przeczytałem duży esej Stefana Morawskiego o postmodernizmie. Nadal jednak zostaję blisko kategorycznej opinii Jana Józefa Szczepańskiego, który przed paru laty w Poznaniu powiedział podczas jakiejś konferencji, że coś takiego jak postmodernizm w ogóle nie istnieje. Wywołał tym wielkie oburzenie wszystkich obecnych, którzy usiłowali go nakłonić do zmiany stanowiska, ale im się nie udało, bo Szczepański jest uparty. A już zapisywanie pisarzy, którzy zmarli pięćdziesiąt lat temu, do postmodernistów — bo i to się zdarza — wydaje mi się zupełnym nonsensem.

Szczególnie drastyczny wydaje mi się upadek sztuk wizualnych. Sytuacja w nich przypomina mi — z rzadkimi wyjątkami — bajkę o nowych szatach króla: król jest goły. Jakaś dama chlapię pędzlem, robiąc duży kleks, i to jest dzieło sztuki. Mam numer „Odry” pełen takich czarnych kleksów na białym tle. Mówiło się kiedyś o dwóch szkołach we francuskim malarstwie: *crachage spontane* i *crachage dirige*. Malarz brał farbę w usta i pluł na płótno; robił to albo na ślepo, z zamkniętymi oczami, i to było *spontane*, albo celując w jakiś punkt, i to było *dirige*. Nieszczęśni, którzy urodzili się późno i próbują dziś startować w tej kategorii. Ja, dzięki Bogu, martwić się o to nie muszę, a doświadczenia w dziedzinie plastyki mam niewielkie — chociaż moje rysunki sporządzone osobiście do *Dzienników gwiazdowych* poszły niedawno na aukcji po 750 złotych. Nie jest tak źle — widzę, że wiele mogą zarobić rysunkiem, duże szansę się przede mną otwierają.

Mówiąc jednak serio: jestem głęboko obrażony na współczesną plastykę, która z rozmaitych plam, zacieków, pleśni i diabli wiedzą czego robi dzieła sztuki.

— *To jeszcze ciągle pozostaje w granicach obrazu jako pewnego przedmiotu. Ale sztukę sprowadza się dziś chętnie do czysto werbalnego opisywania idei czy konceptów, których wyraz materialny staje się czysto umowny.*

— Mogę być po stokroć agnostykiem, i co pan jeszcze chce, ale jak czytam, że jakiś artysta wsadził krucyfiks do naczynia z moczem, to się wszystko we mnie burzy. Kiedyś w Berlinie poszedłem na wystawę zatytułowaną *Nad wodą*. Stało sobie około dwustu

plastikowych wiader pełnych wody, i to była właśnie ta wystawa. Powiedziałem: z tego rodzaju sztuką nie chcę mieć nic wspólnego.

— O czymś takim właśnie mówiłem: jest już tylko pomysł, w dodatku banalny, jego korelat przedmiotowy nie ma znaczenia.

— Walorów estetycznych nie są w pewnym sensie wyzbyte kolorowe tablice testu Rorschacha — każdy je może interpretować rozmaicie. Jako młodszy asystent u doktora Choynowskiego badałem tym testem wielką liczbę ludzi, w tym i moją żonę, protokoły gdzieś jeszcze leżą...

Widział pan na pewno rzeczy Hasiora. Wczesne jego prace były bardzo ciekawe i oryginalne, ale to jest, jak Niemcy mówią, *ein Holzweg*, droga donikąd, nie można nią iść w nieskończoność, bo się autor staje własnym epigonem.

— Jest jeszcze zupełnie nowa dziedzina sztuki, która wykorzystuje współczesne techniki, wideo i komputery. Podczas wystawy wyświetla się na odpowiednich projektorach filmy, abstrakcyjne albo — całkiem przeciwnie — zapis jakiejś akcji.

— W krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych był taki rektor, który za pomocą projektorów rzucał na ekran dziwne kolorowe plamy. To nawet było dosyć ładne, ale przecież wystarczy wziąć do ręki dziecinny kalejdoskop, żeby sobie przypomnieć, że sam fakt zgeometryzowanego usymetrycznienia pewnych rozkładów losowych daje estetyczne efekty. Tak po prostu jesteśmy urządzeni jako odbiorcy, ale mnie się wydaje, że sztuka jest czymś innym.

— Silnie powiększona fotografia płatka śniegu też daje taki efekt.

— Sposobów, na jakie może się wykryształizować płatek śniegu, jest gigantyczna ilość. Fraktale Mandelbrota też mają walory estetyczne.

Martwi mnie, że ludy świata nie protestują przeciw głupstwu. Widać z tego, że nie ma granicy snobizmu. Jak się ludziom wmówi, że kamienie obrobione nurtem rzeczonym w Rabie są wybitnymi dziełami sztuki, bo je wystawiono w galerii, to uważają, że trzeba to uszanować i kamieniami się zachwycać: chodzą i oglądają. Jeśli chodzi o rzeźbę — jest w ogóle strasznie. Pomniki stojące pośrodku pasa zieleni na berlińskim Kurfurstendamm zawsze mnie od nowa irytowały, gdy tamtędy przechodziłem: wyglądają jak odlane w brązie, powykęcane kolumny zastygłego kału, który wyszedł z trzewi jakiegoś King Konga. Są tam też samochody do połowy wtopione w beton i inne rzeczy, zresztą pochodzące z epoki dawniejszej, dziś już zamierzchłej, zanim Beuys nauczył nas, że wystarczy wziąć towot i obrzucić nim krzesło. Kiedy robotnicy oczyszczali mu pracownię po remoncie, przez pomyłkę wynieśli część jego wybitnych dzieł jako śmieci. Zatarcie granicy pomiędzy dziełem sztuki a śmieciem po prostu,

pomiędzy kunsztem a bylejakością zdaje mi się jednym z głównych znamion naszej epoki.

— Ma pan jednak chyba pośród współczesnych artystów jakichś ulubieńców?

— Oczywiście, choćby Saul Steinberg, genialny rysownik, mam wielki jego album. Działał w Ameryce, najbardziej znane są jego nowojorskie prace, ale był też w Rosji — to znaczy w Sowietach — i ten dział sowiecki w albumie jest wstrząsająco śmieszny przez to, że on tak spokojnie wszystko odrysował jak żywe. Jestem też dostatecznie stary, żeby lubić surrealistów, Magritte’a i tak dalej, choć to prawie archeologia. Salvador Dali: był to hochsztapler, ale oko i rękę, w której trzymał pędzel, miał naprawdę wielkiej klasy. Jest jego taki dość przerażający obraz, nazywa się *Zmartwychwstanie ciał*: szkielety wynurzają się i zaczynają wciągać na siebie rozmaite mięśnie, skórę, flaki. A u nas: Gielniak bardzo dobry, Monsiel — no to co, że schizofrenik, to już Pan Bóg zsyła, ale prace jego naprawdę są wstrząsające. Inny schizofrenik, którego nazwisko nikomu by nic nie mówiło, przysłał mi do Wiednia ogromny pakiet 1,5x2 metry — chyba wagonem towarowym — a w nim ilustracje do moich książek. Oglądałem je ze zdumieniem: widać było, jak ta schizofrenia z niego parowała, jakby falami. W momentach bardziej produktywnych, twórczych, przypominał troszeczkę Monsiela: olbrzymie ilości straszliwych twarzy, oczu. A potem czasami dochodziło do zupełnego rozpadu formy i z tego rozpadu on znów wychodził.

Naturalnie mógłbym jeszcze długo wyliczać nazwiska; malarzy i obrazów jest w ogóle na świecie za dużo. Jak to kiedyś Gombrowicz powiedział:

„Tintoretto bije się na pyski z Leonardem”. W wiedeńskim Kunsthistorisches Museum wiszą całe hektary Rubensa, zdaje się Szymborska nazwała to „tłuste dania miłosne”; przebiegałem prawie przez te sale, żeby tylko na żaden obraz nie popatrzeć, tak ich nie znoszę.

— ***Za to Habsburgowie bardzo go lubili.***

— Mecenat władców to rzecz czasem niebezpieczna. Jak wiadomo, w Niemczech za Hitlera zapanował fałszywy klasycyzm. Jeden z najbardziej znanych reżyserów sowieckich, Michaił Romm, zrobił film, który się nazywał *Obykowiennyj faszyzm*, (*Zwyczajny faszyzm*). I w Sowietach długo go nie pokazywano, ponieważ gołym okiem było widać, że pod Stalinem działo się to samo co w Hitlerii. Obejrzałem go i stwierdziłem, że rzeczywiście nie trzeba było specjalnej przenikliwości, żeby do takiego wniosku dojść. Byłem zresztą w Moskwie, kiedy najlepszy film Andrieja Tarkowskiego, czyli *Rublow*, był pod takim kluczem, że nawet na zamkniętej projekcji nie pozwalano go pokazać. Ale to osobna sprawa.

Opowiadam się zdecydowanie za diagnozą, którą usłyszałem od Jana Błońskiego; odnosi się ona przede wszystkim do Polski i do literatury. Dzieje się w niej niewiele, a nawet

jak się jakaś ciekawsza książka pojawi, to wzbudza pewne zainteresowanie, jakby obłok recenzji — i szybko zapada w niebyt. Żyjemy w epoce amnestycznej, panuje gorączkowa, pospieszna tendencja do wyeksploatowania wszystkiego, co było. Napisałem kiedyś, i podtrzymuję to nadal, że współczesna kultura przypomina straszliwy, piekielny żołądek, w którym przemieszane są kawały rozmaitych tradycji, trawione enzymami. Wszystko razem tak się jakoś kręci, obraca, i rozplywa w końcu w nicość. To śmieszne, że ja to powiem — ale nie widać żadnej wiary. Jak już można wszystko, to właściwie niczego robić nie warto.

— *Dopuszczalne są równoległe wszelkie tryby postępowania, wszelkie wzorce, wszelkie konwencje.*

— I to ma kontynuację nawet w dziedzinie mody. Oglądałem kiedyś pokaz mody. Panie, które w takich pokazach biorą udział, są bardzo szczupłe i dlatego nawet kiedy rozbiorą się do goła, to nie obrażają poczucia wstydlivosti, ich szczupłość bowiem silnie kojarzy się ze szkieletem, który przecież nie jest niczym nieprzyzwoitym. Jedna z nich miała nagie piersi, okryte czymś całkiem przejrzystym, gdzieś od spojenia łonowego zaczynała się lekka mgielka i dopiero koło kolan i nóg materiał jak gdyby tężał i uwyrażniał się. Obnaża się bowiem, co się da i jak się da. Gołe pośladki damskie już nie budzą zgorszenia — to jest norma.

Chcę przez to powiedzieć, że można wszystko. Kobiety, zwłaszcza w porze cieplejszej, chodzą nieraz w czymś takim, co ja bym nazwał piżamą, przypomina mi bowiem piżamowe spodnie mojej mamy. Z tą różnicą, że teraz chodzi się w tym po ulicy, a pięćdziesiąt lat temu osoba w podobnym stroju wylądowałaby na komisariacie. Gdyby pan przyszedł do mnie w bucie futrzanym na jednej nodze, a w sandale na drugiej, też by to można było uznać za modne, a przynajmniej za takie uznane być powinno, jeśli się trzymać obowiązujących dziś kryteriów. Ja wprawdzie dostałem od jakiegoś przybysza stetsona — oryginalny stetson, przywieziony w olbrzymim pudle ze Stanów Zjednoczonych — nie pójdę jednak na spacer po Plantach w takim kapeluszu. Poza tym dość okropne wydaje mi się malowanie twarzy farbami albo narodowymi, albo farbami klubów sportowych.

— *Odeszliśmy jednak od sztuki...*

— Trudno sobie wyobrazić, ku czemu będą zmierzały paradygmaty twórcze w malarstwie, a także w dziedzinie użytkowej. Pojawiają się krzesła, na których nie można siedzieć, stoły, na których nie da się pisać, nie wiem, czy są już łóżka, na których nie można leżeć — pewnie tak. Trochę tak, jakby zapanowała mania poszukiwań, która nie dlatego prowadzi w kierunku turpistycznym, że twórców pociąga brzydota jako taka, ale ponieważ wszystko, co było zgrabne i ładne, już zostało wyeksploatowane, więc nie mamy innego

wyjścia. Jesteśmy niejako zmuszeni zamiast smacznego bigosu czy flaczków jeść krowie placki.

— *Może po prostu jest tak, jak u schyłku cesarstwa rzymskiego, kiedy sztuka też podupadła i niczego porównywalnego z klasyczną Grecją nie da się w niej znaleźć.*

— Jakiś znawca mi mówił, że grecka rzeźba była kolorowa.

— Zdaje się, że i greckie świątynie pomalowane były na wesołe kolora. A makietą Forum Romanum z lat największego rozkwitu Rzymu wygląda dość przerażająco; jest znacznie ładniejsze w postaci ruin.

— Architekci współcześni też mają trudności w projektowaniu. Nie wiem, czy się pan ze mną zgodzi, ale moim zdaniem ten kościół, który został zbudowany w Nowej Hucie jeszcze za PRL—u, czyli Arka, jest bardzo dobry. Widziałem też jednak dużo brzydkich nowoczesnych kościołów.

— *W kampusie Uniwersytetu Harvarda, który w większości to przykład ładnej XVIII —wiecznej architektury — czerwona cegła, nieco kamienia, wszystko bardzo harmonijne — jedyny brzydki gmach wyszedł spod ręki Le Corbusiera, wielkiego przecież, architekta. Betonowe pudło, które się w dodatku brzydko zestarzało.*

— A czy pan był w Moskwie? Widział pan te rozmaite wieżowce, podobne do naszego Pałacu Kultury? To jest taki supercukierniczy wyrób. Ale nowoczesne wieżowce przy Nowym Arbacie nie są o wiele ładniejsze. To ciekawe, że istnieje taka ogromna ilość rodzajów ohydy.

Panuje przy tym milczący terror — nie wolno wybrzydzać. Słonimski przez całe swoje życie wybrzydzał na nowoczesną poezję, ale teraz już nie wolno mówić, że to jest niedobre, kiedy nie ma rymów ani rytmów. Kto z czymś podobnym wyjedzie, traktowany jest tak, jakby coś bardzo brzydkiego zrobił albo powiedział w obecności królowej. I to jest smutne.

Podobne zjawiska rzeczywiście chyba świadczą o tym, że znaleźliśmy się u schyłku epoki, w czasie, który tym się zwłaszcza odznacza, że przyspieszona proliferacja coraz bardziej wymyślnych technik staje się pewnego rodzaju przymusem. W dziedzinie przekazów wizualnych żyjemy już — w Polsce to się dopiero zaczyna, ale w krajach Europy Zachodniej i w Ameryce idzie pełną parą — pod ciśnieniem wytwórców tak zwanej digitalnej, czyli cyfrowej telewizji. Odbiorcy się bronią, bo uważają, że rozdzielczość w aparacie dobrej klasy, np. „Sony”, jest zupełnie wystarczająca. Sam taki aparat cyfrowy widziałem, ale gdyby ktoś mi go przyniósł, powiedziałbym: dziękuję, a czterystu programów ani nie zdołam obejrzeć, ani nie mam najmniejszej na to ochoty.

Reklamowy hałas wokół telewizji cyfrowej także sprzyja upowszechnieniu przekonania, że zasada przyspieszonego postępu obowiązuje we wszystkich dziedzinach, że utwór albo obraz z roku 1997 musi być lepszy od tego z roku 1995. To jest po prostu szaleństwo, ponieważ dystrybucja talentów wyposażonych w oryginalność i zdolnych do prekursorskiego widzenia czy opisywania świata jest bardzo nierównomierna. To nie jest tak, że w każdej epoce syją się geniusze jak z rogu obfitości. Na pytanie, dlaczego Miłosz tak wychwalał *Pannę Nikt*, można odpowiedzieć, że zmusiły go okoliczności: po prostu nie znalazł niczego wspanialszego. Nawiasem mówiąc: nigdy jeszcze nie otwarłem żadnej książki pani Chmielewskiej, która od szeregu lat okupuje listy bestsellerów. Czy to się daje czytać?

— *Pierwsze powieści tak, później jest gorzej. Najpierw to była próba wynalezienia polskiej odmiany powieści kryminalnej, która nie byłaby „powieścią milicyjną”, potem już się zaczęło odcinanie kuponów od zdobytej popularności.*

— *A Nurowska? Panny i wdowy? Też nie czytałem. Próbowałem za to, niestety, czytać Manuę Gretkowską... Trwa wciąż ta preponderancja, przewaga kobiet, na którą tak się uskarżał Gombrowicz, pisząc o literaturze Dwudziestolecia. Różne umieścił w *Dzienniku* złośliwości — o kobiecej powieści „okrągłej w liniach, miękkawej i rozlazłej”, o „głosicielkach prawd niewątpliwych, w rodzaju Miłości lub Litości, które Renata lub Anastazja odkrywały pod koniec sagi w drzeniu liści lub śpiewie drzew...”*

Gombrowicz był oczywiście bardzo przekorny; nie jest na przykład prawdą, że się nie sięga po poezję — mam ulubionych poetów, ale jak po coś sięgam, są to raczej Leśmian albo Słowacki. Kiedyś wstałem o północy, by grzebać w encyklopedii, bo wydawać mi się zaczęło, że słynny sonet *I nie miłować ciężko, i miłować...* napisał Sarbiewski. Oczywiście autorem jest Sęp-Szarzyński; pomyłkę moją usprawiedliwia fakt, że się zbudziłem w środku nocy.

— *Czy z tego wszystkiego wynika, że świat idzie ku gorszemu, a kultura całkiem upadnie?*

— Istnieje koncepcja, raczej fałszywa, wedle której ludzkość najpierw mądrzała i mądrzała, a teraz zaczynamy zjeżdżać w dół. Z drugiej strony na przykład, czytałem w „*American Scientist*” o wynikach badań, pokazujących, że średnia ilorazu inteligencji młodzieży w college’ach jednak rośnie o jeden do półtora punktu na dekadę. Nie chodzi o to, czy badana osoba wyróżnia się stopniami naukowymi; to jest po prostu badanie inteligencji, zdolności motorycznej, gotowości językowej, performatywności, jak to nazywają Francuzi, itd. Okazuje się, że z jednej strony wychodzą ze szkół średnich stada nieuków, którzy z trudnością potrafią coś przeczytać, z drugiej strony — wielka liczba rozmaitych bodźców,

zwłaszcza wizualnych, które bezustannie na nas oddziałują, jakoś jednak sprzyja rozwojowi inteligencji.

Badania przeprowadzone na szczurach, oczywiście amerykańskie, potwierdzają, że tak jest. Jeżeli szczur zostanie poddany ulewie zróżnicowanych bodźców, to się robi inteligentniejszy od takiego, który żyje sobie spokojnie w nieciekawym zamknięciu — a oba są żywione jednakowo. Niektórzy złośliwcy twierdzą, że podczas badań szczury europejskie raczej przejawiały zachowanie sterowane odruchami warunkowymi, a szczury amerykańskie zachowywały się tak, jak to określali amerykańscy psychologowie, czyli że szczur jest uzależniony od tego, kto go obserwuje...

— *Zgodnie z socjologicznym prawidłem o samo-spełniających się prognozach.*

— Równocześnie rozpowszechnia się pogląd, wedle którego spotęgowanie, zwielokrotnienie i ciągle doskonalenie, zwłaszcza techniczne, łączności informacyjnej w najmniejszej mierze nas nie wzbogaca, to znaczy przeciętny poziom społeczeństw nie rośnie — nie chce! — ponieważ telewizja światowa karmi widzów przeżutą, prefabrykowaną papką wizualną.

Ostatnio zacząłem dostrzegać pewne, na razie jeszcze dość zręcznie zakamuflowane, objawy rozpaczony wśród twórców telewizyjnych seriali. Brakuje im po prostu pomysłów: wczoraj widziałem supermana, który oślepl, i trzeba było specjalnym promieniem naświetlać jego oczy. A dzisiaj rano bohater jednej z amerykańskich serii policyjnych został nagle sparaliżowany i jeździ na wózku... Najwyraźniej trudno wymyślić coś nowego.

W coraz bogatszej scenerii coraz lepiej wykonanych wybuchów, trzęsień ziemi i cyklonów pokazują nam straszliwie zbanalizowane krajobrazy międzyludzkich stosunków, jakby jakaś niewidzialna betonowa płyta wszystko spłaszczyła, spłaszczyła i spłaszczyła. Pojawia się na przykład facet na tle sinych płomieni i powiada, że *er ist unsterblich*. To Highlander, nieśmiertelny, żyje od czterystu lat, a głównym jego celem są pojedynki z innymi nieśmiertelnymi i obcinanie im głów. Kiedy się przypadkiem trafi na przykład na film francuski z lat sześćdziesiątych, widać, że można zrobić dowcipną komedię, nie żadne wielkie dzieło sztuki, ale coś, co da się oglądać i dzisiaj.

Dość pospolite jest przekonanie — dla mnie trudne do zrozumienia — o zwiększającym się tempie zużycia niemal wszystkiego. Słyszymy, że się zespoły polityków zużywają, że się rady programowe zużywają. Czy na przykład bankierzy też się zużywają — nie wiem, bo siedzą w przytulnych, doskonale wytłumionych od hałasów gabinetach i o nich nic nam nie wiadomo. Szybko następujące przemiany w telewizji przejmują mnie grozą — grozą rozpaczony, że do tego już doszło. To, coś, bracie, widział wczoraj, musisz zaraz

zapomnieć — w tym tygodniu damy ci nową porcję kotleta schabowego. Postanowiłem sobie odbiornika wcale nie uruchamiać — chyba że w wyjątkowych przypadkach.

Gdzieś, w jakichś katakumbach, wegetuje jeszcze tak zwana sztuka wyższa, elitarna, ale kultura masowa tak się rozpowszechniła i wytworzyła takie metastazy czy przerzuty, że tamtą właściwie zdominowała, i ta wyższa wręcz się wstydzi. Dostaję pisma takie, jak „Pokaz”, „Arkuszy” czy „Dekada Literacka”, i myślę: Boże święty, jaki procent Polaków w ogóle bierze je do ręki!

— ***Bardzo niewielki.***

— No właśnie! Co innego, gdy chodzi o poważne tematy naukowe, o rezonans magnetyczny w jądrach atomowych albo o wielkie twierdzenie Fermata w matematyce, bo to rzeczywiście jest dla specjalistów, ale sprowadzenie kultury do roli papki, jaką się w małych słoiczkach dla niemowląt sprzedaje, i upchnięcie literatury w najciemniejsze kąty naszej wegetacji bytowej bardzo mnie martwi. Z jednej strony mamy takie rzadkie zjawisko jak Brodski, *poeta doctus* a z drugiej strony morze ciemności się rozlało.

Kiedyś telewizja warszawska żądała, bym wystąpił przed kamerą w związku z tym, że podpisałem protest przeciw likwidacji II programu Radia.

Usłyszałem: — Proszę pana, to będzie 45 sekund jedno dłuższe dobre zdanie albo dwa krótsze. Czyli że z Warszawy zadzwonią do Krakowa, z Krzemionek przyjedzie do mnie ekipa, będzie rozstawiać sprzęt przez pół godziny i potem ja mam powiedzieć jedno zdanie? Nie. Odmawiam. Innym razem zadzwonił Lublin: — Proszę coś powiedzieć o komputerach. — Zgadzam się. — Ma pan około pięciu minut. — Przez pięć minut mogę powiedzieć: — Dobry wieczór państwu. — To my pańską wypowiedź podzielimy na pięciominutowe plasterki, pomiędzy którymi puścimy muzykę. — Znowu odmówiłem. Traktują człowieka zupełnie jak salami...

Życie kulturalno-literackie zeszło na margines. Kiedy się chce przeczytać coś ciekawego i ostrego, bierze się Boya, Słonimskiego albo nawet i Prusa. Z przyjemnością czytam znowu *Lalkę*, którą czytałem już ze czterdzieści razy.

— Parę książek z ostatniego dziesięciolecia bardzo pan jednak chwalił: choćby „Hanemanna” Chwina czy „Wilczy notes” Wilka.

— Owszem, tak; ale prym wiodą panie z mitograficzno—mitologicznym zacięciem — *Prawiek, Dom dzienny, dom nocny* — do których przekonać się nie umiem. Ale jestem, jak wiadomo, wielkim wybrzydaczem.

— Właśnie, narzeka pan na media, ale na przykład „Wyborcza” publikuje jednak regularnie kolumny poświęcone nauce i sporo tam wartościowych rzeczy można znaleźć.

— Trafia się jednak i sporo blagi albo niewczesnej sensacji. Panuje oberwanie futurologicznej chmury. Jako hamowniczy prognostyki napisałem do „Odry”, że nie będzie ani nieśmiertelności, ani składów gotowych serc. Wyprodukowanie z komórek skrzeku żaby żabiego oka odległe jest o kilkanaście tysięcy kilometrów od hodowania w laboratorium oczu ludzkich. Niedawno „Wyborcza” zamieściła też duży artykuł, w tonie nadzwyczaj dramatycznym, o strasznym nieszczęściu, jakie grozi nam już za trzy miliardy lat, kiedy Mgławica Andromedy rymnie w Drogę Mleczną. Ale przecież Słońce wygaśnie trochę wcześniej, zmieni się w czerwonego olbrzyma, i nadejdzie koniec świata — nie mamy się więc czym martwić! Lepiej się zastanowić, co będzie w nadchodzącym roku. Wszystko jest do wynalezienia —jedyne, czego nam brakuje, to lekarstwa na głupotę.

— *Działami popularnonaukowymi w gazetach także rządzą prawa rynku dziennikarskiego — ważny jest „news” możliwie sensacyjny.*

— No właśnie. Nawet takie pismo jak „Newsweek” wydaje mi się coraz bardziej merkantylne i robione pod publiczność. Za czasów komuny dostawaliśmy z Jasiem Szczepańskim „Newsweeki” z konsulatu amerykańskiego; czuliśmy się wtedy jak taki człowiek przyduszony, który dostaje do ust butlę z tlenem. Teraz przeglądam je z coraz większym niesmakiem. Triumf merkantylizmu nie jest tym, na co najbardziej czekałem — a już na pewno nie w dziedzinie kultury.

## ROZMOWA DZIEWIĄTA

O pornografii, pruderii i niebezpieczeństwach detabuizacji

— Protestował pan przeciw prawnym regulacjom kwestii pornografii, jakie u nas przyjęto; niektórzy gotowi okrzyknąć pana jej obrońcą. Czy jest pan obrońca pornografii?

— Tak daleko bym się nie posunął, ale uważam, że jest to u nas temat zastępczy — sejm powinien zajmować się sprawami poważniejszymi! Sześć lat mieszkałem w Austrii, nieźle znam tamtejsze warunki społeczne. To zdecydowanie katolicki kraj — ale żeby ktoś się w parlamencie zastanawiał, czy wolno pokazywać organy płciowe w trakcie stosunku? Zupełnie jakby prowadzić debatę nad długością knotów w świecach! Pytałem w hotelu „Forum”, czy po zmianach w kodeksie zmniejszyła się przynajmniej liczba pism pornograficznych? Nic podobnego, są tylko bardziej pochowane.

Zasmuciła mnie też kiedyś wiadomość prasowa, że episkopat zabrał głos w tej sprawie, ponieważ nade wszystko cenię sobie wolność wypowiedzi, tymczasem biskupi byli za jej ograniczeniem. Uważam, że powinniśmy mieć wolność w takim zakresie, w jakim gwarantuje ją amerykańska Pierwsza Poprawka do konstytucji, to znaczy, że wolno mówić wszystko. Nie lubię porywania się z motyką na słońce; nie przerobi się Europy na ład irlandzko—polski.

Równocześnie niemal przeczytałem wtedy w pewnym reportażu, że dwadzieścia tysięcy Polek zajmuje się prostytucją, przede wszystkim na terenie Niemiec, i jak to się dla nich niekiedy kończy. Trudno jak katarynka nawoływać wciąż do przywrócenia kary śmierci, ale ścieżki zdrowia dla organizatorów tego procederu bardzo by się przydały. Trzeba też rozpocząć silną akcję uświadamiającą: rozmaite głupie dziewczęta wyjeżdżają, żeby pracować jako panie do towarzystwa i kelnerki, a kończą posiniaczone, z podbitymi oczami. Sposób, w jaki to wszystko opowiedziano, dość mnie zresztą zniesmaczył — szczegółów można by sobie zaoszczędzić. Chciałbym natomiast, żeby rzeczywiście coś zrobiono w sprawie tego „eksportu Polek”.

Tu dygresja, z pornografią nie mająca nic wspólnego. W rosyjskim „Ogonioku” przeczytałem wielki artykuł o tym, że w nadchodzących latach trzy procent ludności świata zapadnie na schizofrenię. Trend jest wzrastający i nie wiadomo, skąd się te miliony biorą. Przeraziłem się, bo nieco wcześniej amerykańskiemu dziennikarzowi mówiłem o rosnącej schizofrenizacji świata. Najłatwiej oczywiście zwalić wszystko na diabła i powiedzieć, że to

on osobiście jest odpowiedzialny, że zło wstrzykiwane jest naszemu gatunkowi przez jakieś osobowe Belzebuby. Mnie się zdaje, że ono jednak siedzi w nas i że całkowicie go usunąć nigdy nie zdołamy. „Znak” poświęcił złu specjalny zeszyt. Napisałem tam w ankiecie, że są tacy, którzy czynią zło, bo lubią, i są tacy, którzy czynią zło, bo muszą. Tak czy inaczej, zło się panoszy, a środki masowego przekazu rozprzestrzeniają je po całym świecie.

Nie dlatego prosiłem niemieckiego agenta o przysłanie książek Edgara Wallace’a sprzed z górą pół wieku, abym się kochał w bredni, tylko dlatego, że był to czas dość daleko posuniętej niewinności. Jak mówi stare przysłowie, pocałunek jest ślubem niewinnych dziewczyc. Tak było, a teraz...

— *Niewątpliwie ówczesna literatura popularna odzwierciedla tamtą konwencję obyczajową.*

— Detabuizacja, permissywizm — to jest bardzo niezdrowe. Bronię wolności, ale są pewne zjawiska, w sferze nie tylko erotycznej, które powinny być rozżarzone do białości żelazem wypalane. Przyznaję jednak, że jestem raczej zwolennikiem tworzenia ośrodków zamkniętych, w których by się prostytutka koncentrowała, jak na przykład domy publiczne za czasów imperium austro—węgierskiego — książeczki zdrowia itd. — ponieważ wypełnić się jej ze szczętem nie da, a udawać, że jej nie ma, to żadna polityka.

— *Polemista by panu powiedział, że w okresie, kiedy kultura popularna była tak niewinna, dojrzały już wielkie zbrodnie tego wieku. To w końcu robili ludzie, którzy czytali Maya, Wallace’a i inne przyjemne książki.*

— Poplecznicy Augsteina, którego ostatni płód, czyli nowy numer „Spiegła”, leży na moim biurku, sugerują, że inkwizytorzy tacy jak ten, którego stworzył Umberto Eco w *Imieniu róży*, działali sycąc rozmaite zбочone popędy w rozumieniu freudowskim, że ich po wierzchu szlachetne działania w istocie były podszyte lubieżno—sadystyczną ochotą.

— *Ale wtedy dojdziemy do tego, że cała cywilizacja europejska albo w ogóle każda cywilizacja zbudowana jest na fundamencie sadomasochizmu.*

— Może nie każda, ale prawie. Czytałem książki przedstawiające przemilczaną stronę wiktoriaizmu, który był przecież daleko posuniętym purytanizmem. Wszystko to się kończy na połączeniu dwóch diabłów: diabła finansowego z diabłem libidinalnym pożądliwości. Tak po prostu jest, i dlatego mnie się wydaje — wracam do punktu wyjścia — że posługiwanie się środkami silnymi i sięganie wyłącznie po zakazy nie jest najlepszą drogą. Nie pretenduję do tego, żeby stać się mentorem wykładowców nauk o seksie dla młodzieży, ale jestem przekonany, że ludzie światli, rozumni i życzący młodzieży jak najlepiej mogliby wprowadzać ją w sprawy seksu w taki sposób, żeby się to nie przemieniało w opowiadanie

plugawych i ekscytujących historii. Nie powinni się też jednak chować za parawan pruderii i tłumaczyć, że pleć ukryta jest pod pieczęcią w przednio—dolnej części tułowia...

— *Rzeczywistość, także i polska, jest dzisiaj taka, że duża część nastolatków, łącznie z tymi, co mieszkają na wsi i w małych miasteczkach, czerpie swoje informacje w tej dziedzinie z kolorowych pisemek młodzieżowych, gdzie wszystko sprowadza się do mniejszych lub większych komplikacji w używaniu organów płciowych.*

— Ojciec mój był lekarzem i człowiekiem światłym, ale nie wprowadzał mnie w żadne tajniki seksu. Wchodziłem w ten fatalny obszar dzięki kolegom gimnazjalnym po prostu, oczywiście w typowy, opisany choćby w *Zmorach* Zegadłowicza sposób, z najbardziej plugawym słownictwem itd.

— Różnica jest taka, że pańska inicjacja odbywała się w atmosferze rzeczy zakazanej, natomiast pisma, o których mówię, uważają instrumentalne traktowanie seksu za normę.

— Trzeba jednak być bardzo ostrożnym: naprawdę nie wiem, w jaki sposób można by całkowicie usunąć pornografię *par excellence* obrazkową i udawać, że seksu w ogóle nie ma.

— Wcale nie jestem za cenzurą, raczej za limitowaniem podobnych treści poprzez sposób redagowania takich pism czy wpływ rodziców.

— Problem jest bardzo trudny, bo uważam, że w walce z tą panseksualistyczną pseudoedukacją przejawia się, niestety, okropnie dużo oportunistów i pruderii. Równocześnie wpadam czasem w satelitarnej telewizji niemieckiej na specyficzne dyskusje, które prowadzi starszy pan nazwiskiem Hans Meiser; mówi się tam o takich rzeczach, że rumieniłbym się, gdybym nie był na to za stary.

— *O ile wiem, te programy skierowane są do dorosłych.*

— Ale nadaje się je w godzinach, w których każdy może sięść przed telewizorem! Zęby ludzie opowiadali przed kamerą o swoich kłopotach z uzyskaniem orgazmu, o rozmaitych dewiacjach itd. — przepraszam, że to powiem, ale ja wyłączam się z zażenowaniem, ja się czuję po prostu zgorszony, co świadczy naturalnie o mojej niezmiernie staroświeckiej i durnowatej naturze. To jest tak: przybijamy do brzegu jakiejś wyspy i okazuje się, trochę jak w *Robinsonie Crusoe*, że normą tam jest kanibalizm... Co robić, żeby ich wszystkich jakoś zakuć w dyby i wyjaśnić, że urocze młode dziewczę nafaszerowane pieczarkami nie powinno być spożywane ani na surowo, ani po ugotowaniu? To jest bardzo trudny problem, z którym się boryka świat cały.

Kiedy wybuchł skandal obyczajowy wokół postępów Clintona, cała prasa pełna była wiadomości o Monice Lewinsky i jej splamionej sukience... Zanieczyścili mi głowę historiami, które mnie nic nie obchodzą i nie powinny być wypychane na pierwsze strony

czasopism! To jakaś zupełna wariacja, trochę tak, jakbyśmy mieli z równą powagą omawiać z jednej strony liczbę pcheł na naszym psie, które mogą i nas ugryźć, a z drugiej — niebezpieczeństwo zagłady, jakie niesie całej planecie zbliżający się do niej meteor. Istnieje przecież hierarchia ważności zjawisk, która powinna być respektowana ze względu na to, że na niej opiera się cywilizacja.

— *Czy to jednak nie jest symptom poważniejszej choroby, która się wiąże z pojmowaniem roli mediów? Jeśli pan spróbuje przeciętnemu dziennikarzowi gazety codziennej czy popularnego radia tłumaczyć takie rzeczy, on w ogóle nie zrozumie, o co panu chodzi. Sukienka i plama albo penis prezydenta to newsy, a media mają być rodzajem lustra, które odbija bezrefleksyjnie rzeczywistość... Oczywiście równocześnie dokonuje się faktyczna hierarchizacja wiadomości — jedna trafia na pierwszą stronę gazety, inna na dziesiątą — ale żadne wartości za tym nie stoją.*

— Jeżeli wdepniemy w sam środek świata mediów w skali globalnej, to wszędzie tak jest. W Austrii dwa pisma codzienne, „Kurier” i „Kronenzeitung”, walczą o prymat i zawsze goła dziwa z możliwie dużym biustem jest na pierwszej albo drugiej stronie każdego z nich. Wszyscy uważają już, że to jest całkiem normalne.

— *„Die Presse”, o ile pamiętam, nie dołączała jednak do chóru.*

— No tak, ale skądinąd wiem, że „Die Presse” jest organem bardzo silnie dofinansowywanym przez potężne ośrodki industrialne.

— *Bo austriacki rynek jest mały. Jeśli pan jednak weźmie Niemcy, to różnica pomiędzy „Bildem” a „Frankfurter Allgemeine Zeitung” jest niebotyczna, ta druga gazeta trzyma się wytrwale pewnych zasad i hierarchii, a u nas gorsze wzory — niekoniecznie w postaci gołej dziwy — przenikają do poważniejszych tytułów.*

— Chodzi po prostu o szmal. Gdybym jednak musiał wybierać między biciem reporterów i redaktorów a ustawowymi zakazami — byłbym raczej za biciem. Można to oczywiście czynić bez siły fizycznej, za pomocą bolesnych mandatów, ale nie należy stwarzać maksymalnie szerokiej strefy zakazanej.

Chodziłem do gimnazjum, uczyłem się historii starożytnej — a tu nagle z książki pewnej historyczki dowiedziałem się zupełnie nowych rzeczy o tym, co się działo w dziedzinie seksu w starożytnym Rzymie. Okazuje się na przykład, że na targach niewolników wyższe ceny miały dziewczęta z północy, Germanki, Słowianki itd. Wspomniana książka zawiera liczne opisy doprawione rzekomym oburzeniem, diabli wiedzą, na ile szczerym.

— *Wróćmy jednak do sejmu i episkopatu: biskupi mają przecież obowiązek przypominać o istnieniu pewnych zasad i o obowiązkach instytucji takich jak media*

*publiczne. Niestety, łączą to czasem z niezbyt szczęśliwymi pomysłami ustawowych rozwiązań. Wzajemne proporcje tych elementów wyrównały się.*

— Oby pan miał rację. Ale, ale — dzisiaj rano na krakowskim Stradomiu w księgarni medycznej, z której zresztą nie wyniosłem nic cennego, zobaczyłem wspaniałe wydanie *Kamasutry*. To jest w końcu klasyczne dzieło literatury indyjskiej. Patrząc, a w środku znajduje się cała masa zwyczajnych fotografii, ilustrujących to, co w tekście jest tylko powiedziane. Najczystsza pornografia sprzedawana jako wyposażenie księgarni medycznej.

— *Ale to także przykład nieprzekładalności pewnych kodów kulturowych. W końcu „Kamasutra” jako poemat ma istotną warstwę religijną, bo w hinduizmie eros związany jest z religią, a sceny erotyczne bywają wyrzeźbione na świątyniach. W kontekście europejskim robi się z tego pornografia.*

— Można by oczywiście stosować tak zwaną bowdleryzację, czyli to, co Bowdler robił z Szekspirem, obcinając mu to i owo. Ale przecież bardzo nieprzyzwoitą książką bywa Stary Testament! Jak to było? „Spił się, poigrał z dziewczęciem i został swym własnym zięciem”. Tam są rozmaite kazirodcze okropieństwa.

Nie jest w ogóle opatrzona skutecznością metoda zawracania Niagary ustawą albo pastorałem. Pamiętam z lat powojennych wystawę urządzoną przez milicję, gdzie pokazywano rozmaite skonfiskowane przedmioty. Był wśród nich film pornograficzny na wąskiej, ośmiomilimetrowej taśmie, oczywiście tylko wyłożony w gablocie. Ludzie stali nad tą gablotą i wykręcali sobie karki na siedemnasty sposób, żeby się zorientować, co też tam takiego jest.

Kiedy ja sam zostałem wprowadzony na Zachodzie w ten przestwór, zastanawiałem się, skąd się bierze swoboda osób, zdawałoby się, kulturalnych, na przykład ze sfer artystycznych, które chwaliły się, że mają pomoteki. Mówiłem, że to okropne, a oni: wie pan, to jak z solą, każdy lubi słone potrawy, ale jak się je zanadto przesoli, to już ich nie można zjeść. To także ulegnie nasyceniu i pisma pornograficzne będą nie tyle konsumowane, ile wydalane.

Tymczasem wcale tak się nie stało. W skali ogólnoswiatowej chodzi o wielki przemysł: tak zwana turystyka seksualna z krajów bogatych do Tajlandii itd. Należy też ostro rozróżnić prostytutkę, która wynika z woli i chęci kobiet czy dziewcząt, od ich wabienia pod fałszywymi pozorami: będziesz fryzjerką albo kelnerką, a potem po mordzie. Tak jest na przykład z Litwinkami, których w Niemczech nikt nie rozumie, a sądy niemieckie traktują te nieszczęsne dziewczęta, często ze zgruchotany—mi twarzami i połamanymi przez sutenerów żebrami, jako pracujące na czarno, i ciupasem odsyłają je do domu.

— *Tutaj pojawia się kwestia legalizacji prostytucji i tego, że mechanizmy działające w tym środowisku prowadzą ku coraz bardziej kryminogennym sytuacjom.*

— Prawie 80 procent dziewcząt z wyższych klas gimnazjalnych w Moskwie, zapytanych, o jakim zawodzie marzą, odpowiedziało: chciałabym zostać prostytutką. Tyle że każda wolałaby być tak zwaną *call-girl*, a nie jakąś tam rogówką lub gruzinką, jak w Polsce nazywano takie, co się tym procederem zajmowały na gruzach strzaskanej przez Niemców Warszawy. Jest to jeden z najtrudniejszych problemów, z jakimi się borykamy. Mamy tutaj inkuby i sukkuby, całą tę demonologię seksu, i dwa stanowiska skrajne: jedno, które powiada, że trzeba wszystkiego zabronić i wszystko obłożyć sankcją penitencjarną, i drugie, wedle którego nie należy wkraczać zbyt gwałtownie, czyli krótko mówiąc: nie stwarzać zakazanych owoców. Dawniej stosowano metody dość srogie, wypalanie nierządnicom znaków rozgrzanym do białości żelazem; żeby wiedział, co dziś zrobić, byłoby doskonale. Mój siostrzeniec tylko się śmieje: „Wujaszku, wujaszek jest dzieckiem, nie wie, o czym mówi...” Ja rzeczywiście nie wiem, jakie to wszystko ma przełożenie społeczne, wydaje mi się jednak, że lepiej, by istniały na przykład sexshopy, w takim sensie, jak istnieją kanały. Wymiociny życia ludzkiego powinny mieć jakieś miejsca ujścia i koncentracji, gdyż w przeciwnym razie schodzą w podziemie.

— Z reportażu, o którym pan wspomniał, widać jednak, że w demokratycznym społeczeństwie, nawet tak wysoko rozwiniętym jak niemieckie, kontrola tego typu instytucji jest szalenie słaba. Przecież te straszne rzeczy działy się nie w głębokim ukryciu, ale w legalnych klubach czy hotelach, o których lokalna policja na pewno wie, że są domami publicznymi...

— Mam książki socjologów austriackich czy niemieckich o tym, w jaki sposób następuje powolne ześlizgiwanie się ze względnej przyzwoitości seks-spotkaniowych instytucji w stronę zwyczajnej, powiedzmy to, plugawiej zamtużowej burdelizacji. Nie wiem, co należałoby robić, ale widzę, że same zakazy niewiele pomagają. Poza tym problem Polek czy Rosjanek prostytuujących się za granicą wydaje mi się zupełnie nie mieć związku z bardzo nieraz kosztownymi wydawnictwami pornograficznymi...

— On ma przede wszystkim związek z sytuacją ekonomiczną i społeczną.

— Naturalnie. I jeszcze jedno — z psychosocjologicznych prac i statystyk wynika, że wyjście z tego piekła kobiet i powrót do normalnego życia zdarza się, niestety, niezmiernie rzadko — co oczywiście nie oznacza zachęty do zatrudniania się w domach publicznych...

## ROZMOWA DZIESIĄTA

O minusach Internetu, tajemnicach ludzkiego mózgu i skrzyżowaniu technologii z biologią

— *W chwili kiedy wszyscy entuzjastowali się Internetem, pan ogłosił artykuł „Cave internetum” — i wciąż, pan się o Internecie wyraża sceptycznie. Dlaczego?*

— O Internecie nic specjalnie dobrego nie mam do powiedzenia. Planowana za czasów zimnej wojny przez CIA i Pentagon sieć łączności, pozbawiona ośrodków centralnych, by zapobiec ewentualnej destrukcji podczas ciosów atomowych, przetrwała jako relikw i zaczęła się silnie rozwijać, przynosząc znaczne zyski.

Intratność Internetu i innych sieci przyciągnęła wielu inwestorów; jeden z nich, Billy Gates z Microsoftu, stał się najbogatszym człowiekiem na świecie — 34 miliardy dolarów. Jednakże robienie interesów nie wydaje mi się najciekawszym z punktu widzenia ogólnocywilizacyjnego zjawiskiem, zajmuje mnie bardziej to, do czego się Internetu używa. Otóż prócz banalnej łączności, która urodziła tak zwaną pocztę elektroniczną, służy on podłączaniu się do programów eksperckich, i w ogóle wszędzie, gdzie kto chce. Rozmaite zastosowania Internetu, o których czytam na przykład w „Heraldzie”, nie wydają mi się zanadto budujące.

Mamy więc *gambling*, czyli gry hazardowe, które można uprawiać siedząc na przykład w domu pod Waszyngtonem. Nie trzeba jechać do Monte Carlo, musimy tylko mieć kartę kredytową, której nazwę i numer podajemy przez Internet, i już można obstawiać. Nie jest do tego w ogóle potrzebna prawdziwa ruletka — wystarczy komputer, który ją symuluje. Równie dobrze zresztą może to być każda inna gra hazardowa, nawet nasz zechcyk czy amerykański Black Jack — diabli wiedzą, co to jest... Oczywiście wymagana jest uczciwość strony, która prowadzi cały ten interes, trzyma bank itd. Rzecz znajduje się w silnym rozwoju, a równocześnie za jednym strzałem niszczy, względnie narusza, szereg ustaw. Formalnie przecież, jak ktoś chce uprawiać w Ameryce hazard, to musi jechać do Las Vegas...

— ...albo do rezerwatu indiańskiego...

— ...tymczasem teraz można grać, siedząc na biegunie. Generalnie jest tak: działania legislatury w światowej skali nie nadążają za postępem frontów technologicznych, pojawiają się wciąż nowe miejsca, gdzie jest *vacuum iuris*, i nie wiadomo, czy coś jest legalne, czy nielegalne. A z drugiej strony obowiązuje zasada *nullum crimen sine lege*.

Po drugie, albo też po najpierwsze — szerzy się w Internecie pornografia. Kongres amerykański uchwalił wprawdzie, że żadne obscena nie mogą być Internetem przekazywane, ale Sąd Najwyższy uznał to za sprzeczne z konstytucją, ponieważ ona zezwala na pełną wolność wypowiedzi. Tak skrajne rozumienie wolności słowa i obrazu zdaje mi się absurdem. Przecież oprócz pornografii zwykłej, która jest poniekąd zalegalizowana przez Pierwszą Poprawkę do konstytucji, istnieje pornografia zbrodnicza czy występna. Pojawia się tu ważna sprzeczność, która do tej pory nie została w jednoznaczny sposób rozstrzygnięta.

Inna dziedzina, w którą również wszedł Internet, to tak zwana biometryka, *biometrics*. Powiedzmy, że jakiś komiwojażer jedzie z Nowego Jorku do Atlanty i przy *highwayu* zatrzymuje się na dość nawet podupadłej stacji benzynowej. Może tam na miejscu chcieć zrealizować przez automat czek, który jest na niego wystawiony, a jego wiarygodność stwierdza automat, który będzie mu się przyglądał i zbada, czy rysy jego twarzy odpowiadają temu, co inne urządzenia automatyczne, a więc inny komputer, zapamiętały w centrali. W przypadkach wyjątkowych i rzadkich, na przykład gdy ktoś się pomalował na rudo albo zmienił kolor oczu — bo można sobie zmieniać kolor oczu soczewkami kontaktowymi — musi się na ogół włączyć w ten proces żywy człowiek.

Wspomnę też o dziedzinie, która mnie osobiście najmniej się podoba, ale nie chcę być ani prokuratorem, ani moralizatorem: myślę o grze, o odgrywaniu ról w internetowych kontaktach z innymi ludźmi. Oto jakaś dziewczyna wchodzi do Internetu i tam się przedstawia na przykład jako księżniczka, niech będzie perska. Nawet jeśli w rzeczywistości jest garbata, garb zostanie przez nią zeskamotowany, a ona okaże się niewiastą prawdziwie cudowną i będzie przeżywała rozmaite przygody w zetknięciu z amatorami swej urody na olbrzymich obszarach Internetu, który ma już grubo ponad o milionów użytkowników w skali globu. Ktoś może ją także — w Internecie oczywiście, nie naprawdę — pohańbić, obrabować, nawet zgwałcić. Tam można powiedzieć wszystko — jak w utworach literackich.

Sytuacja taka przypomina mi bardzo starą historię, sięgającą lat sześćdziesiątych, kiedy o Internecie nikomu się nie śniło, a ja jeszcze dość aktywnie działałem jako autor *science fiction*. Wokół *science fiction* utworzył się otok ludzi, tak zwanych (ohydne słowo) fanów, których ściągały nie tyle nawet fascynacje literackie czy beletrystyczne — fantasmagoryczne, ile właśnie chęć zagrania jakiejś roli. Wtedy odbywało się to prymitywnie, za pomocą listu do redakcji — teraz uległo daleko idącej automatyzacji, ale cel całej operacji, którym jest zaspokajanie wstydlivych potrzeb, nie zmienił się, ni jakoś tych potrzeb także.

— *Przyzna pan jednak, że sprawność naszego kontaktu ze światem uległa dzięki Internetowi nadzwyczajnej poprawie.*

— To oczywiście prawda; komputerowy modem przekazuje informacje i teksty w sposób nieporównanie szybszy aniżeli faks, jednym wystrzałem. Dlatego koszty połączenia są znacznie mniejsze.

Tu jednak muszę uczynić zastrzeżenie, odnoszące się zwłaszcza do polskiej sytuacji. Internet może się posługiwać tradycyjną siecią telefoniczną, która jest na świecie bardzo silnie rozbudowana. Musi ona być jednak w miarę dobrej jakości, najlepiej światłowodowa, jako tako bezawaryjna. A my w Krakowie na Klinach mamy przynajmniej raz na miesiąc awarię prądu — infrastruktura nasza jest dość nietęga. Tymczasem jeśli nie działa ona w sposób bezawaryjny, to cały Internet diabli biorą. Istnieje możliwość obejścia tej przeszkody za pośrednictwem przekazów satelitarnych; dlatego jak przyjedzie do nas jakaś ważna figura, Clinton albo ktoś podobny, kręcą się wokół miski anten nadawczych, które celują do transponderów, a transpondery przekazują wiadomości dalej. Ale oczywiście internetowi inwestorzy obiecują znacznie silniejsze owinięcie całej kuli ziemskiej siecią informacyjnych pajęczyn.

Wrócić chciałbym jednak do minusów Internetu; wiążą się one z niezbyt jasną stroną ludzkiej natury, o której sporo tu już mówiłem. Przyrodzona człowiekowi skłonność do oszustw i do nieuczciwości może się za pomocą sieci silnie rozwijać. Nie ma żadnych zakazów, więc można kłamać. To ulubione zajęcie ludzi: kłamać, łąć jak diabli. Tymczasem Internet pośredniczy już w zawieraniu wszelakiego rodzaju transakcji brokerskich, giełdowych, bankowych itd. A ewentualne konsekwencje złych ludzkich skłonności trudne są do unieszkodliwienia czy wyeliminowania, ponieważ wszystkie hasła tak zwane kodowane, które mają zagwarantować tożsamość osób, można tylko z pewnym prawdopodobieństwem uznać za zabezpieczenia wystarczające. Zupełnie pewnych zabezpieczeń żadne szyfrowanie nie daje.

Druga rzecz: szyfrowanie może być znakomite, ale strony, które biorą udział w interesach, mogą być równie uczciwe jak ów pan, który niedawno narobił w Niemczech w dziedzinie budownictwa szkód na, zdaje się, kilkadziesiąt milionów dolarów. Afery podobne zdarzały się oczywiście zawsze, przed wojną słynny był Ivar Kreuger, magnat zapalczany, który nakradł straszliwie. Tak więc Internet żadnej innowacji w tej mierze nie wprowadza, poszerza jednak możliwości i — jeśli można tak powiedzieć — znacznie zwiększa liczbę potencjalnych jeleni, czyli frajerów, których można oskubać.

— *Angielski makler z Singapuru, który doprowadził do upadku bank Baringsa, tez, używał sieci i fałszował bardzo skomplikowane transakcje...*

— No, on to robił z dziecięcą swobodą, a jego przełożeni wykazali zdumiewającą

lekkomyślność. Ale też cała sfera interesów opiera się na założeniu wielostronnej uczciwości.

Fakt, że w Internecie można się przedstawiać jako król Madagaskaru albo sam Wielki Manitu, nie ma oczywiście nic wspólnego z zasadami jego funkcjonowania: to są już treści, które doń ludzie wprowadzają. Co zaś się tyczy samej działalności Internetu: będzie oczywiście wykonywał znacznie więcej funkcji, niż to jest możliwe przy pomocy sieci telefonicznej, ale sensacyjność i innowacyjność zjawiska równie zmierzchnie, jak na przykład zmierzchno radio albo telefonia.

Chodzi przecież tylko o włókna przewodzące znaczną ilość informacji. Praojcem inżynierów łączności był Shannon, mniej więcej rówieśnik Norberta Wienera. Kiedy Wiener wymyślił cybernetykę, Shannon mówił o kanale informacyjnym i o przepustowości tego kanału, o tak zwanym poziomie szumów. Wszystko to się bardzo ładnie porozwijało, z jednym tylko zastrzeżeniem, że te wszystkie urządzenia nic nie rozumieją! Owszem, istnieją na przykład programy mogące zastępować konsylium lekarzy, którzy dokonują łącznie, każdy wedle swojej specjalności, anamnezy i stawiają diagnozę. Ale i tutaj nie funkcjonuje przecież żaden rozum, wszystko opiera się na dobrze napisanym programie i na wiedzy medycznej, wcześniej przez ludzki umysł zdobytej.

Ostatnio dowiedziałem się, też z prasy amerykańskiej, że chińska gra „go” — przyznam, że dla mnie nie bardzo zrozumiała, takie czarne i białe kamyki — jest nie do opanowania przez komputery. Znaczący to, że w dziedzinie szachów jakiś Big Blue ma coś do roboty, a tutaj właściwie nie, ze względu na to, że w „go” trzeba za każdym razem patrzeć na deskę z kamykami jako na pewną całość, i to jest dla komputerów orzech nieporównanie trudniejszy do zgryzienia od rozszyfrowania kolejnych ruchów na szachownicy.

— Dobrze, ale co w takim razie z rozwojem sztucznej inteligencji?

— Czy można powiedzieć, że oplatanie globu informacyjnymi włóknami nerwowymi przybliży nas drobnymi kroczkami do stworzenia sztucznej inteligencji? Jeżeliby nawet tak być miało, to droga jest bardzo daleka i bardzo długa. Rację mają chyba ci, którzy powiadają, że czekać trzeba pół wieku, a może nawet wiek — trudno jednak tutaj o prognozy. Osobiście uważam, że do tej kwestii należy się zabierać z innej strony, to znaczy poprzez rozpoznawanie działania mózgu. Był taki rosyjski, czy też sowiecki fizyk, a i trochę autor *science fiction*, nazywał się Dnieprów, który wymyślił pewną grę. Napisał, że gdyby wszyscy ludzie — było ich wtedy na świecie pięć miliardów — zaczęli pełnić funkcje pojedynczych tzw. bramek logicznych, czyli neuronów, przekazując sobie tylko „zero” albo „jeden”, „tak” albo „nie”, symulowałiby w ten sposób funkcjonowanie mózgu. Taki mózg działałby bardzo wolno, trzeba by trzy tygodnie czekać, zanimby powiedział „dobry wieczór”.

Jeżeli jednak nawet przyjąć, że połączone za pomocą Internetu wszystkie komputery świata miałyby udawać korę mózgową w skali globu, realizację takiego pomysłu trudno sobie wyobrazić. Jak skądinąd wiadomo, mózg odłączony od wszystkich zmysłów — tak się dzieje, kiedy się wykonuje tak zwaną deprivację sensoryczną — zapada w rodzaj śpiączki. Oznacza to, że gdyby nawet taki globalny mózg mógł coś pomyśleć — niczego nie pomyśli, bo trzeba by najpierw kuli ziemskiej dorobić oczy, uszy, ręce i nogi. To jest po prostu najczystsza utopia.

Z podobnymi pomysłami w tej, na szczęście, nie znanej mi ostatnio bliżej, połąci fantastyki naukowej dotąd się nie spotkałem; nie bardzo wiem, co oni tam robią. Wiem natomiast, że posuwają się badania nad mózgiem, które niejako usiłują, mówiąc w przenośni, przebić tunel z drugiej strony.

W Stanach Zjednoczonych około 800 tysięcy ludzi cierpi na autyzm. Ponad 80 procent z nich to autyści raczej intelektualnie niedorozwinięci, których poziom inteligencji nie osiąga nawet tak zwanej ociążałości umysłowej, to znaczy 80 punktów na skali ilorazu inteligencji — ale są wyjątki. Czytałem o pani, która jest autystką i która potrafi na przykład, spojrzawszy na schemat matematyczny programu komputerowego, wyłowić błąd logiczny w ciągu niespełna minuty. Ma zdolność zapamiętywania całych stron od jednego spojrzenia. I podobno doskonale się nadaje do pracy w systemach komputerowych, w których niezbędne jest włączenie człowieka jako elementu spajającego.

Skądinąd wiemy, na przykładach fatalnych potknięć i awarii, które przydarzały się postsowieckiej stacji orbitalnej „Mir”, że i komputery zawodzą. Dokowanie (co się po rosyjsku nazywa *priczaf*) modułu przylatującego z Ziemi pod kontrolą automatyki komputerowej nie bardzo się udawało. A przecież nie wszystko, co sowieckie, było sznurkiem i drutem obwiązane, sowiecka nauka była nauką prawdziwą. Jednak „Discovery” czy inne amerykańskie wahadłowce zawsze miały na pokładzie co najmniej cztery komputery służące do nawigacji.

To, co się ohydnie nazywa interfejs, czyli miejsce w którym człowiek styka się z komputerem, jest brzemienne potencjalną awaryjnością raczej z powodu błędów ludzkich. Ot, palec zadrzy, ot, niewłaściwy klawisz się naciśnie, albo — jak się zdarzyło na „Mirze” — ktoś wyciągnie jakieś kable i od razu zaczynają się przykrości, bo sterowalność zostaje zachwiana. Nie snuję tu żadnych prognoz, po prostu ogólna teoria urządzeń i systemów powiada, że zawsze istnieje możliwość awarii; chyba że chodzi o krążenie elektronu i regułę ekskluzji Paulego, która wyklucza możliwość, żeby dwa elektrony w tym samym atomie zajmowały taką samą orbitę. Fizyka żadnych pomyłek nie dopuszcza; z urządzeniami

budowanymi przez człowieka rzecz wygląda inaczej. Jeżeli mamy jedną szansę awarii na milion, prawdopodobieństwo jej powstania wydaje się niewielkie. Ale im bardziej skomplikowany układ, im większa liczba czynności, tym większa możliwość awarii, a ogólny trend rozwojowy zmierza właśnie ku pomnożeniu liczby elementów, czyli ku zwiększeniu komplikacji.

Dawno temu czytałem grubą książkę mądrego neurofizjologa niemieckiego, nazwiskiem Goidstein, który się zajmował tak zwanymi *Ausfallerscheinungen* mózgu, co oznacza różne rodzaje głuchoty, niemoty, afazji, aleksji itd. Niemiecki już wtedy trochę znałem, ale studiowałem to właściwie jak księgę czarów. Teraz wiem dużo więcej, rozumiem, że chodzi o wypadanie czynności pewnych modułów mózgowych, natomiast w dalszym ciągu nie wiem, jak to się dzieje, że mózg jest tak elastyczny i że potrafi podobne kalectwo obejść: inne jego moduły przejmują wypadłe funkcje. Natomiast jeśli ktoś spróbuje niedużym, jednokilowym młotkiem rozbić część komputera, to, jak amen w pacierzu, może się z nim pożegnać na zawsze. Tutaj żadna samonaprawczość nie występuje — na razie to marzenie świętej głowy.

Głównym kierunkiem komputerowego natarcia pozostaje w dalszym ciągu zwiększanie mocy obliczeniowej. Niejaki profesor Hans Bremerman napisał dwadzieścia lat temu, że istnieje pozawyliczalność, czyli takie funkcje, których nigdy wyliczyć się nie da. Potem się okazało, że jednak można, używając w tym celu tak zwanych algorytmów genetycznych. To znaczy robi się to, co robią na przykład bakterie, kiedy się uodparniają na antybiotyki. Bakterie miały około czterech miliardów lat, żeby się nauczyć wykonywać całą pracę rekombinatoryczną dobrze i szybko, a ponieważ jest ich mnóstwo, ich liczba idzie w tryliony, a może kwadryliony, zawsze się którejś uda, i jeżeli nawet tylko jedna dziesiąta procenta z nich wszystkich przetrwa — znów się rozmnożą.

Ostatnio wprowadzono tak zwane udoskonalone plazmidy — to są ciałka zawierające niewielką ilość genów — które mają likwidować oporność bakterii. Te plazmidy ma się wstrzykiwać do chorego organizmu. Ale niestety, bakterie rozmnażają się z taką szybkością i w ciągu godziny zachodzi wśród nich taka przemiana pokoleń, że po prostu nie jesteśmy w stanie nieustannie przepłukiwać całego organizmu sekwencjami genowymi, które mają, że się tak wyrażę, bakterie otumanić. Wszystko to się dzieje na zasadzie gry biochemicznej i te nowe plazmidy stanowią niejako atutowe karty, tylko że dany rodzaj bakterii albo daje się cały zabić, albo wytwarza jednak takiego mutanta, który po rozmnożeniu już sobie poradzi z nowymi metodami ich zwalczania.

— Wjechaliśmy mimochodem na zupełnie nowy tor: mówimy już o technologii

genowej.

— Jesteśmy wciąż na niskim stopniu rozwoju, jeśli chodzi zwłaszcza o tak zwaną nanizację, to znaczy o technologię w skali najmniejszej, tam gdzie chodzi o chromosomy i geny, gdzie mówi się o telomerach i o telomerazach. Telomery nie są ot takimi sobie zatyczkami na końcach chromosomów, to są bardzo skomplikowane struktury białkowe, połączone z rybonukleinowymi genami. Komórki wyposażone w telomery dzielą się określoną ilość razy, zwykle około pięćdziesięciu, choć np. komórki skóry i naskórka mogą się dzielić i dzielić. Ale w narządach wewnętrznych po pięćdziesięciu podziałach komórka nieodwracalnie się starzeje i przychodzi śmierć. Za pomocą telomerazy można istotnie przedłużyć ich funkcjonowanie, ale bardzo łatwo wtedy o ześlizg w stronę rakowacenia. Rak jest w okropnym sensie nieśmiertelny, rozwijałby się nieskończenie, gdyby nie to, że gospodarz, czyli organizm ludzki, zostaje tymczasem zabity.

W utworach bardziej fantastycznych sugerowałem powstanie w przyszłości medycyny ciągłej. Nie będzie to już medycyna interwencyjna — boli nas gardło albo noga, więc biegniemy do lekarza — ale maleńkie urządzonek umieszczone, powiedzmy, pomiędzy łopatkami czy w pobliżu pępka, czuwające nad najważniejszymi parametrami naszego organizmu. Mamy już na przykład pas Holtera, zakładany pacjentowi na 24 godziny, by badać stan jego serca. W przyszłości powstać może centrala, w której każdy żyjący człowiek będzie miał osobny komputer i jeżeli cokolwiek w jego organizmie zazwankuje albo zachowa się niewłaściwie, w centrali zapłonie czerwona lampka lub zabrzączy sygnał, by medycyna mogła odpowiednio wkroczyć.

Tego typu działalność łączy się jakoś ze wspomnianą biometrią, która się nie ogranicza wcale do badania za pomocą automatycznych sensorów wyglądu ludzkiej twarzy. Zasadniczo możliwe jest także używanie daktyloskopii, ale w Ameryce propozycje takie spotykają się z wielką niechęcią, bo kojarzą się z metodami stosowanymi przez policję kryminalną. Mówi się też o badaniu przebiegu kapilarów w siatkówce. Ludzie nie lubią jednak, gdy urządzenia zaczynają się zanadto nimi zajmować. Nikt nie lubi pozostawać w niepewności, czy jego rozmowy telefoniczne i poczta elektroniczna nie podlegają kontroli. A, jak wiadomo, kontrolować można wszystko: sposób życia, sposób widzenia, życie erotyczne, życie małżeńskie, życie seksualne...

Z drugiej strony tak zwana eugenika, która po wyczynach rasistowskich Niemiec została okropnie potępiona i znalazła się w pogardzie, powraca tu i ówdzie do łask — w tym sensie, by można było wcześniej wykryć potencjalne nieszczęście i mu zapobiec. Jakie nieszczęście? Choćby dziedziczną ślepotę.

— ***Równocześnie próbuje się usuwać w organizmie człowieka skutki uszkodzeń.***

— Owszem, zaawansowane są prace mające na celu doprowadzenie do restytucji pewnych utraconych funkcji — na przykład słuchu. Broński, czyli Wojciech Skalmowski, wydrukował kiedyś w „Kulturze” bardzo, moim zdaniem, rozsądny artykuł o Norwidzie. Napisał tam, że Norwid na stare lata zdziwaczał właśnie z powodu głuchoty. Nie było aparatów, a głuchemu zaczyna się wydawać, że za jego plecami źle o nim mówią, czuje się pariasem.

Leczenie głuchoty zaczynało się od implantacji specjalnych włókien do ślimaka, do ucha wewnętrznego; nie zawsze chciały się przyjąć, teraz jest już lepiej. Co do ślepoty: mówiło się o zastąpieniu siatkówki przez urządzenia w rodzaju siatki z, mówiąc grubo, drucikami. Chodziło o bezpośrednie drażnienie kory mózgowej w okolicy potylicznej. W takim wypadku o żadnym czytaniu nie ma mowy, choć można odróżnić światło od ciemności, ale byłoby to postrzeganie pozawizualne.

— „Trzecie oko”?

— Raczej nie to; w mózgu mamy jakby kolejne stacje widzenia. Siatkówki obojga oczu to są właściwie części mózgu, nie tylko ontogenetycznie, płodowo należą do mózgu. Potem one się krzyżują w tak zwane *chiasma opticum* i przy wzgórkach czworaczych dochodzi po raz pierwszy do widzenia, jeszcze nieświadomego. Jeśli ktoś cierpi na ślepotę korową, można mu rzucić piłkę i on ją chwyci, choć sam nie wie, jak to robi. Nie można powiedzieć, że ten ktoś widzi świadomie — ale coś w jego mózgu widzi.

Teraz się przyjęło uważać mózg za układ niezmiernie wielomodularny, w którym poszczególne moduły mogą być niedostatecznie albo nadmiernie rozwinięte. Jak wiadomo każdemu, kto próbował przypomnieć sobie na przykład jakiś jeden wers wiersza, którego niegdyś się nauczył, operacja taka jest trudna. Ale gdy się już zacznie deklamować — całość wiersza łatwiej z pamięci wypływa. To jest po prostu pewnego rodzaju automatyzacja, której normalne funkcjonowanie mózgu sprzyja. Człowiek zachowuje się mniej więcej tak jak słynna stonoga, którą zapytano, skąd wie, którą nogą najpierw ruszać, i od tego momentu zastygła w miejscu, bo zaczęła się zastanawiać.

Zastanawianie się to proceder, który trudno przełożyć na mechanikę procesów mózgowych. Nie posunęliśmy się wiele dalej poza to, co widziałem u profesora Helmuta Petscha: badał on przy pomocy nieszkodliwych izotopów, wprowadzanych do obiegu krwi, koncentrację, to znaczy silniejsze ukrwienie tych okolic mózgu, które pracują. Chodziło o stwierdzenie, że kiedy się opracowuje jakiś mentalny problem, to pracują określone części mózgu — ale okazało się, że inne u różnych ludzi. Nie jest tak, że wszyscy myślą na tę samą

modłę.

Istnieją też różnice pomiędzy płciami. Ostatnio ktoś się bawił w kolejne liczenie neuronów i wyszło mu, że mężczyźni mają ich około trzech miliardów więcej od kobiet, co kobiety dość zirytowało. Już czytałem u feministycznie nastawionych pań, bo nie powiedziałbym — feministek, twierdzenie, że ilość neuronów nie ma żadnego znaczenia. Jest to oczywiście prawda, ponieważ delfin ma mózg prawie pięciokilowy, a nasz waży zaledwie od 1,20 do 1,40 kilograma, więc gdyby waga decydowała, to delfin powinien wykładać na uniwersytecie. Tymczasem on potrafi tylko robić zabawne sztuki i jest zwierzęciem, o którym można ostrożnie suponować, że niekiedy wykazuje nawet zmysł humoru i skłonność do żartów. Widziałem w telewizji pewnego pana, który pływał w basenie z delfinami. Nagle poderwało go w górę i — zaczął pruć jakby unoszony niewidzialną siłą. Po prostu podpłynął pod niego delfin i jak podmorski koń popędził przed siebie, z pływakiem na grzbiecie.

Mózg słoni też jest zresztą duży, choć nie aż tak duży jak mózg delfina: masa mózgu znajduje się w pewnej proporcji do masy ciała, ponieważ ogromna większość funkcjonujących części mózgu, a w szczególności neuronów, zajęta jest procesami w istocie cielesnymi. Mózdzek służy temu, żeby można było wykonywać rozmaite czynności wymagające synchronicznej koordynacji funkcji około dwustu mięśni dla nas najważniejszych — a wszystko dlatego, że nasz przodek, *homo erectus*, jakieś dwa miliony lat temu wyprostował się i zaczął chodzić na dwóch nogach.

Dlaczego nie potrafimy naśladować nawet najbardziej elementarnych struktur mózgowych jakąś elektronową symulacją? Prawdę powiedziawszy, nie wiem. To znaczy nie wiem i wiem — chodzi po prostu o urządzenie zbyt skomplikowane, którego zasad działania do końca nie znamy. Jakieś dwadzieścia lat temu rozpowszechniło się mniemanie, że mózg człowieka liczy około dwunastu miliardów neuronów. Owszem — ale każdy z tych neuronów rozgałęzia się, ma dendryty i ma aksony, i tymi dendrytami dotyka z kolei ciał innych neuronów, to są tak zwane synapsy, każdy z neuronów może ich mieć kilkaset... Jeżeli pomnożyć dwanaście miliardów przez kilkaset, otrzymujemy biliony. To jedno — a poza tym mózg nie stanowi sztywnej, danej z góry struktury, która jest sama w sobie nieruchoma. Występują w nim procesy, wszystko może się po trosze ruszać, dzięki ćwiczeniom mogą pojawiać się nowe możliwości. Mięśnie można przy pomocy ćwiczeń doskonalić i zwiększać ich siłę, podobnie jest z ruchliwością zespołów synaptycznych mózgu.

Osobiście mnie nie dziwi, że mózg jest takim strasznie mądrym i skomplikowanym urządzeniem, martwię się raczej, że właściciele tak mądrych i skomplikowanych urządzeń tak głupio się zachowują. Obawiam się, że łączna liczba zachowań, behawiorów, które rodzą złe

skutki, jest u ludzi większa niż liczba tych, które rodzą skutki dobre. Może dzieje się tak ze względu na większą różnorodność działań złych. Kiedy ktoś daje jałmużnę — to po prostu daje jałmużnę i koniec, a jak ktoś morduje dzieci albo zabawia się w myśliwego polującego na przedstawicieli własnego gatunku, wtedy otwiera się przed nim koszmarna, wielowymiarowa przestrzeń możliwości. Ludzie zaciężni często nie chcą o tym wiedzieć. Ale to trochę przypomina zakrywanie na mapie Ameryki, by udawać, że jej nie ma — działanie magiczne, a zarazem nieskuteczne.

— *Widzę, że nie sposób uwolnić się od tematu sta w świecie.*

— Rozmawiamy w piątek, wyszedł właśnie kolejny numer Magazynu „Gazety Wyborczej”, a w nim ogromny reportaż o dużej grupie chłopców, kochanych, pielęgnowanych, z rodzin zamożnych, którzy mordują, kłamią, kradną, zabijają dzieci, gwałcą, filmują na wideo te akty gwałtu, by ofiarę zmusić do następnych aktów. Ich zupełna *moral insanity* woła o pomstę do nieba. Jak już mówiłem, nie zaliczam się do grona przeciwników kary śmierci, podniosłem mówiących o godności życia, choć wolałbym oczywiście tych zwyrodniałych gwałcicieli jakoś odosobnić. Jeżeli jednak nie ma skruchy, jeżeli nie ma śladu współczucia, synitonii, to nie może być odpuszczenia. A młodocianych przestępców zamyka się w poprawczaku, z którego uciekają, żeby mordować dalej. Nie ma odpowiedzi na pytanie, dlaczego, nie ma odpowiedzi na pytanie, po co. To są często igraszki, kończące się pozbawieniem życia człowieka, ale całkowicie bezinteresowne — poza tym, że dostarczają rozkoszy.

Jan Józef Szczepański napisał wstrząsające opowiadanie, które jest fikcyjną, ale opartą na rzeczywistości, pseudoreportażową historią zbiorowego samobójstwa, jakiego (dokonała grupa sekciarzy, chcąc się przenieść z Ziemi do rakiety lecącej za kometą Hale’a–Boppa. Dla mnie to była lektura bardzo ważka. Mówi się w takich przypadkach ogólnie: aberracja, a Szczepański pokazuje, że z bliska oglądani, ci ludzie mogą się okazać dosyć normalni, zwyczajni.

A skopcy? Duża pieczęć, mała pieczęć... „Życie to sen wariata śniony nieprzytomnie”. Czasem myślę, że głównym moim błędem, kiedy pisałem *Summę technohgiae*, nie był brak umiejętności przewidywania pewnych zjawisk albo zła ocena stopnia trudności pewnych rozwiązań, tylko nadmiar ufności pokładanej w racjonalnie myślącej istocie, jaką jest fikcyjny bohater książki. Ludzie, niestety, nie są tacy przyjemni. Ale najłatwiej o mizantropię...

— Zaczęliśmy od niebezpieczeństw Internetu, teraz katalog zagrożeń znacznie się rozszerzył — Dotknęliśmy już kwestii biotechnologii...

— Największym zagrożeniem w tej dziedzinie wydaje mi się możliwość przekraczania powstałych ewolucyjnie i przez miliony, setki milionów lat utrwalonych granic międzygatunkowych. Jednym słowem — mosty transgeniczne. Brzmi to jak żart: o, facet z sercem świni, chociaż taka operacja na pewno ma dobre strony i poszerza możliwości ratowania życia, poza tym przecież człowiek nie kocha sercem, tylko głową. Ale problem pozostaje i zdolność akceptacji podobnych przemian wydaje się na razie ograniczona.

Natomiast technologia wnika pomału w nasze życie. Pewien mój znajomy, jeden z najwybitniejszych współczesnych dramaturgów polskich, zawsze mówił, że chciałby się urodzić w czasach feudalnych, ale oczywiście jako członek klasy panującej: służba zgięta w ukłonach, dworacy, wszyscy na usługi. Teraz ludzie marzą, że służbę zastąpią automaty. Ale ten medal ma dwie strony.

— ***Czy dziś, inaczej niż przed czterdziestu laty, przede wszystkim dostrzega pan zagrożenia?***

— *Pro domo sua* — jako niechciany prorok — powiem z satysfakcją, że ludzie podłączeni do rozmaitych sieci otrzymują dziennie od 180 do 200 informacji o charakterze listów i są zmuszeni przeprowadzać surowy ich odsiew, w przeciwnym bowiem razie rychło trafiliby do domu wariatów. I na razie nikt jeszcze nie wymyślił na to lekarstwa, można co najwyżej uciec na bezludną wyspę. Dzieje się dokładnie to, w czym zawsze dostrzegałem niebezpieczeństwo epoki, w której informacja miała nas zaprowadzić do rajów.

— To prawie jak przekleństwo demona drugiego rodzaju z „Cyberiady”; wszyscy poplątani informacyjną taśmą.

— Istotnie. Na szczęście Opatrzność przydała mi sekretarza, który to wszystko porządkuje; za to obsypuję go nieustannie ogromną liczbą zaproszeń na rozmaite imprezy...

Wracając zaś do moich proroctw. Leży przede mną artykuł, o którym zuchwale powiem: nigdy bym się nie spodziewał, że tego dożyję. „*Taking life by bits*”, to znaczy: „rozkładamy życie na kawałeczki”. Otóż istnieje pewien najprostszy żywy twór, nazywa się *mycoplasma genitalium*. To, że tworzy owe żyją w genitaliach, nie jest istotne; ważne, że są bardzo malusieńkie. Jest to najmniejsze ze znanych stworzeń, pracuje i żyje dzięki 468 genom. I teraz naukowcy próbują zredukować liczbę tych genów, żeby się przekonać, przy jakiej ich liczbie komórka wciąż jeszcze zdolna jest do odnowy i przemiany materii, dzięki której może istnieć.

Pojawiła się też tak zwana wirtualna inżynieria życia. Wszystkie oznaki wskazują na to, że kiedyś dojdzie do powstania technologii życia i będzie to technologia niesłychanie mikroskopijna. Geny to przecież molekuły, którymi operować trudno, zwłaszcza że z reguły

pracują w środowisku półpłynnym, w koloidach — więc się projektuje w komputerach tak zwane wirtualne bakterie lub wirtualne komórki. I w ten sposób schodzą się dwa dopływy; z jednej strony wiedza o genach, a z drugiej — aparatura komputerowa umożliwiająca wirtualizację, czyli stworzenie modelu bakterii.

Wiele genów nie działa tylko na zasadzie, na jakiej funkcjonuje w murze cegła: są one aktywnymi współsprawcami życia. Nawet w tym nieszczęsnym stworzeniu, *mycoplasma*, zredukowanym mniej więcej do trzystu kilkudziesięciu genów, całość jest w dalszym ciągu niezwykle skomplikowana, składa się z wielu warstw, z wielu współłączących się, sprzężonych zwrotnie dodatnio i ujemnie procesów. Jest to sprzężenie typu homeostatycznego, są tam rozmaite systemy molekularne, które wpływają na przemianę cukrów, glukozy, które dostarczają energii itd. Badacze nauczyli się już wypstrykiwać geny z tego *mycoplasma*, ale nie umieją go z nukleotydowych elementów poskładać z powrotem.

— Jakie są pana zdaniem dalsze perspektywy takiej inżynierii?

— Optymiści powiadają, że najpóźniej w roku 2002 ruszy już prawdziwa inżynieria bakteryjna, inżynieria cellularna, po prostu projektowanie życia. W nagłówkach rozmaitych pism od wielu lat przewijało się hasło „życie dla przemysłu”. Tu już zahaczamy o nadzieję, że przyszła wytwórczość w dużej skali będzie polegać na projektowaniu zespołów niby—żywych, odznaczających się przemianą materii itd. Będą one, być może, miały charakter jakiejś pseudotkanki. W jednej z podróży gwiazdnych Ijona Tichego pisałem o wykładaniu ściany tapetami utworzonymi z tkanki mózgowej, a także o ziarenku, które wkłada się do ziemi, polewa wodą — i wyrasta magnetofon. Magnetofon to przesada — ale jakieś jajeczko to już mniejsza przesada. Jednym słowem, od rzemyczka do koniczka.

Równoległe niejako i na prawdziwie już industrialną skalę odbywa się wdrażanie podstrojonych inżynierią, genetycznie zaprogramowanych postaci i odmian roślin, zbóż i nie tylko; o pomidorach każdy już wie. Całe połacie porośnięte są różnymi rodzajami roślin użytkowych, posiadających gen, dzięki któremu mogą zabijać szkodniki. Geny te wprowadza się przy pomocy wektorów. Wektory to po prostu wirusa fachowcy zapewniają, że nieszkodliwe dla człowieka. Mimo to panuje pewien strach: sceptycy opowiadają bowiem, że taki wirus może przecież podlegać różnym mutacjom, i brak jest gwarancji, że mutacje te nie zaszkodzą człowiekowi albo zwierzętom—jeśli chodzi o zboża paszowe, jednym słowem, nieszczęście może się zdarzyć. Całkowicie wykluczyć takiej możliwości obecnie nie można, aczkolwiek nie mamy dowodów, by coś podobnego gdzieś zaszło.

Mamy więc — tak bym to określił — megabiotechniki, zwrócone ku uprawom masowym, i nanobiotechniki. Tak zwane minimum bakteryjne może stać się podstawą dla

opartej na bakteryjnej zupie wytwórni przemysłowej, której linie produkcyjne są w najwyższym stopniu wydajne, a odchody, jako nieużytkowe resztki — w ogóle nieobecne, bo wszystko zostaje do samego końca wykorzystane. Czyli że nie ma żadnego zanieczyszczenia środowiska; to jest niby ta wizja, ku której zmierzamy.

Jednakże z drugiej strony słyszę, że nie można sobie wyobrazić, by istniał jakiś ultymatywny i ostateczny mikroorganizm, a to ze względu na odmienność organizmów. Trochę jest tak jak z autami osobowymi: auta można, jak wiadomo, miniamryzować, i robi się to dzisiaj, nawet Mercedes na to poszedł, ze względu na kolosalny ścisk samochodowy na całym świecie, ale na pewno nie może być auta, do którego człowiek nie wsiądzie. Nie może ono być mniejsze niż obrys istoty ludzkiej, człowieka dorosłego.

Dotąd nie powstały definitywne metody masowego opracowywania projektów komórek żywych, takich jak *mycoplasma genitalium*; nie jest więc tak, że potrafimy uruchomić biologiczną fabrykę, działającą jak taśma produkcyjna, gdzie składa się samochody z części. Nie ma tak dobrze. Znajdujemy się jednak nieporównanie bliżej technologii zaprzęgnięcia procesów życiowych dla potrzeb wspólnot ludzkich aniżeli przed trzydziestu paru laty, kiedy pisałem *Summę*. Wtedy była to z niczego właściwie wysnuta fantasmagoria.

— ***Jak się toczy tata. proces: od pierwszej fantasmagorii do przemysłowego wdrożenia?***

— Reguła jest mniej więcej taka: najpierw pojawia się kilku dziwaków i nawet czasami jakiś wariat, w moim rodzaju, który coś tam sobie mówi albo pisze, i to pada oczywiście na zupełnie głuche uszy, nikt nie zwraca na jego słowa najmniejszej uwagi, a osoby rozsądniejsze, z gatunku na przykład filozofów, delikatnie pukają się w czoło. Potem mija pięć, dziesięć, piętnaście lat i w rozmaitych kącikach globu ziemskiego zaczynają się pojawiać prace innych dziwaków, eksperymentatorów; próbują coś zrobić i przeważnie im się nie udaje. W końcu jednak gdzieś coś komuś się uda i kiedy wynik takiego eksperymentu zostanie ogłoszony, a następnie dojdzie do świadomości ogółu uczonych, zaczyna się budzić fala zainteresowania, która rozszerza się jak fale w wodzie po wrzuceniu w nią kamienia. Coraz więcej uczonych czy eksperymentatorów ma ochotę sprawdzić, czy rzeczywiście tak może być. Wszystko jednak nadal znajduje się w stadium, powiedziałbym, chałupniczym. Wreszcie trafia się ktoś, kto gotów jest włożyć w całe przedsięwzięcie pieniądze, bo uznał na przykład, że można będzie dzięki niemu wyhodować buraka cukrowego o dwukrotnie wyższej zawartości sacharozy albo roślinę, która nie potrzebuje nawozów sztucznych dostarczających azotanów. Zaczyna się działalność na wielką skalę. Po czym po jakimś czasie

— to już faza ostatnia — ujawnia się mniejsza lub większa szkodliwość odkrycia, tak jak było z energią atomową.

— *Jest chyba jednak różnica między stosowaniem genetyki w rolnictwie a bombą atomową.*

— Istotnie, energia atomowa musi tutaj wyjść na scenę w innym porządku, ponieważ była ona dwustronnie podgrzewanym dziećciem technologicznego rozwoju, przyspieszanego gwałtownie perspektywą militarnego konfliktu w skali światowej. Należy więc do osobnego rozdziału odkryć, wynalazków i technologii, które służyły przede wszystkim śmierci, zabijaniu, niszczeniu i destrukcji. W przypadku technobiologii tak nie jest, aczkolwiek wydaje się prawdopodobne, a nawet pewne, że istnieje jej boczna, silnie rozwinięta już odnoga, która ma na celu stwarzanie broni biologicznej.

Jest takie *bacterium*, które wytwarza botulinę; *botulismus* powoduje paraliż wszystkich mięśni, zwłaszcza oddechowych i, jak to mówią, śmierć w krótkich abcugach. To jest rzeczywiście jedna z najbardziej śmiertelnych substancji, ze względu na dysproporcje pomiędzy niezmiernie małą dawką śmiertelną a ilością, którą potencjalnie można by wytworzyć. Substancji takich jest znacznie więcej, ale w uszczegółowianiu listy tych bakterii i środków uśmiercających lepiej się nie zapuszczać.

W czasach w pełni jeszcze trwającej zimnej wojny Stany Zjednoczone stały się terenem niezupełnie nienagannych etycznie eksperymentów masowych. W niektórych wielkich miastach w tunelach kolei podziemnej rozpraszano w sposób całkowicie anonimowy — nikt nic nie wiedział, ani telewizja, ani prasa — rozmaite zarodniki i wirusy, jakoby zupełnie nieszkodliwe. Chodziło tylko o to, ażeby sprawdzić, za pomocą odpowiednich metod badawczych, w jaki sposób one by się rozprzestrzeniały, gdyby były zabójcze, i w jaki sposób wpływałyby na organizmy ludzkie. Eksperyment okazał się nie taki całkiem nieszkodliwy, ponieważ niektórzy ludzie byli na te zarodniki uczuleni i potem nie wiedzieli, skąd się te nieżyty i niestraszne, ale jednak, dolegliwości alergiczne biorą. Nie mówiąc już o tym, że w latach pięćdziesiątych sam oglądałem żółto-czarną okładkę amerykańskiego pisma „Discovery” ze zdjęciem przedstawiającym wybuch sporego ładunku atomowego. Zdjęcie zrobiono nad głowami odzianych w hełmy żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej — potem się dopiero okazało, że udział w tych ćwiczeniach troszkę im zaszkodził. Ale wtedy Amerykanie po prostu nie wiedzieli, czym to grozi, że raka można dostać i w dwadzieścia lat po otrzymaniu stosownej dawki promieniowania.

— *Wróć na koniec jeszcze raz do Internetu: czy po dłuższym już okresie doświadczeń nie traktuje go pan łagodniej?*

— I tak, i nie. Pewne korzyści może on oczywiście przynieść. Chciałem, by na okładce mojej najnowszej książki *Okamgnienie* znalazła się fotografia Ziemi widzianej z Księżyca. Widok bardzo wzruszający — Ziemia to jedyna błękitna planeta. Ściągnęliśmy dwa takie zdjęcia z internetowej strony NASA i zrobiliśmy z nich *bricolage*. Tak więc i mnie Internet do czegoś się przydał. Zarzutów moich jednak nie cofam.

## ROZMOWA JEDENASTA

O naprawianiu człowieka i protezowaniu organów

— *Dotarliśmy już w naszych rozmowach na skrzyżowanie biologii i technologii. Czy możemy zatrzymać się przez chwilę przy perspektywach, jakie tu się rysują?*

— Sądzę, że w nadchodzących stuleciach pojawi się w dziedzinie inwazji technologii w procesy życiowe możliwość — znów trzeba się do porównania odwołać — składania genomów z poszczególnych liter nukleotydowych, jak dawniej składał tekst linotypista. Linotypy to już historia: maszyna układała specjalne foremki, z góry lał się ciekły ołów i powstawały od razu całe wersy. Tutaj mamy zasady czterech kwasów nukleinowych, którym, jak czterem literom składanym, odpowiada w organizmie każdego zwierzęcia i człowieka dwadzieścia rozmaitych rodzajów białek. Moglibyśmy, działając za pomocą nie istniejącego jeszcze „linotypu”, wytwarzać takie genomy, takie spirale nukleotydowe, jakich na świecie nie było. Dotychczasowe prace w tej dziedzinie przebiegają niezmiernie żmudnie i powolnie — z braku technologii zdolnych do przeniesienia ich w sferę produkcyjną. Nie przypomina to na razie montażu samochodów czy silników na taśmie, poszczególne genomy bowiem trzeba z dużym kłopotem i nakładem wysiłku laboratoryjnie wytwarzać, a odbywa się to w warunkach, w których normalnie nigdy prawie się nie działo, w półciekłej, koloidowej fazie, no i w dodatku wszystko jest strasznie małe.

Rysuje się jednak na odległym horyzoncie zdumiewająca możliwość produkowania jakichś chimer, jak się je nazywa w botanice, albo hybryd. Te określenia nie wydają się zresztą trafione; chodzi raczej o działalność kompozytorską, tyle że w dziedzinie życia. Nie twierdzą, że pojawiłyby się zaraz pegazy, skrzydlate konie, ostrzeżałbym jednak przed pochopnym zakreślaniami granic. Pierwszy rower w historii składał się z dwóch drewnianych kół, siodełka pomiędzy nimi, no i ramy, a jeździec, czyli rowerzysta, nogami się od bruku odpychał. Co się z tego później zrobiło — wiadomo. Dlatego trzeba być bardzo ostrożnym w stawianiu technologii barier.

— *Czy więc będziemy wkrótce mogli naprawiać nasze popsute organy, nie opierając się tylko na chemii albo przeszczepach od obcych dawców?*

— Nie można dotąd odpowiedzieć na sensowne pytanie, czy będzie możliwe na przykład wyjęcie z jakiegoś żywego organizmu, powiedzmy, z człowieka, komórek—jak wiadomo, wszystkie komórki organizmu zawierają te same genomy, z których on powstał — i

dajmy na to wyhodowanie konkretnego organu, który właśnie zaszwankował. Dystrybucja uszkodzeń i schorzeń oraz przedwczesnej senilizacji czynnościowej poszczególnych narządów wewnętrznych jest nierównomierna, ponieważ ich obciążenie funkcjonalne jest niejednakowe. Jak ktoś jest stary, to jego mięśnie są słabsze, i już nie może, nieszczęśnik, bawić się w żadne akrobacje jak za młodu. Uprawiać akrobacji wcale jednak nie musi — natomiast jego serce musi wciąż bić.

O sercu dowiadujemy się zresztą coraz to nowych niepojętych rzeczy. Znany jest, w Polsce też, syndrom nagłej śmierci łóżeczkowej malutkich dzieci, właściwie prawie osesków, które umierają we śnie. Zdrowe jak rydz i nagle umiera w kołysce. Badania wykazały — Amerykanie kochają badania statystyczne — że najczęściej umierają takie dzieci, których serca biją z podejrzaną i niezwykłą regularnością. I w tym się szuka wyjaśnienia tego tajemniczego syndromu: ze względu na nieustanną pracę serca nie wszystkie jego włókna mięśniowe powodują skurcze równocześnie, zawsze pewna część pracuje, a inna jakby odpoczywa. Wbrew pozorom, praca serca u najzdrowszego nawet człowieka i bez względu na jego wiek nie jest zupełnie regularna. Do ulubionych słów należy teraz „chaos”: otóż serce pracuje troszeczkę chaotycznie. Jeżeli jego praca przestaje być chaotyczna i wszystkie włókna pracują równocześnie, może dojść do czegoś w rodzaju zmęczenia, które kończy się nagle i tragicznie.

W warunkach naszej cywilizacji średnia wieku mężczyzny wzrosła niepomernie: w epoce jaskiniowej wynosiła dwadzieścia pięć — trzydzieści lat, dziś dochodzi do siedemdziesięciu. Powinienem już nie żyć od dłuższego czasu — ale są jeszcze starsi. Byłoby nieźle, gdyby nasze serce można było wspomagać. Najprostszym oczywiście sposobem wydaje się zdublowanie; tak jak mamy dwie nerki, mielibyśmy dwa serca. Należałoby do tego dojść drogą zmiany naszej kompozycji genetycznej. Niezła wydaje się też możliwość zamówienia dla dziecka rezerwowego serca, które by z nim razem wzrastało, ale trochę uśpione, niedociążone.

Kto lubi oglądać sport wyczynowy, olimpiady i tak dalej — ja nie jestem całkiem od tego — ten wie, że bardzo wiele narządów i tkanek u sportowców obciążonych jest czynnościowo po granice możliwości, i nie chodzi tylko o stosowanie rozmaitych preparatów, za co podlega się dyskwalifikacji. Charakterystyczne, że za mojego żywota cała kadra pierwszej klasy tenisistów już zeszła z kortów. Poszli na emeryturę, zaczynając od Martyiny Navratilovej, poprzez Borisa Beckera, po Michaela Sticha; niektórzy jeszcze trochę grają, ale już zaczynają być starszymi panami i paniami. A starszymi panami i starszymi paniami stają się już koło trzydziestki. Wpływa na to wiele czynników, na przykład tak zwany „łokieć

tenisisty”, schorzenie wywołane drganiami rakiety, które się pojawiają przy bardzo gwałtownym uderzeniu, nadającym piłce szybkość rzędu prawie dwustu kilometrów na godzinę. Drgania te oddziałują bardzo boleśnie i szkodliwie na staw łokciowy. Teraz już zresztą wymyślono takie rakiety, które wewnątrz rękojeści kryją urządzenia tłumiące drgania — w tym przypadku nie chodzi o wspomaganie samego organizmu, podobne do wspomaganie układu kierowniczego w aucie, ale po prostu o odpowiedni przyrząd. Organizm ludzki nie we wszystkich miejscach jednakowo podlega awaryjności. Jednym z najpaskudniej urządzonych stawów jest staw kolanowy. Kiedyś — dawno temu — zjeżdżałem z Kasprowego. Był cudowny dzień zimowy, a ja w dodatku zdobyłem trzy miejscówki; niestety, podczas pierwszego zjazdu zaczepiłem kijkiem o korzeń drzewa, wykonałem wielkie salto w powietrzu i wpadłem razem z nartami do potoku Białego. Na szczęście wyszedłem cały z tego, tylko mi portki trzasły, i u pani Ćwikłowej, która była żoną pracownika kolejki, na wannie siedząc w łazience, na okrętkę te portki zszywałem. Straciłem drugą miejscówkę, ale na trzecią jeszcze zdążyłem... Kiedy jednak innym razem upadłem, w moim stawie kolanowym pojawiły się nieprzyjemne wysięki i wybroczyny. Staw ten, w przeciwieństwie do wielu innych w organizmie ludzkim, nie przypomina wcale konstrukcji porządnego inżyniera. Trzyma się po prostu na dwóch skrzyżowanych więzadłach, a z przodu jest rzepka, i kiedy próbuje się — co się, niestety, zdarza podczas upadku, zwłaszcza przy dużej szybkości — nogę zgiąć w stronę, w którą się zginać nie powinna, skutki mogą być niedobre.

Jednym słowem, pewne fragmenty organizmu ludzkiego nadawałyby się do usprawnień czysto inżynierskich. Dotyczy to zarówno układu krążenia, jak i stawów. Równocześnie serce należy do takich narządów, co do których można tylko marzyć, żebyśmy potrafili wiernie naśladować ich działanie. Kiedy się próbuje serce zastąpić nie innym sercem, tylko przez jakąś pompę, skutki są zwykle opłakane. Nie umiemy budować takich urządzeń, w których ściany pompy pracowałyby jako jej silnik. A serce potrafi. Mnie osobiście, jeszcze w gimnazjum, bardzo gniewało to, że ewolucja w tej dziedzinie u gadów jakby stanęła. Mają one wprawdzie dwie komory sercowe, ale w przegrodzie między nimi jest dziura, co zmniejsza wydajność, ponieważ krew żylna miesza się z tętniczą. Gadam to jednak najzupełniej do życia wystarczyło i ewolucja dalej na tym odcinku nie poszła.

— ***To są wszystkie akcje ratunkowe, dotyczące poszczególnych organów; czy można w sposób istotny dalej przedłużyć życie całego organizmu?***

— Z czysto technologicznego, konstrukcyjnego i inżynierskiego punktu widzenia w organizm człowieka zainwestowane są bardzo różnorodne sprawności i umiejętności. Na razie można je tylko opisywać i biadać nad ich utratą. Zwłaszcza kiedy się dochodzi do

pewnego wieku i potem trzeba łykać całymi garściami znaczne ilości tego, co zawierają apteczne szuflady. Powraca wciąż pogląd na poły mityczny — jakaś książka znowu o tym wyszła — że człowiek będzie już wkrótce dożywał stu pięćdziesięciu lat itd. Nie sędzę. Reguła powiada, że istnieje pewien zapas zmienności wywołany heterozygotycznością, czyli różnorodnością genotypową danej populacji. Jeżeli się wybiera samych wysokich albo tylko największe ziarna fasoli zwanej Jaśkiem, w pewnym momencie dochodzi się do granicy. Nie jest tak, że można wyhodować Jasiek wielkości arbuza, aczkolwiek stary dowcip opowiada, że ponieważ do armii carskiej brano tylko ludzi, którzy nie przekraczali dwóch metrów i dwudziestu centymetrów wzrostu, pojawił się wtedy niesłychany urodzaj na Żydów trzy- i czterometrowych...

Kiedy człowiek się rodzi, wiele cech jego organizmu uwarunkowanych jest składem genotypowym, w zależności od niego jeden w wieku sześćdziesięciu lat umiera na serce, choć nie pali papierosów, a drugi dymi jak szalony i dożywa dziewięćdziesiątki. To bardzo oburza zwłaszcza kardiologów, którzy by woleli, żeby wszyscy jednakowo reagowali na czynniki stresujące albo wywołujące jakieś zatrucia. Tak jednak nie jest. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że do pewnego stopnia można poprawić skład genotypowy pewnego rodzaju selekcją, zwaną eugeniką, rzecz cała jednak w tym, że tempo senilizacji, czyli starzenia się, nie jest u wszystkich jednakowe, i śmierć to zjawisko z reguły dość losowe.

Nie mówię tylko o naszych czasach, kiedy lata się samolotami, a o dużą śmiertelność dbają terroryści. Chodzi mi o warunki optymalne; śmierć z głodu, w obozie to inna sprawa. Na marginesie: ludzie, którzy długo przebywali w obozach, zarówno niemieckich, jak i sowieckich, jeśli przeżyli, czasem żyją bardzo długo. Badania wykazały, że szczury, które są utrzymywane na progu głodu przez dietę, żyją dłużej. Mój ojciec twierdził, że wszelkie jedzenie przypomina opalenie pieca prochem strzelniczym: jest konieczne, ale trochę szkodzi organizmowi, i nie należy się obżerać. Niektórym niezmiernie trudno zrealizować ten postulat, istnieje mnóstwo preparatów, które mają pogarszać apetyt i ograniczać łakomstwo. Rezultaty są jednak na ogół przykre, ponieważ preparaty te dają pewne efekty uboczne.

— To już. pogranicze medycyny i mody; produkuje się te środki głównie dlatego, że modna jest szczupła sylwetka.

— Organizm ludzki jest teraz atakowany przez farmakologię z wielu stron skutecznie, częściej jednak niepotrzebnie — chodzi po prostu o to, by wytwórcy preparatów farmaceutycznych mieli się dobrze. Na cały regulator pracuje reklama, co widać zwłaszcza w telewizji. Wykorzystuje się przy tym panującą powszechnie obawę przed starością i starzeniem się. Dotyczy ona zwłaszcza kobiet, które smarując się Bóg wie czym, usiłują

likwidować zmarszczki, a czasem na odwrót, coś sobie dodają: jest na przykład taka pani Pamela Anderson, której biust składa się podobno głównie z silikonu, z podskórnymi wszywanymi poduszkami silikonowymi. „Spiegel” pisał, ile się płaci za zdjęcia rozmaitych ważnych osób wykonane z ukrycia; Pamela Andersen osiągnęła cenę 80 tysięcy dolarów, co nie jest aż tak dużo, bo za nieszczęsną Dianę, księżną Walii, dawano do pół miliona. Ale dotykamy zupełnie osobnego tematu — wykorzystywania prywatności we współczesnej kulturze masowej.

— Zjawisko dość nowe...

— I bardzo obrzydliwe. Napawa mnie wstrętem fakt, że kulturze masowej potrzebne są pewnego rodzaju ofiary. Fotografuje się je, zwykle wbrew ich woli, w najbardziej prywatnych i intymnych sytuacjach, a rozmaite agencje na tym żerują. Ta widowiskowość, ta spektakularność... Akcja rodzi zresztą reakcję: dowiedziałem się z angielskiej telewizji, że istniały agencje, które specjalizowały się w wynajdywaniu sobowtórek Diany. Wszystkie te biedne kobiety dostały po jej śmierci wymówienie; jedna z nich wystąpiła w specjalnym programie i opowiadała o swojej karierze. Do tej pory słyszało się tylko o sobowtórach osób tak ważnych, jak towarzysz Stalin czy inny Lenin. Pewien sowiecki aktor grał wyłącznie Lenina, potem został bezrobotny. No i było jeszcze muzeum figur woskowych Madame Tussaud.

— *Ono też idzie z duchem czasu i regularnie wymienia ekspozycję...*

— Tak, niektóre figury się tam przetapia na nowe osoby. To trochę żałosne. Ja wprawdzie na szczęście nie jestem w żadnym muzeum wystawiony i nikt mi nie proponuje, żebym się sfotografował na golasa, natomiast wciąż dostaję listy z prośbą o dwie fotografie z autografem, jeśli to możliwe — kolorowe. Ponieważ nie mam beczki pełnej fotografii, ograniczam się do wysyłania — jeśli do prośby załączono kopertę z adresem i znaczek — kartki z podpisem. To jest maksimum, na które się zdobyłem pod wpływem moich agentów, ponieważ mi tłumaczyli, że nieładnie wszystko wyrzucać do kosza.

W ten sposób zjechaliśmy z wysokiego pułapu technologii genowej. Pytanie, co może być jeszcze ewentualnie przedmiotem klonowania, pozostaje otwarte. W *Dziennikach gwiazdowych* pozwoliłem sobie na rozmaite żarciki, także rysunkowe. Narysowałem tam kobietę, która miała cztery nogi, a także szkielet jednego pana z ośmioma nogami, z kręgosłupa wyrastało mu przedłużenie, a z niego coraz mniejsze nogi.

Są rozmaite urządzenia, które mogłyby ulec pewnym uproszczeniom. Mamy bardzo skomplikowany i, niestety, niedostatecznie skuteczny układ odpornościowy, czyli immunologiczny. Ilekroć doskonalili się jakiś układ obronny organizmu, to czynniki

chorobotwórcze, które go atakują, też podwyższają swoją wirulencję. Na przykład zbyt masowe wprowadzenie antybiotyków do terapii wywołało mutacyjne skoki, które bardzo utrudniły walkę człowieka z chorobami. Są już szczepy szpitalne bakterii o wirulencji zupełnie wyjątkowej; niektóre nawet żyją dzięki penicylinie, a bez niej czują się gorzej...

To i owo dałoby się może zrobić, to i owo można sproteżować. Istnieją też organy, o których sproteżowaniu marzymy, ale bardzo nam do tego daleko: na przykład układ wzrokowy, o którym tu już rozmawialiśmy, to jednak przede wszystkim wynik nierównomierności frontu, jakim się posuwa zdolność terapeutyczna medycyny, która jedno schorzenie potrafi załatwić, a innego nie. I nierównomierności rozłożenia środków: mówimy o proteżowaniu skomplikowanych układów, a wciąż czterdzieści tysięcy małych dzieci w świecie, zwłaszcza tak zwanym trzecim umiera zwyczajnie z głodu, pod masą much i czerwi, które je żywcem zjadają. Dystrybucja opieki roztoczonej nad człowiekiem jest bardzo nierównomierna.

— *Zdolamy ten świat naprawić, czy też trzeba będzie z niego uciekać?*

— Pewien Niemiec zapytał mnie w faksie: Jeżeli ludzkość spaskudzi, zepsuje i zatruje Ziemię do tego stopnia, że życie na niej stanie się nie do zniesienia, to czy możliwa będzie przeprowadzka na przykład na Marsa? Nie znany mi osobiście Jesko von Putt—kamer — bardzo piękne nazwisko, które się nam kojarzy z historią największego polskiego poety — uplasowany gdzieś w górnych rejonach NASA, powiedział: — Owszem, przeprowadzimy się na Marsa, przynajmniej niektórzy. — Ja w to nie wierzę;

trudno sobie nawet wyobrazić koszt takiej operacji, skoro przewiezienie na Marsa kilkunastokilogramowego ładunku kosztuje kilkaset milionów dolarów. Dochód, który uzyskuje się dziś z całej naszej planety, nie wystarczyłby nie tylko na skolonizowanie Marsa, ale nawet na zainstalowanie tam jakichś maszyn planetarnych, które by sobie chodziły, zbierały minerały i wykonywały inne pożyteczne czynności. Księżyc, jako stacja pośrednia, uczyniłby sprawę nieco tańszą; z kwadrylionów schodzimy zaledwie do trylionów...

Pomysł jest taki, żeby olbrzymie, superplanetarne maszyny, bawiąc się w rozmaite chemiczne procedury, z gleby Marsowej wyciągnęły związki, z których da się wyswobodzić tlen i w ten sposób pomału doprowadzić do powstania atmosfery. Cała ta koncepcja — jeśli w ogóle przyjąć możliwość jej realizacji — wymagałaby minimum kilkuset lat, nawet przy założeniu, że wielusettonowe maszyny spacerowałyby tam całą zgrają. Nawet i wówczas jednak żyć tam, gdzie temperatura w dzień dochodzi czasem na równiku do 14 stopni Celsjusza, a w nocy spada do minus 100, nie byłoby zbyt przyjemnie. Mogłoby to być najwyżej miejsce zesłania, jakaś straszliwa super—Syberia. Miejsce w sam raz na gułag dla

byłych komunistów, o jakim marzą niektórzy — tylko że wtedy nie będzie już żadnych byłych komunistów, ślad po nich zaginie. Może nawet nie będzie już monarchii angielskiej — to jednak należy do moich kilku mniejszych trosk i zmartwień.

— ***Skoro więc uciec nie ma dokąd, wróćmy do perspektyw biotechnologii.***

— Wyobraźmy sobie rozwój biotechnologii skierowanej na masowe wytwarzanie substancji, które niekoniecznie muszą być jakimiś częściami zastępczymi, składowymi narządami organizmu ludzkiego albo w ogóle jakichkolwiek żywych organizmów. Dawno temu, jeszcze za pierwszej Solidarności, pisałem, że będzie biotechnologia „cis” i „trans”:

wszystko, co dotyczy procesów życiowych, to „cis”, a „trans” to inne, niezwykłe zastosowania, dla nas korzystne. Jak to przybliżyć? Bardzo trudno, ale można. Jak wiadomo, do uprawy roślin wymagających azotu niezbędne są pewne rodzaje nawozów sztucznych, ponieważ azot z powietrza nie jest przez te rośliny przyswajany. Istnieje natomiast specjalna bakteria — *azotobacter* — która w tym procesie pomaga. Można więc gen umożliwiający użytkowanie azotu wszczepiać.

Tego rodzaju zastosowań może być legion. Znamy na przykład tak zwane fagi bakteryjne, malusieńkie wirusy pasożytujące na niektórych bakteriach. Można sobie wyobrazić wytworzenie większej ilości takich pasożytów, które by żyły na bakteriach szkodliwych dla nas i je unicestwiały. Nie należy oczywiście sądzić, że świat pozbawiony bakterii byłby światem wspaniałym: w naszym organizmie są bakterie, jak pałeczka okrężnicy, niezbędne — choć to może przykre — na przykład dla procesów trawienia. Ostatnio jest zresztą na bakterie moda, mówi się, że wrzody dwunastnicy i żołądka wywołuje *helicobacter*, że zawał serca też może mieć bakteryjne podłoże. W medycynie, jak we wszystkich dziedzinach życia, pojawiają się mody, które później przechodzą. Był czas, kiedy wyklęto pomidory, teraz już pomidory są nieszkodliwe, najbardziej szkodliwe są papierosy.

Najpóźniej niewątpliwie zostaną naruszone elementy centralnego i obwodowego systemu nerwowego, choć byłoby bardzo korzystnie móc łątać uszkodzenia rdzenia kręgowego; na razie o tym nie ma mowy. Napisałem w *Krytyce procesów ewolucyjnych*, że ewolucja wynajduje znakomite rozwiązania, na przykład regeneracji organów u niższych zwłaszcza zwierząt, a potem o nich zapomina. Można by stosowne geny wszczepiać.

Otwiera się tu olbrzymie pole możliwości i naturalnie od razu pojawiają się wśród nich możliwości militarne, wojenne, szkodliwe i zabójcze, o których sam pisałem — ale tylko w książkach *science fiction*. W ogóle nie byłem specjalnie zainteresowany obrzydlistwami. Tymczasem głównym przeciwnikiem, wrogiem i szkodnikiem dla człowieka okazuje się sam człowiek. Dlaczego on się tak wysila, żeby czynić zło — nigdy nie mogłem zrozumieć.

Twórcy wirusów komputerowych — po co oni się tak męczą? Rozumiem jeszcze podszycie się w sieci pod cudzą kartę kredytową, z tego płynie wymierna korzyść finansowa. Dlaczego jednak bezinteresownie niszczyć cudzą pracę? To naprawdę niepojęte.

— Liczba tych wirusów jest ogromna. Niemal wszędzie dyskietki przynoszone z zewnątrz sprawdza się najpierw programem antywirusowym.

— Mnie to przypomina, w niskiej sferze działań, szczeniaka, co chodzi po ulicy z gwoździem i rysuje lakier na samochodach. Owszem, kiedy miałem sześć, siedem lat, niszczyłem zabawki, potem to jednak jakoś mija, a przynajmniej powinno. Encyklopedia ludzkiej nikczemności wypełniłaby, niestety, wielkie tomy. Ostatnio pewna firma produkująca musztardy i majonezy w tubach padła ofiarą szantażu: tajemniczy wymuszacze grożą, że wprowadzą do tub truciznę. Przy całej mojej łagodności chętnie bym takich wieszał.

— ***Kiedyś do słoiczków z odżywkami Gerbera dosypano tłuczone szkło.***

— To akurat było mniej groźne, niż się sądzi, ponieważ organizm nie najgorzej daje sobie radę z tłuczonym szkłem; grabi nikt wprawdzie nie połknie, ale układ pokarmowy wiele zniesie. Organizm nie jest znów taki całkiem głupi. Mniej więcej w 98 procentach funkcjonuje samoczynnie, poza naszą wiedzą. Nie musimy się specjalnie wysilać, żeby nasze nerki filtrowały, itd. Oczywiście aż do momentu, kiedy zaczną zawodzić. Kiedy się narząd psuje, wtedy medycyna jest niezbędna. Tylko że jeśli chodzi na przykład o neurologię, to kolega mojej żony, wybitny specjalista w tej dziedzinie, zwykł mawiać:

„Neurologia to nauka, w której nie znamy ani przyczyny wywołującej choroby, ani metod ich leczenia”. I to jest w dużej mierze, niestety, prawda.

## ROZMOWA DWUNASTA

O prognozowaniu, prorocत्वach, perspektywach biotechnologii i patentowaniu embrionów

— **Krążymy w tych rozmowach wśród mnóstwa tematów i wciąż powraca problem pańskich ziszczonych albo i nie ziszczonych prognoz, Z „Summy” i z innych książek.**

— Chciałbym rzecz nieco zgeneralizować i zająć się typologią prognozowania. Najpierw mamy prognozę strategiczną, czyli rozważanie, któredy i w jakiej dziedzinie biegną najważniejsze szlaki i kierunki rozwojowe. Dziś na przykład można bez obawy o pomyłkę wskazać, że znajdujemy się na progu ery biotechnologicznej i informatycznej. Tutaj stosunkowo łatwo trafić w cel. Kilkaset lat temu Bacon starszy napisał, że pojawią się w przyszłości takie maszyny, które będą latały w powietrzu albo chodziły po dnie morza, i jego przewidywania się sprawdziły. Nie próbował jednak tych maszyn szczegółowo opisać, bo to byłoby niemożliwe. Z taktyką bowiem — to etap drugi — przez którą rozumiem uszczegółowianie kolejnych kroków postępu, jest znacznie gorzej. Trafić w kolejność rozwojowych kroków naprawdę trudno.

I wreszcie sprawa trzecia: wiarygodność. Rzecz niby nieistotna, czy prognozy prometeuszowe lub kasandryczne przynoszą, czy też nie przynoszą rozgłosu temu, kto je wypowiada. Kiedy napisałem *Summę technologiczną*, nie było odzewu ani ze strony autorów czy krytyków *science fiction*, ani ze strony autorytetów naukowych, z jednym wyjątkiem Kołakowskiego, który mnie wyśmiał. Obowiązuje zwykle reguła: co jest w danym czasie nie do wiary, na wiarę nie zasługuje. W Stanach Zjednoczonych, gdzie opinia powszechna bardzo silnie podbudowana jest ludzką naiwnością i typowo amerykańskim hurraoptymizmem — możemy wszystko, polecimy na Księżyc i na Marsa, zrobimy to i tamto — wiarygodność w dużej mierze zastępowana jest reklamą oraz szeroko rozumianym rozgłosem medialnym. Tak było z moim *betę noire*, futurologiem Hermanem Kahnem, który zbierał laury proroka, choć żadne z jego prorocत्व się nie sprawdzało.

— **Futurologia w ogóle stanowiła chyba domenę głównie Amerykanów?**

— Istotnie, a kiedy przeżyła dosyć feralny krach, kiedy przyszło do katastrof takich jak czarnobylska, większość co ważniejszych futurologów trochę się zawstydziała i przycichła. Skupili się teraz głównie wokół ośrodków militarnych, takich jak Pentagon.

Nie potrafimy odsiewać prognoz wiarygodnych od niewiarygodnych. Całkiem niedawno jeszcze mówiło się, że w roku 2050 na Ziemi będzie 12 miliardów ludzi, teraz się mówi już tylko o 9,7 miliarda, ponieważ nastąpił spadek przyrostu — ale jedynie w krajach o względnie wysokim poziomie rozwoju cywilizacji.

— **No i w Chinach.**

— Ale jakimi środkami ten spadek w Chinach osiągnięto! Ponieważ wprowadzono zakaz posiadania większej liczby dzieci, a każdy mężczyzna chce mieć chłopca, więc po prostu zabija się dziewczynki! Skutki są takie, że wedle obliczeń demografów wkrótce czterdzieści milionów mężczyzn w Chinach będzie żyć w przymusowym celibacie — z braku partnerki.

Co do prognozowania: każdy oczywiście chciałby być tą pliszką, co swój ogonek chwali, nie będą gorszy. Mówiłem od dawna, że człowiek stanowi ostatni relikwit całkowicie naturalny w coraz silniej stechnologizowanym środowisku cywilizacyjnym, i prędzej czy później — twierdziłem tak już w latach sześćdziesiątych — technologia dokona inwazji ciała ludzkiego. Wyobrażałem to sobie w sposób dostatecznie ogólnikowy, aby można było powiedzieć, że nie bredziłem zupełnie od rzeczy. I teraz rzeczywiście te rozmaite techniki zaczynają w nasze ciała się wdzierać. Nanizacja, czyli pomniejszanie skali technologii, wciąż postępuje.

Widuję się z panem co kilka dni i co kilka dni słyszeć o nowych technologicznych krokach, zresztą dosyć zuchwałych. Jak z klonowaniem: najpierw była owca jedna i druga, potem owca już nie wystarczyła i pojawiło się cielę. Biologowie dokonujący tych eksperymentów postępowali zrazu prawie jak ślepcy, zamknięci w wielkim pomieszczeniu pełnym rozmaitych schowków i przedmiotów. Trochę na oślep. Doszli do mniemania, że wydobycie genomów z komórek ssaków pozwala na generalizację klonowania, jako że mechanizmy embrionalnego rozwoju u wszystkich ssaków bardzo są podobne. Efekt był jednak taki, że z cielęciem się wprawdzie powiodło, ale wszystkie inne próby skończyły się poronieniem.

— **Teoria częściowo nabudowywana na doświadczeniu?**

— Nie tylko o to chodzi. Ryzyko, które podjęto przy sklonowaniu ssaka — dwieście siedemdziesiąt dwie próby się nie powiodły, dopiero dwieście siedemdziesiąta trzecia dała rezultat — można zestawić jedynie z ogólnymi zasadami funkcjonowania organizmu ludzkiego, w którym procesy takie jak zapłodnienie również podlegają marnotrawczej statystyce. Trzeba sobie uzmysłwić, że aby doszło do jednego normalnego zapłodnienia, w wyniku którego po dziewięciu miesiącach urodzi się dziecko, niezbędne są setki milionów

plemników i tysiące jajeczek. Mniej więcej 40 procent zapłodnionych jajeczek kobiecych nie zostaje przyssanych do błony śluzowej wnętrza macicy, tylko opuszcza ją razem z krwią podczas menstruacji. Duża liczba zygot „marnuje się” więc — i wcale nie jest to wynik złośliwego działania jakichś aborcjonistów. To jest właściwy układ odniesienia, do którego należy przyłożyć statystykę klonacji.

Oczywiście istotna jest też możliwość powstawania w wyniku eksperymentów jakichś defektów.

Próbuje się na przykład także — czerpię tę wiedzę z pism medycznych — wstrzykiwać pojedyncze plemniki *in vitro* do jajeczka. Stosuje się tę metodę, kiedy nie może dojść do normalnego zapłodnienia, ponieważ mężczyzna wytwarza wprawdzie plemniki, ale jest ich zbyt mało. Twierdzi się, że wszystkie dzieci w ten sposób poczęte są jak dotąd normalne. Krytycy ostrzegają jednak, że pewne wady, jak na przykład brak przegrody pomiędzy przedsionkami komór sercowych, mogą po takim celowanym zapłodnieniu występować częściej.

Jednym słowem: znajdujemy się na płycie obrotowej rozmaitych eksperymentów, których jest co niemiara. W dziedzinie biotechnologii, choć nie tylko w niej, panuje gorączkowy wyścig: po pierwsze, zapachniało Noblem, po drugie, kto pierwszy, ten lepszy. Sytuację taką trudno uznać za zdrową, zwłaszcza gdy się eksperymentuje z bombą atomową albo z klonowaniem organizmów, powoli podchodząc i ku człowiekowi.

— Ale sporo chyba w tej dziedzinie i humbugu: choćby ten badacz, który nagle oświadczył, że już, już może sklonować człowieka.

— *Co to znaczy, że już, już? Ze z czyjegoś palca od nogi wyrośnie w jedną noc duży facet? To dobre na film rysunkowy. Oczywiście, to oświadczenie stanowiło typowy przykład naukowej hucpy. Co nie znaczy, że człowieka klonować się nie będzie. Jedno jest bowiem, moim zdaniem, pewne: że o zawróceniu z biotechnologicznej drogi i o rezygnacji z dokonywania eksperymentów najbardziej nawet zuchwałych nie ma mowy. I to niezależnie od prób przegradzania tej drogi rozmaitymi zakazami motywowanymi religijnie albo i inaczej. Także Watykan ani prezydent Stanów Zjednoczonych nic na to nie poradzą. Nie cieszę się z tego, stwierdzam tylko: tak po prostu jest.*

Czy klonowanie czego i kogo się da należy uznać za podległe penitencjarnemu ustawodawstwu? Jeśli chodzi o człowieka: dyskusja jest przedwczesna, nie można od razu przeskakiwać wieży kościelnej. Ustawodawstwo zresztą we wszystkich dziedzinach postępuje z tyłu i na ogół nie nadąża za technologicznym postępem. W dziedzinie zaś biologii sytuacja wygląda szczególnie delikatnie. Mówiłem już o „zmarowanych” zygotach — dodam, że

człowiek traci dziennie kilkaset tysięcy komórek złuszcających się ze wszystkich narządów ciała. Proces ten zaczyna się zresztą jeszcze w łonie matki.

Ostrzegać trzeba, ale zakazać wszystkiego po prostu się nie da. Optymiści mówią: przed pierwszymi lokomotywami miał biec chłopiec z czerwonym proporcem, by przechodzący przez tory nie dostali się pod koła, a kiedy pojawiły się prototypy samochodów, niektórzy wieszczili niemal powszechną zagładę.

— *Nie da się ukryć, że mieli odrobinę racji, zważywszy ogromną liczbę ofiar wypadków samochodowych.*

— Ale to nie znaczy, by komukolwiek przyszło dziś do głowy żądać z tego powodu zakazu produkcji automobili! Chodzi o co innego: społeczeństwa nigdy nie są przygotowane na radykalne zmiany, jakie niesie postęp technologiczny.

A co do obiekcji religijnych; moim skromnym zdaniem, gdyby klonowanie miało się umasowić — napisałem to w 1963 roku! — Kościół nie mógłby odmówić udzielania sakramentów osobie wyklonowanej, bo przecież ona sama w niczym nie byłaby winna temu, że powstała w taki a nie inny sposób. A problem tak zwanej „matki—donosicielki”, matki wypożyczonej, gdy matka pierwotna nie może z jakichś powodów ciąży donosić? Powinien być w jakiś sposób uregulowany ustawowo.

Bywają zresztą dziedziny, w których prawo pozostaje bezsilne, i sprawy, do których w ogóle nie powinno się go zaprzęgać. Kiedy w sejmie wypłynął pomysł ustawowego uregulowania prawidłowego posługiwania się polszczyzną i obłożenia sankcjami tych, co w mediach fałszywie stosują przypadki i niegramatycznie się wyrażają, zadzwoniła do mnie panienska z jednego z pism, pytając, co o tym sądzę. Odpowiedziałem: nie można sądownie karać kogoś za to, że napluje na dywan, to przecież kwestia osobistej kultury. Dodam, tytułem anegdoty, że zażądałem od tej panienski, by spisana już moją wypowiedź przysłała mi do autoryzacji, i otrzymałem faks z tekstem napisanym tak okropną polszczyzną, że autoryzacji odmówiłem. Postanowiłem zresztą, że wywiadów przez telefon udzielać więcej nie będę, bo nie ma się wtedy żadnej możliwości zapanowania nad efektem końcowym.

Powracając do głównego wątku: stoimy na przedprożu wielkich przemian. Pewne działania okażą się ślepą uliczką, a inne zaprowadzić nas mogą nie wiadomo dokąd. Naukowcy przymierzają się do rozmaitych ryzykownych eksperymentów trochę na ślepo, bo nie zdołali wcześniej dokładnie rozeznac mechanizmów, które kierują procesami życiowymi. Popularna przed wojną była książka Alexisa Carrela *Człowiek — istota nieznana*. To zabawne, ale dziś człowiek jest jeszcze bardziej nieznany niż wtedy, choć nauka poczyniła ogromne postępy. Im więcej jednak wiemy, tym rozleglejsze odsłaniają się przed nami

obszary dotąd nie poznane.

Weźmy sprawę zupełnie elementarną: sen. Jedną trzecią życia przesypiamy i zupełnie nie wiadomo, czemu to tak naprawdę służy. Nie wiemy też, czemu sen składa się z kolejnych faz: tej powierzchownej i tej głębokiej, zwanej REM, od Rapid Eyes Movements, ponieważ występują wtedy szybkie ruchy gałek ocznych. Tej nocy śniło mi się, że odwiedziłem lodziarnię, dostałem duży garnuszek pełen lodów z bitą śmietaną, a kiedy wyszedłem na ulicę, ktoś do mnie podszedł i zapytał: — pan ze Lwowa, co? — Poszczególne elementy tego snu łatwo wytłumaczyć: słodkie potrawy zawsze lubiłem, a teraz nie wolno mi ich jeść. Lwów zabrali mi Sowieci. Naturalną jest rzeczą, że śni się nam to, czego nam najbardziej brakuje. Ale potrzeba snu i powód, dla którego można człowieka zabić, nie pozwalając mu spać przez kilka tygodni, pozostaje niezrozumiałą. Istnieją zresztą tak zwane rytmy cirkadiane, nie odpowiadające cyklowi dobowemu.

— Są też odstające od normy rytmy osobnicze — Mircea Eliade —przeczytałem to w jego wspomnieniach — drogą ćwiczeń zdołał ograniczyć swoją potrzebę snu do czterech godzin na dobę. Podobną rzecz opisuje w „*Autobiografii na cztery ręce*” Giedroyć, tyle że u niego było to ubocznym skutkiem medycznej terapii.

— Ja potrzebuję sześciu–siedmiu godzin. Na starość śpię zresztą z przerwami, przysypiam i po godzinie budzę się. Ale to sprawa indywidualna, liczba godzin potrzebnych poszczególnym jednostkom pozostaje niewiadoma, nie wiemy też, czy i jakie geny — bo teraz o wszystko oskarża się geny — zawiadują tym rozrzutem potrzeby snu.

Rzecz druga: nasza świadomość jest niejako składankowa, rozmaite jej elementy się zazębiają. Trochę jak na stole bilardowym, gdzie mamy dwie bile kolorowe i jedną białą: ktoś uderza kijem w bilę białą, ona ma wykonać odpowiednie odbicia od bandy i trącić jedną z bil czerwonych. Jeśli się człowiekowi uszkodzi pewien ośrodek w połaci skroniowej prawej półkuli mózgowej, przestanie widzieć kolory. Do postrzegania barw mamy osobny ośrodek, do postrzegania przestrzennego, trójwymiarowego — osobny. Postrzeganie nie tylko ruchu, ale i tego, co się określa mianem planu bliższego i planu dalszego, jest umiejętnością specyficzną. Pies, nawet inteligentny, nie widzi nic na ekranie telewizora. Co dziwniejsze: ludzie z plemion afrykańskich, którzy po raz pierwszy oglądali własne podobizny na czamobiałych fotografiach, nie potrafili swojego wizerunku zobaczyć, był to dla nich jakby zapis w nieznanym alfabecie, jak dla nas pismo arabskie, które mnie osobiście przypomina zapis sejsmiczny trzęsienia ziemi.

— *Albo efektowny ornament.*

— Mam tu na półce książkę o alfabecie; można się z niej dowiedzieć, że istnieje wciąż

szereg prastarych wzorów pisma do dziś nie rozszyfrowanych. To mnie nastroiło bardzo sceptycznie do możliwości rozszyfrowania ewentualnych sygnałów z kosmosu, gdyby nawet takie nadeszły; skoro nie umiemy sobie poradzić z przekazem powstałym w obrębie cywilizacji stworzonej bądź co bądź przez nasz własny gatunek, co dopiero mówić o cywilizacjach kosmicznych...

Ale znów zeszedliśmy na manowce: wracam do głównego wątku. Technobiologia, która na naszych oczach staje się ciałem, trochę mnie niepokoi. Rozmaite huczne zapowiedzi są wprawdzie często na wyrost; na przykład rzekoma perspektywa rychłej długowieczności związana z wykryciem działania enzymu telomerazy wydaje mi się potężnie rozdmuchaną bańką mydlaną. Starzenie się organizmów jest bardzo głęboko wbudowane w ustrój wielokomórkowców i nie jest tak, że skoro uda nam się przedłużyć żywot pojedynczej komórki — problem został rozwiązany. Nie tylko poszczególne komórki się starzeją, zaczynają się także odkładać rozmaite pigmenty, nie tylko w skórze, również w mózgu, co powoduje przestoje w jego działaniu i uszkodzenia funkcji.

Złożoność organizmu ludzkiego — aż punktu widzenia stopnia komplikacji niewiele się różni, poza mózgiem oczywiście, od dorosłego orangutana czy szympansa — i liczba elementów współistniejących powoduje rozpad specjalistyczny fachowców, którzy się zajmują teoriami dotyczącymi zjawisk życia. Niemiec Hacken napisał piękne dzieło rozważające synergiczne współdziałanie rozmaitych składników organizmu. Ilia Prigogine, z pochodzenia Rosjanin, noblista, zajął się podobnymi procesami, ale od strony fizykochemicznej, i dowiódł, że im bardziej się oddalamy od stanów równowagi termodynamicznej, tym robi się ciekawiej i tym większe napotykamy skomplikowanie. Nie jest tak, że następuje po prostu zapaść systemów w dół o zerowym dnie energetycznym, ale w trakcie oddalania się od równowagi termodynamicznej mamy bogactwo pojawiających się nieoczekiwane form.

W dziedzinie polimerów rozpoczął się proces przewidziany kiedyś przeze mnie w prognozie przygotowanej dla Polskiej Akademii Nauk; szkicowałem tę prognozę w 1980 roku i burze „Solidarności” ją pochłonęły, niedawno dopiero się odnalazła. Chodziło mi o to, że pomiędzy królestwem istot żywych a państwem martwej materii panuje zdumiewający rozdział: nie potrafimy martwego ożywić, choć umiemy życie obrócić w materię martwą i sami to praktykujemy na własną rękę — umierając. Nie ma bowiem umostkowania, nie ma przejścia między tymi światami. Teraz pojawiła się szansa stworzenia czegoś pośredniego w postaci tak zwanej pierwotnej zupy silikonowej. Z krzemionki można robić pewne twory, które są jakby nie całkiem martwe, choć raczej martwe niż żywe. Najpierw modelowano to

wszystko na komputerach w ramach animacji. Sądziłem, że podobnie jak natura wytworzyła kod genetyczny istot żywych, tak i ludzie zdolają stworzyć analogiczny kod konstruktorski czy inżynierski, za pomocą którego będzie można coś wytwarzać nie metodą dotąd stosowaną — że mamy narzędzie i surowiec, a następnie, obrabiając ten surowiec, wytwarzamy produkt — ale podobnie jak w naturze, gdzie z ziarna bez żadnych manipulacji wyrasta roślina. Mogą pojawić się nowe twory, dla których nie mamy dziś jeszcze nazwy ani nawet konturu pojęciowego, by je w nim umieścić.

Wyobrażam sobie, że Francuz z epoki Ludwika XIV, nawet bardzo wykształcony, miałby spore kłopoty ze zrozumieniem tego, czym są i do czego służą transpondery na orbicie okołoziemskiej, co to jest Microsoft i Internet, i na czym polega kariera Billa Gatesa. Brakowałoby mu po prostu aparatu pojęciowego. Nazwy są tylko frontem, przednią stroną pewnych pojęć, reprezentowanych nie jako hipostaza, ale jako twory rzeczywiste. Bo w duchy oczywiście nie wierzę. Raz jeden, we Lwowie, zobaczyłem ducha: wracałem nocą do domu koło cmentarza i duch pojawił się mniej więcej pół metra nad ziemią. Miałem jednak przy sobie latarkę i kiedy ją zaświeciłem, okazało się, że to biały pudel, który wpadł do błota...

— Minęło kilka tygodni, odkąd rozmawialiśmy o klonowaniu, zagrożeniach, jakie niesie biotechnologia, i problemach prawnych, jakie się z jej rozwojem wiążą; tymczasem znalazł pan dosyć przerażające nowe fakty na ten temat.

— Wiadomość, którą przynosi „International Herald Tribune” z 8 lutego 2000 roku, rzeczywiście nawet mnie mrówkami po grzbiecie przebiegła. Tytuł artykułu brzmi: *Już wkrótce będzie można kupować wyklonowane embriony ludzkie*. Autorem jest Jeremy Rifkin, nazwisko dosyć znane. Czytam w tym artykule, że ostatnio brytyjski urząd patentowy udzielił doktorowi Wilmutowi z Roslyn Institute — to jest ten Wilmut od owcy Doiły — patentu na jego metodę klonowania oraz na wszystkie istoty, które powstaną z tego klonowania. Patenty te zostały niezwłocznie przejęte jako licencja przez korporację Geron, wielką kompanię z siedzibą w Kalifornii, zajmującą się biotechnologią.

W szczegółach cała sprawa wygląda dosyć osobliwie. Patent bowiem obejmuje także wszystkie dające się wyklonować embriony ludzkie aż do etapu blastocysty i określa je jako wyłączną „własność intelektualną” patentującego. To jest nowość — nowość budząca dreszcz.

Teraz mała dygresja. Rozwój embrionu zaczyna się od jajeczka zapłodnionego plemnikiem, potem powstaje morula, która jest pustą w środku kuleczką zbudowaną z jednej warstwy komórek, potem przychodzi druga warstwa i morula zmienia się w blastulę. Blastula

liczy sto czterdzieści komórek, z których każda jest totipotenna, co oznacza, że można z niej wyhodować cały ustrój.

Wróćmy do artykułu Rifkina. Zauważa on, że po raz pierwszy w historii istota ludzka wykreowana w procesie klonowania, w najwcześniejszej fazie swojego rozwoju, uznana została za wynalazek w rozumieniu reguł rządzących udzielaniem patentów przez odnośne biuro. Implikacje tego są głębokie — pisze autor — a ja dodam od siebie: głębokie i przerażające.

W 1865 roku — przypomina dalej Rifkin — Stany Zjednoczone zlikwidowały niewolnictwo, czyniąc tym samym nielegalnym posiadanie przez jakiegokolwiek człowieka innego człowieka na własność. Obecnie Wielka Brytania otwarła wrota do nowej ery, w której rozwijająca się istota ludzka w okresie między zapłodnieniem a narodzinami może zostać uznana za „własność intelektualną”. Niezależnie od tego, jak patrzeć na kwestię aborcji, każdy musi być zaszokowany ideą, wedle której jakaś kompania może uzyskać prawo posiadania embrionów ludzkich jako wynalazku. A przecież wynalazkiem jest jedynie metoda opracowana przez doktora Wilmuta!

Autor artykułu stawia szereg dramatycznych pytań. Co się stanie z wpajającym nam przekonaniem o zasadniczej różnicy między żywymi istotami ludzkimi a nieożywionymi obiektami, skoro jedne i drugie mogą być przez obowiązujące prawo uważane za rodzaj produktu? Jeżeli embriony ludzkie rzeczywiście uznamy za ludzki wynalazek — jak wygląda nasz stosunek do Boga jako kreatora? Co odpowiemy, gdy nasze potomstwo spyta kiedyś, skąd się biorą dzieci? Czy mamy odpowiedzieć, że zostały one wymyślone albo wynalezione przez naukowców i stanowią własność wielkich konsorcjów zajmujących się *life science*?

— ***Może te obawy są przesadne — jakoś nie wierzę, by tego rodzaju prawo dało się w Wielkiej Brytanii utrzymać.***

— Tu tkwi prawna subtelność, o której Rifkin nie wspomina, a z którą sam się jako pisarz zetknąłem. Było tak: brytyjskie wydawnictwo Faber & Faber wydało jedną z moich książek. Od kilku lat już jej wprawdzie nie wznawia, przedtem jednak udzieliło licencji Amerykanom. Dlatego też podjęte przeze mnie kroki, by prawa do anglojęzycznego wydania do mnie wróciły, skoro Faber & Faber ich nie realizuje, są bezskuteczne: na amerykańską licencję nie mają bowiem wpływu, a przedstawiciele brytyjskiego wydawcy odpowiedzieli na moje monity, że nie wiedzą nawet, co się z moją książką w Ameryce dzieje. Podobnie będzie, jak sądzę, z patentowaniem embrionów. Gdyby nawet w tej chwili rząd brytyjski, pod wpływem jakichś ruchów politycznych czy religijnych, udaremnił działanie wspomnianego orzeczenia w Wielkiej Brytanii, licencja udzielona amerykańskiej kompanii pozostanie

nienaruszona, ponieważ ustawodawstwo angielskie poza granice Wielkiej Brytanii nie sięga. A stosownego trybunału międzynarodowego jeszcze nikt nie ustanowił. Jak już wielokrotnie powtarzałem, front ustawodawczy kuśtyka i nie nadąza za frontem odkryć naukowych, zwłaszcza w dziedzinie biotechnologii, a kroki zaradcze, jakie się poniewczasie podejmuje, pozostają bezskuteczne.

Kompania Geron oświadczyła wprawdzie, że nie leży w jej intencjach i nie jest jej zamiarem wyklonowanie pełnych istot, chce tylko używać embrionów klonowych jako materiału do badań. Intencji jednak nie można egzekwować, więc taka deklaracja niewiele znaczy.

Jest to zapierający wręcz dech pierwszy krok do „nowego wspaniałego świata” reprodukcji i „projektowania dzieci” — pisze Rifkin. W tym momencie rozwój życia ludzkiego staje się przedmiotem komercyjnego obrotu i może być eksploatowany merkantylnie na najrozmaitsze nieprzewidywalne sposoby, które w naszym poczuciu gwałtownie odbiegają od tego, co uważamy za właściwe dla istoty ludzkiej. Być może w niezbyt odległej przyszłości rodzice będą po prostu składali zamówienia na dzieci w taki sposób, w jaki kupują wszelkie inne produkty? Tym samym dzieci staną się, wedle słów autora, „ultymatywnym doświadczeniem nabywczym”.

Kompanie zajmujące się biotechnologią twierdzą, że gdyby nie uzyskały patentu, nie miałyby dostatecznej mocy przyciągającej dla wielkich inwestorów, wielkie inwestycje są zaś potrzebne, by opracować i wdrożyć skomplikowane terapie chorób niosących śmierć. Rifkin pyta więc: co mamy sądzić o systemie ekonomicznym, w którym doskonalenie ludzkiej kondycji uzależnione jest od chęci czy zamierzeń kilku komercyjnych przedsiębiorstw? Gdzie tkwi zło tego systemu?

Kompania Geron uzyskała prawo do posiadania ludzkich embrionów — i jest to kolejny etap długiego procesu. Tak zwane kompanie genomiczne są bowiem zaangażowane w gwałtowną walkę, ażeby zdefiniować, określić i ogarnąć patentami wszelkiego rodzaju geny, zarówno ludzkie, jak i zwierzęce, które będą stanowić niezbędny surowiec w nadchodzącym stuleciu biotechnologii. Poprzez fakt, że brytyjski urząd patentowy uczynił pierwsze etapy rozwoju życia ludzkiego opatentowanym wynalazkiem, przekroczony został bardzo groźny próg. Krok za krokiem dokonuje się kolejnych ruchów w kierunku zdefiniowania podstawowych elementów życia: genów, chromosomów, komórek, narządów, tkanek. Obecnie dochodzimy już do klonowania ludzkich embrionów — i wszystko to miałyby być własnością prywatną, której nabywca upoważniony jest do eksploatacji? Gdzie się ta droga zakończy? — pyta dramatycznie Rifkin.

— *A czym zajmuje się ów Geron?*

— Geron to olbrzymia firma, o miliardowych obrotach, która dotychczas zajmowała się głównie ulepszaniem niewinnych buraków i kukurydzy. W tym samym numerze „Heralda” sporo poświęcono miejsca, by szeroką publiczność przekonać o nieszkodliwości genowo udoskonalanych roślin jako surowca, jako paszy i jako jadła ludzkiego. Jednak nawet jeśli nieszkodliwość ta okaże się względna, transgeniczne pomidory wydają mi się problemem marginalnym w porównaniu z zagrożeniem, jakie się czai za furtką uchyloną poprzez decyzję o możliwości patentowania klonacji ludzkich embrionów.

— *Powróciliśmy więc do kwestii nieskuteczności zakazów motywowanych zastrzeżeniami moralnymi; moralność przegrywa z pieniądzem.*

— Właśnie. Historia ta pokazuje, jak wszystkie zastrzeżenia i obiekcje religijne i prawne ulegają we współczesnym świecie zmieceniu przez lawinowo ruszający kapitał. Wyobraziłem sobie wykres odkryć dokonanych ostatnio w dziedzinie biotechnologii. Byłaby to krzywa wznosząca się niemal hiperbolicznie i ukazująca wyraźnie przyspieszenie, jakiego nabrał ten proces. Kiedy wyklonowano nieszczęsną Doiły, mówiło się, jak już wspomniałem, o setkach daremnych prób, które poprzedzać muszą tę jedną udaną klonację. Teraz, przy myślach, wystarczy podobno tylko dziesięć prób.

Klucz do zagadnienia tkwi w tym, że my tak naprawdę nie wiemy, czym na poziomie biomolekularnym różni się komórka ustrojowo już wyspecjalizowana — w ścięgnie, w uchu, wszystko jedno gdzie — od komórki totipotentnej w embrionie. Jakies układy, prawdopodobnie enzymatyczne, powodują zablokowanie totipotencji w komórkach wyspecjalizowanych, nie wiemy jednak, na ile ten proces jest odwracalny; do pewnego stopnia jest. Nie znaczy to oczywiście, że uczeni zaraz włączą wsteczny bieg i odtworzą każdego z nas w dziesięciu milionach postaci. Do tego raczej nie dojdzie, zwłaszcza że nie widać osób podobnym procederem specjalnie zainteresowanych.

Powtarzam: perspektywy zarysowane w artykule Rifkina wydają mi się znacznie bardziej przerażające aniżeli potencjalna (wciąż nie dowiedziona!) szkodliwość nowych jarzyn, genetycznie zmienionych. Poprzez dziwny podkop quasi—patentowy rzeczywiście dokonuje się unieważnienie ustawy o zniesieniu niewolnictwa... A to, obawiam się, tylko prolog: jakie bitwy będą się w przyszłości na tym polu toczyć i do czego ostatecznie dojdziemy — przewidzieć się nie da. Moje figlarne opowieści sprzed czterdziestu lat o korze mózgowej, którą tapetuje się ściany, zaczynają przybierać kształt budzącej grozę rzeczywistości.

## ROZMOWA TRZYNASTA

### O zaletach energetyki jądrowej

— W jednej z poprzednich rozmów wspomniał pan o historii badań nad energią jądrową i jej militarnym wykorzystaniem. Bronił pan zawsze natomiast pokojowego zastosowania tej energii. Tymczasem w Polsce odstępiono kilka lat temu od budowy elektrowni atomowej w Żarnowcu. Teraz też Niemcy chcą się z energetyki jądrowej wycofać. Co pan na to?

— Istotnie, niemieccy Zieloni, pozostający z socjaldemokratami w sojuszu, chcą koniecznie „wysiąść” z energii atomowej i ciągną za sobą Szwecję. Zgromadziłem tutaj pewną ilość materiałów dotyczących czysto rzeczowych, zupełnie pozapolitycznych rachub z tym związanych. Elektrownia paliwowa o mocy 1000 megawatów wydała około stu razy więcej substancji radioaktywnych aniżeli analogiczna elektrownia nuklearna. Dzieje się tak dlatego, ponieważ w węglu kamiennym znajdują się pewne ilości między innymi uranu i toru, które podczas spalania zostają wyrzucone w atmosferę. Rocznie z elektrowni węglowych na świecie zostaje wydanych trzydzieści siedem tysięcy trzysta ton uranu i toru. A ponieważ uran i tor mogą służyć jako paliwo nuklearne, spalanie zwyczajnego węgla więcej marnuje energii, aniżeli jej wytwarza! Gdyby bowiem ukryte w nim paliwo nuklearne skoncentrować, byłaby z tego niemała korzyść.

Jedna tysiącmegawatowa elektrownia na węgiel uwalnia trzydzieści sześć kilogramów uranu 238 — to już jest równowartość dwóch bomb atomowych. Oczywiście uran ten jest silnie rozproszony, ale, paradoksalnie, z popiołu powęglowego zgromadzonego na hałdach w pobliżu elektrowni łatwo ekstrahować nuklearne pierwiastki. Każdy kraj posiadający elektrownie węglowe mógłby z tych popiołów uzyskać taką ich ilość, która pozwoli mu stworzyć wielki jądrowy arsenał — potrzebne są tylko stosowne (drogie) urządzenia przetwarzające.

Jako źródło energii elektrycznej węgiel należy do najbardziej niebezpiecznych. Szkodliwe substancje wydane przez elektrownie węglowe tylko w USA powodują, według tamtejszych statystyk, piętnaście tysięcy przedwczesnych zgonów rocznie. Węglowe, czyli konwencjonalne elektrownie wprowadzają mianowicie do atmosfery, w postaci gazów i zawieszin cząsteczkowych, siarkę i tlenki azotu powodujące kwaśne deszcze i mgłę, arsen, rtęć, kadm, ołów, bór, chrom, miedź, fluor, molibden, nikiel, wanad, cynk, a także tlenek i

dwutlenek węgla.

— *Pot tablicy Mendelejewa...*

— Można tak powiedzieć. Wszystko to bowiem kryje się w węglu kamiennym, w którym podczas procesu spalania tylko sam węgiel ulega połączeniu z tlenem. Elektrownie konwencjonalne w sposób istotny powiększają wskutek tego efekt cieplarniany na skalę globalną. Nie można przy tym zapominać, choć należy to do zupełnie innej materii, że na Ziemi żyje obecnie sześć miliardów ludzi, a z tego dwa miliardy w ogóle nie mogą korzystać z energii elektrycznej — czyli że nierówność w tym względzie jest wielka i w dodatku wciąż rośnie, w miarę wzrostu globalnej populacji.

W związku z tym, że Niemcy usiłują zrezygnować z energetyki atomowej, produkuje się u nich bardzo wiele fotokomórek konstruowanych na zasadzie półprzewodników przetwarzających promieniowanie słoneczne w elektryczność; powleka się nimi na przykład dachy. Te urządzenia nie są jednak wieczne, a ich ciągła produkcja powoduje powstawanie wielce toksycznych związków metali. Taki jest oto bilans: trzydziestoletnie istnienie napędzanej przez Słońce elektrowni łączy się z powstaniem sześciu tysięcy ośmiuset pięćdziesięciu ton szkodliwych odpadów!

Koincydencje takie, których zwykle się nie przewiduje, są zresztą częstsze, niż się myśli. Kiedy się mówi o alkoholu metylowym, produkowanym z celulozy, fałszywie się mniema, że jego produkcja jest praktycznie nieszkodliwa. Tymczasem przy wyрубie lasów, który stanowi tej produkcji niezbędne ogniwo, występuje szczególnie wysoka wypadkowość, i ona niekorzystnie wpływa na bilans całości, powodując znaczny wzrost kosztów. Elektrownia słoneczna z kolei, używająca wklęsłych luster, które koncentrują promieniowanie, wymaga takich zabiegów, w których wyniku powstaje czterysta trzydzieści pięć tysięcy ton bezwartościowych odpadów i resztek; wśród nich czternaście tysięcy trzysta ton bardzo obficie skażonych ołowiem i chromem, i dlatego niebezpiecznych. Globalny zaś system zamieniający promieniowanie słoneczne na elektryczność, stanowiący marzenie niektórych Zielonych — system zdolny zelektryfikować całą planetę — musiałby pochłonąć dwadzieścia procent znanych dzisiaj rezerw żelaza, z którego się wyrabia stal, i wymagałby całego stulecia na jego skonstruowanie, a potem pochłaniałby istotną część produkowanej stali dla utrzymania w ciągłym ruchu. Energia niezbędna do utworzenia słonecznych kolektorów wymagałaby instalacji zajmujących milion kilometrów kwadratowych powierzchni Ziemi, przekazywanie zaś prądu na przykład z Sahary na wielkie odległości obciążałoby dodatkowo już i tak pogarszającą się ekologię... Taki system byłby przy tym wrażliwy na każde lokalne osłabienie promieniowania słonecznego, na przykład wskutek

działalności wulkanów.

Drugim pomysłem niemieckim, a także krajów Beneluxu, są tak zwane wiatropędnie. Otóż wymagają one setek tysięcy ton betonu i stali, co znów powoduje powstanie nieużytków, a ponadto ich moc jest niewielka, nierównomiernie rozproszona na dużych obszarach. Na nasze nieszczęście, elektryczności nie można skutecznie magazynować, to nie jest benzyna ani gaz, a gromadzenie jej w akumulatorach bardzo źle się kalkuluje.

Elektrownie wykorzystujące siłę wiatru są nie tylko kosztowne i słabo opłacalne, ale jeden taki zespół w Kalifornii zabija rocznie wiele setek ptaków w locie. Więcej orłów zginęło w turbinach napędzanych wiatrem aniżeli ptactwa morskiego po największej katastrofie tankowca z ropą. A zresztą mniemanie, jakoby po uruchomieniu takiego zespołu powstawał już prąd za darmo, jest sprzeczne z elementarnymi obliczeniami. Prąd wytworzony przez ruchliwe masy powietrza kosztowałby dwa do trzech razy więcej niż ten, którego źródłem jest paliwo kopalne, trzeba bowiem liczyć wszystkie inwestycje, nie tylko śmigieł, które się w górze kręcą.

W szczególnej estymie znajduje się obecnie opowieść o tym, że będzie można używać jako paliwa wodoru. Wodór nie powstaje jednak z niczego, uzyskuje się go przeważnie poprzez elektrolizę i wymaga wkładu energii, ażeby go można było z wody wyzwolić.

Ostateczny bilans wygląda następująco: jedna tona paliwa nuklearnego dostarcza energii równej trzem milionom ton paliw kopalnych. A jeśli ktoś chce „wysiąść” z energetyki nuklearnej, czekają go koszty stanowiące sumę obciążeń środowiska szkodliwymi popiołami. Nie są to koszty niewielkie: pół miliarda ton siarki z węgla albo trzysta tysięcy ton z ropy, albo dwieście tysięcy ton z naturalnego gazu.

Mamy tu więc do czynienia z typową odmiennością reakcji społecznych na zdarzenia szkodliwe, łącznie z takimi, które niosą skutek śmiertelny. Powszechnie wiadomo, że liczba żołnierzy amerykańskich poległych podczas trwania wojny wietnamskiej była daleko mniejsza aniżeli liczba ofiar wypadków samochodowych, które miały miejsce w Stanach Zjednoczonych w tym samym czasie. Nikt jednak nie urządzał demonstracji przeciwko samochodom, natomiast wszyscy sprzeciwiali się wojnie. Wszystkie elektrownie jądrowe świata produkują rocznie trzy tysiące metrów sześciennych odpadów. Pozanuklearny przemysł w samej tylko Ameryce wytwarza rocznie pięćdziesiąt milionów metrów sześciennych odpadów o konsystencji stałej. To są fakty — i nie potrafię zrozumieć, jak można w tej sytuacji rezygnować z posiadania coraz bardziej już bezpiecznych elektrowni napędzanych nuklearnym paliwem. My zresztą nie doczekaliśmy się dotąd ani jednej — mieliśmy projekt Żarnowca, ale został odrzucony. Jeśli jednak na rzecz całą spojrzeć nie w

skali pojedynczego życia ludzkiego, tylko po prostu Polski, powstanie takich elektrowni okazuje się nieuchronne. Powiedziałem już kiedyś, że studenci powinni byli demonstrować na rzecz budowy Żarnowca, a nie przeciw niej!

— *Odezwały się tymczasem głosy, że do Żarnowca trzeba wrócić — a jeśli nie do Żarnowca, to do innej jakiejś lokalizacji. Równocześnie jako kontrargument wciąż wraca sprawa Czarnobyla.*

— Ale to był przestarzały model, jakiego się od dawna nie stosuje! Czytałem niedawno jednoznaczne opinie amerykańskich fachowców: uważają za dziwne, że ta katastrofa nastąpiła tak późno i tak długo udawało się jechać na tej beczce prochu. Konstrukcja bowiem czarnobylskiej elektrowni od początku była szalenie ryzykowna. Jeszcze Sacharow myślał o wpuszczeniu części elementów elektrowni tego typu pod ziemię; trudno było to jednak zrobić, nie przerywając produkcji.

Energetyka jądrowa stanowi, moim zdaniem, podstawę naszej przyszłości i żadne protesty na to nie wpłyną. Podobnie jak globalizacja nie zależy ani od głosów lewicy, ani prawicy, ani centrum — bo to jest proces światowy i będzie się toczyć niezależnie od tego, czy się nań godzimy, czy nie.

Świat cały znajduje się dziś w ruchu. Bardzo silny jest obecnie nacisk republikanów w Ameryce; mają nadzieję na przejęcie prezydentury. Rozpisują się szeroko o rozmaitych błędach, wywołanych saltimbankową wręcz giętkością Clintona, który lawirował pośród sprzecznych poglądów, kierując się głównie głosem opinii publicznej. Oczywiście, że prezydent powinien budować swój autorytet, i to bez żadnych Monik, by można mu było zaufać. My jesteśmy na razie dosyć zadowoleni — choć nie wszyscy — z wejścia do NATO. Równocześnie w Europie Zachodniej dużo się mówi o potrzebie usamodzielnienia się naszego kontynentu i uniezależnienia go od Stanów Zjednoczonych pod względem militarnym i politycznym. Amerykanie na to: owszem, czemu nie, ale wy dużo gadacie, a mało robicie — tymczasem samodzielność kosztuje. Już działania w Kosowie wykazały iluzoryczność europejskich marzeń: ponad dziewięćdziesiąt procent użytych tam nowoczesnych metod wojowania pochodziło z amerykańskiej zbrojowni.

Z kolei fachowi publicyści z okolic Pentagonu powiadają, że Ameryka wojuje teraz zasadniczo uzbrojeniem wyprodukowanym w latach osiemdziesiątych — czyli, biorąc pod uwagę tempo rozwoju technologii, dosyć już wiekowym. Jeden z generałów słusznie zauważył, że młodzi ludzie chętnie jeżdżą do college'ów dwudziestoparoletnimi samochodami — taka moda — nikt jednak równie chętnie nie polecą dwudziestoparoletnim helikopterem. Amerykanie szykują się więc, ażeby w unowocześnienie swego arsenału

włożyć kolejne miliardy. Czy Europę stać na podobny wysiłek? Wątpię, a co do nas, jestem pewien, że nie. Zanim jeszcze Niemcy zdecydowali się ofiarować nam dywizję ciężkich czołgów, już było wiadomo, że nie mamy środków, by ją utrzymać.

Zagrożeń, które zewsząd czyhają, jest w ogóle bardzo wiele. Choćby anomalie pogodowe, jak uderzenie orkanu, które zrujnowało południową zwłaszcza Francję. Słychać głosy teoretyków meteorologii, że ludzkość powinna się przygotować na większą burzliwość klimatu, podług wymyślonej przeze mnie obrazkowej metafory baniaka z bielizną, samym brzegiem postawionego na palniku gazowym. Część energii zatrzymywanej przez zatrutą przez nas atmosferę idzie na podwyższenie temperatury, a część na przyspieszenie cyrkulacji, i stąd nierównomierność przemieszczania się mas powietrza. W miesięczniku „Science et Vie” oglądałem satelitarne zdjęcia pokazujące, jak straszliwie i podstępnie działa stosunkowo niewielkie ocieplenie klimatu. Czterdzieści dziewięć mniejszych szwajcarskich lodowców różnej wielkości w ogóle przestało istnieć, a języki tych większych cofają się wyraźnie. Od Antarktydy na Morzu Rossa odszczepił się gigantyczny kawał lodowej kry, wielkości Belgii czy Holandii. A zmiany klimatyczne nie stanowią jedynych niespodzianek, jakie nas w nowym wieku czekają.

Rozmawiamy w początku lutego 2000 roku, w Jerozolimie właśnie spadł śnieg, u nas natomiast temperatura wynosi 10 stopni ciepła i mamy właściwie przedwiośnie. Klimat koziółkuje — ludzie jednak, to ciekawe zjawisko, socjopsychologicznie wytłumaczalne, nie obawiają się rozproszonych, nawet najgorszych zmian klimatu typu powodziowo—orkanowo—tajfunowo—huraganowego, które zresztą po części sami wywołują, natomiast bardzo się boją pociągu „Castor”, który wywozi popioły radioaktywne, choć zasięg jego oddziaływania jest znikomy. Wystarczy się znaleźć sto metrów od toru, by tego oddziaływania uniknąć. Kiedy istniał jeszcze Związek Sowiecki, profesorowie uniwersytetu i postępowi humaniści siadali przed amerykańskimi bazami wojskowymi w Niemczech, by walczyć o pokój —jakby nie wiedzieli, że sama obecność Amerykanów powstrzymuje właśnie Sowiety od ataku. Typowa działalność „pożytecznych idiotów”, których nie trzeba siać — sami wschodzą. To już jednak należy do folkloru politycznego.

## ROZMOWA CZTERNASTA

O nas, naszych wadach i naszych sąsiadach

— *Zbliża się nowe stulecie; czas kontynuować naszą rozmowę o sytuacji Polski. Chodzi mi o pański subiektywny sąd.*

— Co do subiektywizmu: z pewnym zdziwieniem i bez zachwyty oglądałem olbrzymi i dość kosztowny album *Sto lat Polaków*, wydany nakładem firmy Philip Morris, który mi właśnie przysłano jako prezent. Znaleźć w nim można i Bieruta, i Gierka wieszającego komandorię na Breżniewie, nasz Papież natomiast zasłania sobie twarz ręką. Objasnienie brzmi, że ma to być obraz subiektywny i posłużono się amatorskimi zdjęciami. Nadmiar subiektywizmu nie bardzo mu jednak wyszedł na dobre.

A przechodząc do właściwego tematu — mówiłem już panu, że nie spodziewałem się dożyć upadku Sowietów, sądziłem bowiem, opierając się na danych CIA o udziale wydatków na zbrojenia w budżecie ZSRR, że nastąpi to później, w pierwszej ćwiartce XXI stulecia. Dane jednak były fałszywe — Rosjanie przeznaczali na zbrojenia nie 15 procent, ale ćwiartkę dochodu narodowego brutto.

Siedzimy sobie tutaj w spokoju, przy herbatce z rumem, o miedzę mamy supermarket, otwarto nawet nowy kawałek autostrady... Ale nadal, czy tego chcemy, czy nie, w dużej mierze jesteśmy uzależnieni od naszego geograficznego położenia. Z jednej strony mamy Niemcy po klęsce Kohla — CDU bardzo jest teraz rozszarpywane — z drugiej Putin i rozpętana przez Rosjan krwawa awantura na Kaukazie... Rosjanie zachowywali się zrazu bardzo buńczucznie — bez względu na straty i tak dalej. Tymczasem już za zdobytymi rzekomo liniami obrony pojawili się znowu partyzanci. Obie strony produkują propagandowe wideokasety i oskarżają się wzajemnie o fałszowanie zdjęć. Pewien rosyjski generał powiedział, że wojny w Czeczenii nie można wygrać; można ją prowadzić dwa albo i pięć lat, niszcząc pomалу ludzki potencjał.

W artykule dla „Tygodnika” ostrożnie zasugerowałem — nie jest to zresztą moja myśl — że jednym z powodów ataku na Czeczenię jest próba nie tyle odzyskania całego Kaukazu, ile uniemożliwienia tego, by jakiegokolwiek ropociągi w tym rejonie przebiegały poza granicami państwa rosyjskiego. Jeśli wśród generałów rosyjskich są ludzie przewidujący — a generalicja ma tam teraz dużo do gadania — pewnie o tym marzą.

Otrzymałem od Jerzego Pomianowskiego pierwszy numer „Nowej Polszy”, pisma o

Polsce dla Rosjan. Potrzebne było takie pismo, ale kwartalny abonament kosztuje piętnaście dolarów, kto w Rosji może sobie na to pozwolić? Jego tytuł nasunął mi przykrą myśl, że Rosjanie nie do końca jeszcze odzwyczaili się od mówienia nie tylko „nasza Kirgizja”, ale i „nasza Polska”. Jestem w jak najlepszych stosunkach z moimi tłumaczami i agentami rosyjskimi, nie mam jednak zaufania do Rosji jako takiej. Kotłują się tam wolno pod powierzchnią nieobliczalne siły. A niestety przyszłość nasza jest nadal w trudny do określenia sposób zależna od tego, co się dzieje na wschodzie.

— *Zachowanie rosyjskich elit wobec wojny w Czeczenii, także tych, co wywodzą się z kręgów dawnej opozycji, wydaje się przerażające. Choćby to, co w „Gazecie Wyborczej” powiedział Mscistaw Rostropowicz: terrorystów trzeba było zgnieść, a że giną niewinni cywile — trudno.*

— Rozpaczliwa historia. Sołżenicyn też uważa, że wojna jest słuszna. Czytałem z aprobatą listy ludzi, którzy protestowali przeciw nazywaniu walczących z Rosjanami Czeczeńców rebeliantami, albo nawet bandytami. Zupełnie jakby ktoś naszych partyzantów czy powstańców nazwał rebeliantami.

Odmówiłem wypowiedzi dwóm rosyjskim gazetom, w tym „Komsomolskiej Prawdzie”, która wychodzi nadal, choć Komsomołu już nie ma. Żona krytykowała moją decyzję, uważała bowiem, że powinienem właśnie zabrać głos i powiedzieć, co sędzę o wojnie w Czeczenii. Ja jednak, po pierwsze, nie mam żadnej gwarancji, czy to, co powiem, zostanie w ogóle wydrukowane, po drugie, wiem, że nie będzie to miało żadnego wpływu na przebieg wydarzeń, a po trzecie, a może najpierwsze, głos już zabrałem. Podpisałem wspomniany już list do Rosjan w sprawie tej wojny, choć ze świadomością, że minęły czasy, kiedy każdy podpis wywoływał Bóg wie jakie reakcje.

Jedna rzecz wydaje mi się smutnie charakterystyczna. Kiedy trwała wojna w Afganistanie, Amerykanie posyłali tam stingery i inną broń. Do Czeczenii nikt niczego nie posyła — że Ameryka się nie kwapi, to jeszcze rozumiem, ale że kraje muzułmańskie cicho siedzą, to zastanawiające. A przekonany jestem, że gdy Rosjanie opanują Czeczenię, to Szewardnadze, czy jego następca, powinien mieć się na baczności, bo Gruzja czeka następna w kolejce.

Trudno w ogóle omawiać sprawy Polski w izolacji od spraw światowych. Na szczęście jeśli chodzi o perturbacje klimatyczne, których złowrogich skutków doświadczyli Francuzi, Szwajcarzy czy Niemcy, na razie się na nas nie odbiły, niewykluczone jednak, że i to nas czeka. Z punktu widzenia geograficznego Europa stanowi zaledwie półwysep Eurazji, najgłębiej wsunięty w Atlantyk, i stamtąd właśnie nadchodzą owe kataklizmy. Ostatnio

zderzyć się miały dwie fale powietrza: zimnego znaną Arktyki i ciepłego znaną Zatoki Biskajskiej, i to miało spowodować niszczycielskie huragany. Niemcy utworzyli w celu klimatycznego prognozowania najdoskonalszą, jak im się zdawało, sieć o niewielkich okach, ale atak orkanowo—huraganowy zaskoczył ich całkowicie i gęsto się teraz tłumaczą. Synoptycy francuscy twierdzą natomiast, że przewidzieli wszystko na 24 godziny naprzód.

— ***Wróćmy jednak z przestworzy na nasze podwórko. Jest pan rozczarowany kształtem wolnej na nowo Polski?***

— Chciało się mieć Polskę wolną, ale nie chciało się mieć takiej. Słowa „instykt państwowy” zostały w przykrych okolicznościach i złej sytuacji przez Bolesława Piaseckiego wyartykułowane, nieszczęśliwie użyte — służyły mu za broń w walce z październikową odwilżą — ale słusznie sięgnął po nie niedawno Giedroyc. Coś takiego powinno jednak istnieć: nie tromtadracja śliniąca się i głupkowata, jak na skrajnej prawicy. Nie powinny już nami rządzić trumny Piłsudskiego i Dmowskiego; tymczasem deskami z trumny Dmowskiego łomoce się, kogo się da. Są jednak ludzie niepouczalni, *science—proof and knowledge resistant* — całkowicie nieprzepuszczalni na żadne argumenty ani fakty.

Naród poznaje się najlepiej w taki sposób, jak czyniła to Nałkowska, kiedy podczas okupacji niemieckiej prowadziła trafikę tytoniową. Zorientowała się wtedy, jakie są rzeczywiste nastroje i mniemania przeciętnych ludzi; myślę, że coś z tego do jej *Medalionów* się dostało. Różnice zachodzące pomiędzy katolicyzmem otwartym, jaki reprezentował i może jeszcze reprezentuje „Tygodnik Powszechny”, a tym, co wypisuje „Nasz Dziennik” czy „Niedziela”, są przerażające. Dwie otchłanie, dwa zupełnie różne kierunki — jak można twierdzić, że jedno i drugie wywodzi się z Ewangelii, nie mogę zrozumieć.

Niesmak budzą we mnie wolty podobne do tej, jaką wykonał na przykład „bruLion”, który się najpierw bawił obrzydlistwami, by potem gremialnie paść na kolana, oportunistyczne konwersje, polska, zupełnie powierzchowna obrzędowość. Namówiono mnie, bym w niedzielę pojechał do supermarketu Carrefour. Pytam: jak to, w niedzielę? Przecież wszyscy są wtedy w kościele! Mijamy kościół w Borku Fałęckim — wysypuje się z niego tłum. Mówię do żony triumfalnie: — No widzisz, miałem rację. — Dojechaliśmy do Carrefoura — a tam tłum trzy razy większy.

Co będzie dalej? Nie mam zaufania do prawicy, nie mam zaufania do lewicy i, niestety, nie mam także zaufania do Unii Wolności, która by chciała pełnić rolę centrum. Przeczytałem też z prawdziwym osłupieniem wywiad, którego udzielił Wałęsa. Oświadczył, że wystartuje w wyborach prezydenckich i w ten sposób pomoże prawicy... Przecież oczywiście się zdaje, że do reszty ją przez to pograży, przyczyni się bowiem do rozstrzelenia

głosów! Idee jego są szalone, ale żyjemy w szalonych czasach. I nie ma dziś człowieka na miarę już nie mówię — Piłsudskiego, ale kogoś takiego jak Eugeniusz Kwiatkowski.

— *A Leszek Balcerowicz?*

— On jest na pewno znakomitym ekonomistą i monetarystą, ale pod wpływem lektury ostatnich numerów paryskiej „Kultury” nabrałem wątpliwości co do jego politycznego wyrobienia w grze, którą trzeba na szczytach władzy prowadzić. Spojrzenie na Polskę, które oferują nam Smecz, pani Berberysz czy Krzysztof Wolicki, jest przerażająco czarne. Natomiast *Uwagi Redaktora* świadczą o nadzwyczajnej żywości jego umysłu; jak profesor na katedrze, z palcem podniesionym do góry mówi — to jest dobre, a to nie.

Na ekonomice w ogóle się nie znam. Pokładam pewne zaufanie zarówno w Balcerowiczu, jak i w pani Gronkiewicz-Waltz, ale oni nie są wieczni! Do tego stopnia nie wiem, co będzie, że nie bardzo nawet potrafię powiedzieć, czego należałoby sobie życzyć. Czy powinno się rozszerzać front walki z bezrobociem? A co w takim razie z inflacją? Co z powracającym jak wańka-wstańka problemem reprivatyzacji? Z prawnym—moralnym względu uważam, że zwrot majątku albo rekompensaty wszystkim się należą, i dzielenie Polaków na tych, co przez ostatnich pięć lat tu mieszkali, i tych, co przebywają za granicą, jest dyskusyjne — ale chodzi o kwestie delikatne, których żadnym nożem się nie przetnie. Mamy też kiepsko działającą policję i sądownictwo pod ogromnym znakiem zapytania. No i są jeszcze ciężary pozostałe po socjalizmie, które nam wiszą na karku: kopalnictwo, wielkie huty. Masa upadłościowa, którą wciąż się za wielkie pieniądze podtrzymuje. Wielkie wejścia kapitału zachodniego są o tyle dobre, o ile przynoszą znajomość innowacji technologicznych, które możemy potem wykorzystać sami. Natomiast nie wiem, ile rozmaite super—hipermarkety z Polski wyciągają i czy się nam to *en bloc* kalkuluje.

Europa, trochę na zasadzie „i chciałabym, i boję się”, z jednej strony odpowiada na nasze starania: „owszem, owszem”, z drugiej stara się nas odsunąć. Tymczasem większość naszego społeczeństwa straciła trochę dla tych starań serce. Alternatywy jednak nie ma: Łukaszenko nie padniemy w objęcia, nie możemy też zabrać Polski na plecy i zanieść gdzie indziej. Po obejrzeniu dokumentalnego filmu o Australii najchętniej tam bym ją właśnie przemieścił, ale państwa, niestety, nie znajdują się na kółkach.

— Z naszym geopolitycznym szczęściem pewnie wylądowalibyśmy w środku pustyni.

— Może i tak, ale tu, gdzie teraz jesteście, przychodziły co chwila hordy wojskowe z jednej lub z drugiej strony i dawały nam odczuć smak wolności; a jak ją odzyskiwaliśmy, zaczynały się potępieńcze swary. Koalicja AWS—UW, nim się rozpadła, przyzwyczaiła wszystkich do ciągłych kłótni, skandali i strzelania sobie wzajem bramek. Na pytanie zaś:

co dobrego robi Sojusz Lewicy Demokratycznej, większość obserwatorów odpowiada: nic, czeka tylko, żeby rząd sam się przewrócił. Nieszczęśliwie przeprowadzane reformy — służby zdrowia i tak dalej — też się temu mogą przysłużyć. Choć niewykluczone, że reformy z czasem się dotrą, a lewica, wygrawszy wybory, konsumować będzie owoce działań, za które obecnie wiesza psy na premierze Buzku.

— Czy niesamowity zbieg okoliczności historycznych, dzięki któremu odzyskaliśmy suwerenność, nie uspił Polaków?

— Naprawdę brakuje nam instynktu państwowego. Jak będzie się zachowywać następne pokolenie Polaków — a wymiany pokoleń uniknąć się przecież nie da — przewidzieć trudno. Jesteśmy wciąż tą żabą, która podnosi łapę, jak konie kują.

Specjalne uzdolnienia przejawiamy poza granicami kraju. Jak Polacy gdzieś wyjadą, potrafią robić wspaniałe rzeczy. U siebie — gorzej. Oglądałem ten film o Australii i naszła mnie myśl: psia krew, czemu się tam człowiek nie urodził. Choć skądinąd wiem, że życie intelektualne i kulturalne w Australii jest dosyć skąpe.

Polska w Dwudziestoleciu była biednym krajem, bardzo silnie uwarstwionym. Dziś niewiasty, które posługują w naszych domach, są to elegancko ubrane panie. Lata, w których kuchennymi drzwiami przychodziła baba z tłumokiem na plecach i wyciągała z niego bańkę z mlekiem i gomółki sera, wydają się zamierzchłą przeszłością.

Widma przeszłości dalej jednak straszą. Pani Hennelowa słusznie napisała w „Tygodniku Powszechnym”, że powracają wciąż stereotypy endeckie w zamrożonej, czy też termosowo zachowanej postaci. Znajoma moja przyjechała z zagranicy, była w kościele w jakiejś małej miejscowości i ze zgrozą powtarzała, co ksiądz z ambony opowiadał. Miłosz: Żyd, Szymborska: Żydóweczka, i tak dalej... Na miłość boską, co to ma znaczyć? Przeraziły mnie też ataki radiomaryjców na „Kulturę” paryską i na Giedroycia. Że masoni, że „Kultura” stara się prowadzić Polskę w złą stronę — ale gdzie jest ta dobra? Już nie jakość, ale poziom stylistyczny tego wszystkiego nie sięga nawet przedwojennego „Małego Dziennika” z Niepokalanowa. Z trudem szukam jakiegoś porównania. Konkursy szalonych wygłupów — a tymczasem potrzebna nam jest mądrość.

Brak nam rozsądnych i dobrze poinformowanych ludzi, za mało też łożymy na naukę. Dwudziesty pierwszy wiek będzie wielkim wyzwaniem, ale nie dla gadułów! Najważniejsze zaś i zarazem bardzo trudne wydaje mi się odtworzenie poczucia narodowej jedności — nie tej, która się rodzi dopiero w obliczu zagrożenia. Trzeba nauczyć się myśleć na co dzień w kategoriach państwa i jego przyszłości. Nie widać w Polsce ludzi, którzy zdobyliby się na spojrzenie, jakie ma — oczywiście mówiąc w przenośni — zyrafa. Spojrzenie poza granicami

interesów partyjnych czy finansowych. Czytam, że musimy ratować kopalnie, hutnictwo i nie wiem co jeszcze, że musimy dotować te i inne produkty, a infrastruktura, autostrady mogą poczekać. Nie mogą! Owszem, to są inwestycje kapitałochłonne, ale bez nich rozwój nie jest możliwy. Czesi, a nawet Słowacy, znacznie nas w tym punkcie wyprzedzili. Świat się szybko zmienia, i ten, co stoi w miejscu, w rzeczywistości się cofa. Albo zostaniemy — przepraszam za słowo — na jakimś strasznym zadupiu, albo dołączymy do Europy Zachodniej, która sama powinna się mocno zebrać w sobie.

My tymczasem bardzo jesteśmy z siebie zadowoleni. „Wprost” umieściło na okładce piątkę czy szóstkę wybitnych osób: jest tam nieboszczyk Kantor, jest Mrozek, Wajda, nawet Lem, wszyscy w kontuszach i na lajkoniku. Na lajkoniku daleko nie zajedziemy — i dlatego nie dałem się wciągnąć w przekonywanie świata, że Kraków jest pępkiem i centrum światowej kultury. Nie jest!

## ROZMOWA PIĘTNASTA

O bliższych i dalszych perspektywach

— *Spotykamy się co kilka dni, i sytuacja świata zmienia się jak w kalejdoskopie, wciąż wypływają nowe tematy, do każdej rozmowy należałoby sporządzać kilkupunktowy aneks...*

— Ostatnie wypadki w Austrii i w Niemczech wskazują na to, że wszelkie polityczno — politologiczne prognozy są zupełnie bezprzedmiotowe. Polityka podobna jest do tańca w salonie, w którym podłogę wyścielono skórkami od bananów. Nie upaść nie można.

Starczy spojrzeć, co w ciągu ostatnich miesięcy stało się w Niemczech. Klęska i ruina niemieckiej chrześcijańskiej demokracji — bo to nie o samego Kohla już chodzi — sprawiła mi osobistą przykrość. CDU wydawała się podwaliną nie tylko niemieckiego systemu politycznego, ale i całego ładu europejskiego. A równocześnie w Austrii wybuchł skandal z Haiderem. Haider rzeczywiście unosił się wcześniej nad dzielnością esesmanów i nad znakomitą sprawnością gospodarki niemieckiej za Hitlera, choć nie pisał o tym, jak sprawnie umiano wtedy zagazowanym trupom zrywać złote korony z zębów, by je potem przetopić.

— Albo „aryzować” majątki; to, zdaje się, stworzyło podwaliny rodzinnego majątku Haidera.

— Podobno jego wujek nabył za grosze olbrzymie połacie lasów w Vorarlbergu od pewnego Żyda, który za to, że się dał tak obłupić, mógł spod rządów Hitlera uciec — *relata refero*, tak przynajmniej w Wiedniu mówiono. Europa z Portugalią na czele bardzo protestowała przeciwko wejściu partii Haidera do austriackiego rządu, protesty te jednak zdają się cichnąć.

— *A* czy nie sądzi pan, że austriacka chadecja, czyli Partia Ludowa, drogo może zapłacić za sojusz z Haiderem? Wiadomo, jak się dla niemieckiej partii Centrum na początku lat trzydziestych skończyły układy z Hitlerem.

— Nie wiem, czy to można porównywać, bo Haider Hitlerem jednak nie jest. Wydaje mi się przede wszystkim straszliwym oportunistą i karierowiczem. Jak tylko zaczęto o nim źle mówić, natychmiast zaczął odwoływać wcześniejsze swoje wypowiedzi. Zapowiedział nawet, że chętnie pojedzie do Izraela, by premiera Baraka uściskać, ukochać i pocałować tam, gdzie Barak mu każe. Tak czy inaczej, nie jest on postacią świetlaną i nie kupiłbym od niego nawet

starej hulajnogi.

Co zaś się tyczy nowego austriackiego rządu: są dwie szkoły o poglądach całkiem odmiennych. Jedna twierdzi, że wprowadzenie tego rodzaju radykalnej partii do rządu trochę ją domestykuje, udomawia, druga natomiast przestrzega przed złymi skutkami takiego zabiegu. Patrząc z punktu widzenia interesów Polski, obawiam się dziś tego, co się stanie w Rosji pod Putinem, zupełnie natomiast się nie boję Haidera. Gdybym jeździł jeszcze na nartach, żal by mi było wyjazdów w Alpy, za stary już jednak jestem na to — a poza tym Alpy są duże i można korzystać z tras narciarskich w Niemczech albo Francji. Co nie znaczy, że nie sprawiła mi przykrości wypowiedź jednego z polityków polskiej prawicy, który wprowadzie z esesmanami się jeszcze nie solidaryzował, Haidera starał się jednak bronić, tłumacząc, że nie jest on wcale taki zły, jakim go nieżyczliwi przedstawiają...

Nikt nie wie, co będzie, i nikt powiedzieć tego nie może. Skończyła się kolejna faza ludobójczej wojny, jaką Rosjanie prowadzą w Czeczenii, i Czeczenowie przeszli w góry. Czytałem właśnie sprzeczne relacje na temat Putina. Władimir Bukowski, ten od książki *I powraca wiatr*; który jest dziś obywatelem brytyjskim i ma wciąż kłopoty z rosyjską wiza, widzi w Putinie ekspozyturę resztek zeszywniałego postsowieckiego aparatu kagiebowskiego; bankier Borys Bieriezowski natomiast wyrażał się o nim całkiem pochlebnie.

Porzućmy jednak materię polityczną, bo w przeciwnym razie nigdy tych rozmów nie skończymy. Chciałbym tu przedstawić kilka moich przekonań dotyczących przyszłych kierunków rozwoju świata.

Po pierwsze: uważam, że rozpoczynający się obecnie rozbieg inżynierii genetycznej i inwazji w procesy życiowe, który już zyskał sobie nazwy takie, jak na przykład genomika itd., będzie szedł dalej. Na pytania, które otrzymuję z różnych stron, odpowiadam ze znacznym powściągnięciem, ze względu na to, że postęp — czyli przyspieszenie — zachodzący w rozpoznawaniu pewnych molekularnych mechanizmów, które do tej pory czyniły udatną klonację lub inne transgeniczne zabiegi czymś rzadkim i wyjątkowym, sprawia, że sytuacja w tej dziedzinie odmienia się gwałtownie. Częstotliwość sukcesów szybko wzrośnie i tym samym rozszerzy się bardzo zakres działania. A wielki kapitał czuwa: jest on jak cichy, ale zły pies czy drapieznik, który siedzi, czeka i obserwuje, by w odpowiedniej chwili skoczyć tam, gdzie się będzie spodziewać największych łupów. Sami znajdujemy się w pewnym sensie pod jego władzą. Tym bardziej jednak nie powinniśmy mieć najmniejszych złudzeń co do aspektów moralnych jego działania.

— I co do jego intencji...

— Nie, nie — złudzeń żywić nie należy. Wielki kapitał wycisnie złoto i z krwi, i z kamienia, jeśliby była taka potrzeba.

Już dziś zachodzą dosyć niebezpieczne procesy. Ustawodawstwo zawsze intensywnie kulało, nie nadążając za frontem postępu biotechnologii. Zjawisko to dziś się nasila. Słysząc czasem, że globalizacja ma same tylko wady. Wcale tak nie jest. Kiedy mamy „Europę ojczyzn”, oznacza to, że w jednej ojczyźnie nie wolno pewnych rzeczy robić, ale w drugiej już tak, bo ich nie zakazano; wystarczy przenieść się kilkaset kilometrów dalej. W niektórych stanach Ameryki robi się doświadczenia, które w innych stanach są zabronione; stan taki sprzyja różnym nadużyciom. Mówiłem już panu o opatentowaniu genomu ludzkiego, co uważam za otwarcie wrót na nieprawdopodobnie wielką przestrzeń możliwych występków przeciwko integralności i godności człowieka. Skutki szczegółowe są nie do przewidzenia.

Równocześnie, ze względu na wspomniane drapieżcze zachowanie się wielkiego kapitału, wszelka abominacja, nawet przez największe autorytety wyrażana, wszelkie retorsje czy moralizowanie typu kościelnego okażą się całkowicie nieskuteczne i bezradne. Zjawisko to wydaje mi się nieuniknione, co nie znaczy, że napawa mnie ono nadzwyczajną satysfakcją. Chcę to wyraźnie podkreślić, by uniknąć ewentualnych nieporozumień. Kiedyś Kołakowski nazwał mnie wybitnym ideologiem technokracji. Odpowiedziałem mu, że w takim razie epidemiolog, który wykląda o chorobach zakaźnych, z cholera i dżumą na czele, nazwać by trzeba wybitnym ideologiem powszechnej pandemii. To jest po prostu nonsens! Ja tylko przewiduję niebezpieczeństwa i obawiam się, że będą one, niestety, owocowały trudnymi do przewidzenia skutkami.

— *A* czy pokusiłby się pan o prognozy bardziej dokładne?

— Uszczegółowienie prognoz jest niezwykle trudne — o tym też rozmawialiśmy. Angielski astronom królewski miał nieszczęście na progu XX wieku powiedzieć, że lot maszyny cięższej od powietrza nie jest możliwy; w pięć lat potem bracia Wright już latali... Gdyby ktoś jednak nawet wygłosił wtedy prognozę przewidującą możliwość lotu takich maszyn, na pewno nie zdołałby precyzyjnie przepowiedzieć, że za kilkadziesiąt lat będą istnieć samoloty śmigłowe i turbośmigłowe, i odrzutowce, i jumbo jety, które po pięćset osób wożą jednorazowo przez Atlantyk... Można postawić kierunkowskaz, ale nie da się wejść w szczegóły.

Wracając do tematu: przeprowadza się już operacje mikroangioplastyczne, dokonywane przez roboty, choć oczywiście pod kontrolą ludzi. Każdemu człowiekowi, nawet najlepszemu chirurgowi, może o milimetr zdrzeć ręka — dobrze wykonane urządzenie automatyczne jest przed takimi uchybami zabezpieczone. Mówi się też o zupełnie nowych

metodach chirurgicznych, i tak dalej — ale to już szczegóły. Jednak rozmaite nowe rodzaje interwencji w organizm ludzki, na czele z najtrudniejszym do osiągnięcia i wciąż nam tylko obiecywanym rozwinięciem frontu farmakopei molekularno–atomowej, która będzie za kołnierz łapała poszczególne wirusy, to jest jeszcze wciąż przyszłość. To nic, że gazety o tym piszą, jakby chodziło o rzecz dnia dzisiejszego. Nadmierna skłonność do sensacji cechuje także dziennikarzy pisujących o sprawach nauki. Może to być bolesne dla osób dotkniętych jakąś nieuleczalną chorobą albo mających chorego pośród najbliższych: obiecuje im się złote góry już za dziesięć lat, a oni wiedzą, że tego nie doczekają... Kupiłem specjalnie numer „Sterna” z wielkim tytułem: *Koniec reumatyzmu*. Owszem, ten koniec pewnie przyjdzie, ale jeszcze go nie widać.

Oczywiście, postęp nauki nie jest równomierny, dokonuje się skokowo, czasem jakby wielkimi susami. Ostatnio mówi się — brzmi to moim zdaniem niebezpiecznie — o dokładnym określeniu różnicy między substancją dziedziczną człowieka i wyższych małp. Doświadczenia w tej materii robiono już trzydzieści lat temu w Związku Sowieckim, ale oni wtedy po prostu próbowali nasieniem ludzkim zapładniać małpy. Chwała Bogu, nic z tego nie wyszło, co jednak jeszcze się zdarzy — nie wiadomo, i należy tutaj zachować nadzwyczajną ostrożność.

Podsumowując: chodzi o olbrzymi front, w którego kręte meandry zapuścić się nie śmiem, byłoby to zbyt dowolną akrobacją parterową. Druga natomiast kwestia, którą tutaj chciałem poruszyć, dotyczy współczesnej fizyki i mikrofizyki. Z kwestią poprzednią jakoś się ona wiąże, ponieważ zejście wielkiej syntezy farmaceutycznej na poziom molekuł i atomów w sposób oczywisty łączy biologię z fizyką — cząstki elementarne to przecież jej domena. Zachodzi więc tutaj zlewanie się różnokierunkowo płynących rzek badawczych i powstaje olbrzymie dorzecze.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że bardzo daleko jeszcze — wbrew licznym głosom — do zakończenia budowy teoretycznej mikro— i makroświata, do chwili, w której moglibyśmy powiedzieć, że wiemy już mniej więcej, co i jak, i że wszystko rozumiemy. Osobiście sędzę, choć umotywić tego nie potrafię, że od dawna poszukiwana cząstka elementarna, tak zwany bozon Higgsa, w ogóle nie istnieje. Bozon ten jest fizykom potrzebny, ponieważ matematyczna struktura istniejącej teraz chromodynamiki kwantowej przedstawia się, mówiąc obrazowo, jak wielka, skomplikowana stalowa konstrukcja, w której ziele dziura, i cząstka taka dziurę tę by wypełniła. Nie mamy nic lepszego niż teorie, nie możemy jednak nic lepszego robić, aniżeli nieustannie je weryfikować, nie powinniśmy natomiast przysięgać na ich niezawodność.

Lista problemów otwartych jest w tej dziedzinie długa. Sprawa grawitacji: ostatnio rozlegały się wśród fachowców głosy, że wszechświat będzie się coraz bardziej, nieskończenie rozszerzał, ponieważ oprócz sił przyciągania, czyli grawitacyjnych, istnieją jakieś siły odpychania się na olbrzymie odległości. Sprawa, którą zajmował się między innymi nasz astrofizyk Bohdan Paczyński, pracujący w Princeton, czyli rozbłyśki gamma — ich spójna moc nieraz przekracza całe promieniowanie sfery niebieskiej, tyle że chodzi o rozbłyśki bardzo krótkie. Zagadka ich też nie została przekonująco wyjaśniona, aczkolwiek prób takiego wyjaśnienia jest mnóstwo.

— *Czym się ich pochodzenie tłumaczy?*

— Mówiono między innymi o kollapsarach, o wybuchach supernowych, a nawet o tym, co Drodze Mlecznej grozi już za dwa miliardy lat, mianowicie o zderzeniu galaktyk. Droga Mleczna ma się zderzyć z Andromedą: nie czołowo, lecz skośnie, ale to wszystko jedno. Gwiazdy się nie zderzają, ale zderzenie się obłoków międzygwiazdowego gazu powoduje straszliwe promieniowanie, które by nam bardzo zaszkodziło. Na szczęście życie na Ziemi zakończy się wcześniej, kiedy Słońce wypali swój wodór i stanie się czerwonym olbrzymem, swoją średnicą pochłaniającym orbitę ziemską... Tak więc to, co się stanie za kilka miliardów lat, nie powinno być naszym głównym zmartwieniem.

— *Miliardy lat to rzeczywiście zbyt długa perspektywa. Każdego najbardziej interesuje jego własne krótkotrwałe istnienie — czy uda się je przedłużyć?*

— Rozmaici dziennikarze i niedziennikarze z Niemiec czy Austrii pytają mnie, czy będzie można przedłużyć wiek dojrzały. Nie starość! — starość już się nam przedłużyć udaje, ja sam, łykając codziennie mnóstwo pigulek, żyję o kilka lat dłużej niż mój ojciec. Każdy jednak chciałby w wieku lat sześćdziesięciu zachować sprawność trzydziestolatka. Na pytania tego rodzaju uczciwie odpowiedzieć się nie da, aczkolwiek można mnożyć obietnice. Człowiek jest wprawdzie zbudowany z atomów i molekuł, wszystko to razem daje jednak wypadkową, która jest czymś więcej niż sumą poszczególnych składników.

Jak się zna trochę podstawy na przykład fizyki ciała stałego, to się wie, jak mało wiemy. Richard Feynman wspominał, że gdy trzeba było stwierdzić praktycznie, który pierwiastek pochłania największą liczbę powolnych neutronów, szczególnie skutecznych w inicjowaniu zapłonu nuklearnego, to się okazało, że teoretycznie tego obliczyć się nie da. Amerykanie brali po prostu iryd, pallad, cynk, miedź i tak dalej i sprawdzali ich przydatność doświadczalnie. W rezultacie okazało się, że pierwiastkiem najlepiej wyhamowującym neutrony jest kadm, i dlatego zastosowano tak zwane blendy kadmowe — jeszcze się je zresztą stosuje.

— *Czyli że szukanie sposobu na naszą sprawną długowieczność także odbywać się będzie raczej metodami eksperymentalnymi?*

— Raczej tak. Wracając zaś do kosmologii: wielkiemu, chociaż dosyć powolnemu zaburzeniu uległ obraz wszechświata, który za moich młodych lat wyglądał jak gigantyczny, statyczny i ustabilizowany zegar. Teraz okazuje się on raczej burzliwym ognistym piekłem, w którym galaktyki się zderzają, supernowe wybuchają, i tak dalej. Wspomniałem tu już o okładce najnowszej mojej książki, zatytułowanej *Okamgnienie* — w tytule chodzi o trwanie cywilizacji ziemskiej. Zmontowaliśmy tę okładkę z dwóch zdjęć z archiwum NASA, przedstawiających Ziemię nad horyzontem Księżyca. To bardzo piękny i poruszający widok, który spowodował, że jeden z Amerykanów uczestniczących w wyprawie „Apolla” nawrócił się i przez wiele lat oddawał medytacji.

Inna rzecz, że nie widzę wielkiej przyszłości dla wypraw kosmicznych, z uwagi przede wszystkim na to, że dłuższy pobyt w kosmosie okazuje się dla naszych organizmów bardzo szkodliwy. Jesteśmy stworzeniami ukształtowanymi i wyewoluowanymi na Ziemi, dlatego kosmos nam szkodzi: promieniowaniem, brakiem ciężenia, odwapnieniem kości, a co najgorsze — przyspieszeniem starzenia się, co widać wyraźnie po rocznym już pobycie. Wiemy więc, jak starzenie się przyspieszyć, nie umiemy go, niestety, spowolnić.

Przejsć na koniec chciałem do rzeczy zupełnie osobnej, a wymagającej pieczołowitej uwagi; sporo o niej już tu zresztą powiedzieliśmy. Myślę o najszerzej pojętej sferze medialnej. Nie chodzi mi o dziecinady w rodzaju polowania na pornografię taką czy owaką. Tak się jednak ostatnio złożyło, że mój sekretarz przez kilka dni chorował, i ja, ponieważ nie umiem obsługiwać komputera, miałem dużo wolnego czasu. Siedziałem więc przed telewizorem i oglądałem programy amerykańskie, niemieckie i angielskie. Nie mogę uwierzyć, by masowy mord, na wszystkich moich dwudziestu dwóch kanałach nieustannie obecny, nie wpływał kształtujące, czy raczej deformujące na umysły młodociane.

Zastanawiałem się też w kategoriach bardziej ogólnych nad przebijającym z ekranu ubóstwem fabularnej wynalazczości. Na początku jest zawsze jakiś zły czyn, potem dochodzi do identyfikacji sprawcy i ewentualnie jego schwytania. Dlaczego nic innego nie przychodzi wielkim imaginatorom telewizyjnym na myśl — nie wiem i zrozumieć nie potrafię. Powoływanie się na popyt publiczny niczego nie tłumaczy. Jestem przekonany, że gdyby dozwolnić na pokazywanie w telewizji masowych gwałtów i orgii, popyt na nie też okazałby się znaczny — dotąd jednak na szczęście nie ośmielono się takich numerów robić.

To mi przypomina, że podczas choroby mojego sekretarza zadzwonił z „Odry” Mariusz Urbanek, bym jak najszybciej wysłał kolejny odcinek *Rozważań sylwicznych*.

Wydało mi się wskazane, by w paru słowach — więcej nie warto — wejść na teren z wielkim nabożeństwem w ostatnich numerach tego miesięcznika uprawiany; myślę o wskrzeszeniu uczonej i świątobliwej sadologii. Pewien Francuz słusznie powiedział: „*Pas mai, mais trop de merde*”. Jako człowiek, który czyta wszystko i wszystkiego jest ciekaw, mam sześciotomowe niemieckie wydanie wyboru pism de Sade’a, a także, osobno. *Filozofię w buduarze* i — po polsku już — *720 dni Sodomy*. Nigdy jednak nie dojechałem dalej niż do dwudziestej którejś strony ostatniego ze wspomnianych dzieł, bo ilości kału i uryny, które tam się z największym smakiem spożywa, wydały mi się ciekawe, ale wyłącznie w kategoriach psychopatologii. Koprofagia, koprolalia, koprofilia, ury nolubstwo — iż tego wytwarzają się odpowiednie powiewy filozoficzne, dosyć smrodliwe.

Całe pisarstwo de Sade’a zakwalifikował, jak Pan Bóg przykazał, Camus we wstępie do *Justyny*: spokojnie i rzeczowo napisał tam, że Sade był bardzo miernej klasy beletrystą, ale za to wielkiej klasy zwyrodnialcem. Siedział w Bastylji, w kamiennych murach nic jego chuci nie hamowało, wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach i mógł zapełniać całe metry słynnego zwoju, na którym spisywał *Sodomę*. Strasznie się przy tym, biedak, umęczył, i pod koniec tego ogromnego dzieła kolejne zbrodnie jedynie streszczał. Są teksty pornograficzne, przez które można przebrnąć, ale Sade to nie jest właściwie pornografia, tylko ilustracja do podręcznika patologii seksualnej. W życiu prywatnym nie okazywał się on zresztą świnią: swojej teściowej, która pomagała zamknąć go w Bastylji, w czasie rewolucji wcale nie zaszkodził...

— Ten wątek nie jest chyba w naszej rozmowie całkiem przypadkowy: w „Opowieści drugiego odmrożenia”, paszkwila na współczesną cywilizację Zachodu, uczynił pan Sade’a — czy też Zada — jej patronem.

— Istotnie; zostawmy jednak nieszczęsnego markiza w pokoju, zmierzać chcę do podsumowania. Powiedziałbym tak: te trzy wielkie dziedziny — technologia życia, wkraczająca, niestety, inwazjami w człowieka, następnie kosmologia z fizyką i wreszcie świat medialny — wymagają jakichś działań, na które, prawdę powiedziawszy, nikogo nie stać, ponieważ nad państwami nie ma żadnej prawdziwej zwierzchności ani instancji. Dobrze to pokazują sumy, jakie Ameryka winna jest Organizacji Narodów Zjednoczonych — to już bodaj miliardy nie zapłaconych składek; ONZ niewiele znaczy. Nie tęsknię zresztą do światowego superpolicjanta, który wprowadzałby zakazy albo cenzuralne represje, marzyłoby mi się raczej promowanie tego, co lepsze. To jednak marzenie ściętej głowy. Nie wierzę też w porzekadło, wedle którego *vox populi* to *vox Dei*, a kiedy społeczeństwo coś powie, to przemawia przez nie mądrość głębina. Zdrowy rozsądek i rozum zdają mi się dzisiaj

znajdować w odwrocie.

## ROZMOWA SZESNASTA

O radosnych nonsensach i mniemanym końcu nauki

— W recenzjach z pańskiego „Okamgnienia” pojawiał się często zarzut, czy może raczej konstatacja, że z prometejskiego wyznawcy nauki stał się pan zdeklarowanym pesymistą cywilizacyjnym. Czy tak jest w istocie?

— Nazwałem kiedyś siebie „optysemistą” i wolę pozostać przy tym określeniu. Mam wrażenie, że dobrze będzie zestawić skrajnię poglądów optymistycznych na możliwości, jakie kryje w sobie przyszłość, ze skrajnią poglądów pesymistycznych. Co do tej pierwszej: „Spiegel” publikuje osobną serię, zatytułowaną *Świat w XXI wieku*. W odcinku poświęconym biologii badacze obiecują znaczne przedłużenie życia. Są szczegóły: na przykład artykuł o specjalnych koktajlach złożonych z hormonów, które udoskonali sprawność umysłową i fizyczną w późnym wieku. Jeśli chodzi o odtwarzanie pamięci — chytre i zmyślne dzięki genetycznym zabiegom ślimaki zapowiadają mają rychłe nadejście pigułki, która zagwarantuje szybkie i sprawne myślenie.

— ***Czy pigułka będzie wyrabiana z tych ślimaków?***

— Nie, na razie dla nich jest przeznaczona. Ale, jak nas zapewniają autorzy artykułu, już niedługo i my się jej doczekamy. Najwidoczniej ich zdaniem my też jesteśmy rodzajem ślimaków. W dziedzinie genetyki — pewna badaczka hoduje stadko niezmiernie witalnych starców. Te witalne zgredy to na razie nicienie, rodzaj robaków, ale ludzie czekają już w kolejce.

To jest więc ta skrajnia optymistyczna, którą osobiście uważam za zbiór różowych i radosnych, ale jednak nonsensów. Natomiast *Koniec nauki*, książka, którą napisał John Horgan, były redaktor „Scientific American”, a wydał po polsku Prószyński, zmierza w przeciwną stronę i przynosi obraz nadzwyczaj ponury. Wystarczy przeczytać tytuły kolejnych rozdziałów: mamy tu najpierw „Koniec postępu”, potem „Koniec filozofii”, „Koniec fizyki”, „Koniec kosmologii”, „Koniec biologii ewolucyjnej”, „Koniec nauk społecznych”, „Koniec neurobiologii”, „Koniec nauki o chaosie”, a w epilogu — „Przerażenie Boga”. Otóż mówiłem już panu, że bardzo niechętnie widzę próby dokonywania pewnego rodzaju mieszanki firmowej, w której naukę łączy się z Panem Bogiem. Sprawy teologii to jedno, można doprowadzić do tego, żeby jej stosunki z nauką przebiegały bezkolizyjnie, ale ani nauki podpierają Panem Bogiem, ani Pana Boga podpierają nauką nie potrzeba.

Specjalnie zirytowało mnie w tej książce, że jest ona jakby ekstraktem amerykańskości. Horgan chodzi od jednego wybitnego uczonego do drugiego, wybierając przeważnie noblistów. Znalazł się w tym gronie pochwycony tuż przed śmiercią Kari Popper, a także Paul Feyerabend czy Thomas Kuhn. Każdego z nich autor opatruje efektowną, ale dosyć pustą etykietą; Kuhn to dlań na przykład „więzień własnego paradygmatu”, Richarda Dawkinsa nazwał mało grzecznie „gończym psem Darwina”. Jaki on tam pies, on po prostu należy do neodarwinistów! Popperowi stawia Horgan podczas rozmowy jedno tylko pytanie: „Czy falsyfikowalność jest falsyfikowalna?” Z pozoru wygląda to jak pytanie, czy negację można zanegować. Zanegowanie negacji daje oczywiście znak pozytywny, ale falsyfikacja falsyfikacji jest w rozumieniu współczesnej metodologii nauk zagadnieniem postawionym najzupełniej bez sensu. To bardzo charakterystyczne, że mając przedustawnie założoną koncepcję, autor stara się, mówiąc krótko, złożyć naukę do grobu. Hawking powiedział o tej książce: *It is rubbish*, to są śmiecie — tak, to są śmiecie. Sięgając w dziedzinę sztuki: gdyby ktoś chodził od Ravela do Bacha, a od Bacha do Brahmsa, i pytał każdego, czy jest jakiś dalszy ciąg rozwoju muzyki po nich, każdy zapewne uznałby, że jego własne dzieło stanowi czołówkę i trudno sobie wyobrazić, by kompozytorskie ciężkie roboty wiele dalej postąpiły. Tego rodzaju pytania są niesmaczne, nie powinno się ich zadawać.

Oczywiście nauka jest zawsze w biegu, i każdy, największy nawet, jej przedstawiciel, jak Einstein, nie może powiedzieć po prostu, że się na nim wszystko kończy, a jeżeli ktoś z faktu, że teoria względności opiera się krytykom, wyprowadza mniemanie, że jest ona wiekuiście ważna — jest to mniemanie dosyć śmiałe. Znajdujemy się w ciągu przyspieszenia. Przyspieszenie tego rodzaju ilustruje tak zwana krzywa logistyczna. Ma ona kształt wyciągniętej litery „s”: najpierw rozwija się bardzo powoli, potem następuje gwałtowny wykładniczy wzrost, a następnie — saturacja, czyli nasycenie. To by z grubsza odpowiadało wyobrażeniu Horgana. Tak jednak w nauce nie jest. Wszystkie jego obserwacje, w których dostrzega koniec, mijają się z rzeczywistością. Nie jest ani tak, żeby te wszystkie hurraoptymistyczne prognozy o stuczterdziestoletnich starcach, którzy będą fikali koziołki, miały się ziścić, ani tak, żeby biologia ewolucyjna miała się kończyć.

Książka Horgana stanowi ciekawe połączenie nihilizmu z postawą typowo amerykańską: jak ja się do czegoś wezmę, załatwię to raz na zawsze. Przypomina w tym trochę mojego *betę noire*, Hermana Kahna; on z równie wielkim przekonaniem i pewnością siebie wypowiadał prognozy, które się wcale potem nie sprawdzały. Kiedy jestem w ponurym nastroju, sięgam czasem do jego książek, by stwierdzić, że pomylił się na ogół w stu przypadkach na sto; to mnie trochę rozwesela.

— *A czy to się nie wiąże z brakiem wyobraźni? Wśród tytułów dzieł, jakie można by dziś napisać, wymienił pan niedawno i taki: „O konstrukcjach i syntezach, jakich nie jesteśmy sobie w stanie dziś wyobrazić”. Postawa Horgana ignoruje możliwość istnienia perspektyw dziś w ogóle nieprzewidywalnych.*

— Nie ulega wątpliwości, że istnieją jakieś nie znane bliżej granice imaginacyjnej mocy czy zdolności ludzkiego umysłu, mają jednak zupełnie inny charakter aniżeli granice wydatków na naukę, które wyznacza na przykład Kongres Stanów Zjednoczonych. Tymczasem dla Horgana jednakową przeszkodą jawi się ograniczenie naszego umysłu — i to, że Kongres nie da pieniędzy. Przecież nie można tego porównywać! Stawia się na jednym poziomie to, co jest dzisiaj możliwe, z tym, co jest dzisiaj finansowalne. A przecież wiadomo dziś, że dochód narodowy wszystkich krajów świata nie wystarczyłby na przekształcenie Marsa w planetę nadającą się do zamieszkania. Niezbędne byłyby jakieś — nie istniejące! — kwadryliony dolarów.

Horganowi marzy się koniec wszystkiego — ta tendencja do „załatwienia” nauki, ten radykalizm wydaje mi się bardzo amerykański. Trochę jak z Fukuyamą, który chciał skończyć historię i wmówić nam, że po upadku systemu komunistycznego będziemy się już tylko pławić w spokoju, a teraz na wszystkie sposoby usiłuje przeinterpretować i przezasadnić swoją koncepcję, żeby jednak wyszło na jego... Ja się natomiast zgadzam z ciemnocnym sekretarzem ONZ, który powiedział, że niebezpieczeństwo światowej wymiany ciosów nuklearnych nie zmalało, lecz wzrosło, ze względu na rozproszenie nuklearnego arsenału. Udzielając w 1994 roku wywiadu młodemu filozofowi niemieckiemu, powiedziałem między innymi, że prawdopodobieństwo użycia energii atomowej jako broni z wolna rośnie. Jestem po prostu bardzo przekonany do koncepcji probabilizmu: im dłużej istnieje pewna możliwość, tym większa jest szansa jej mniej lub bardziej szalonego ziszczenia, zwłaszcza że ludzie lubią rzeczy szalone, i chętnie je robią.

Horgan chce oddzielić to, co abstrakcyjno—teoretyczne i co on nazywa „nauką czystą”, od tego, co jest jej technopłodami — czy to jest biotechnika, czy to jest opanowanie przestrzeni kosmicznej, czy to jest przekształcenie Marsa w teren kolonizacyjny. Twierdzi, że to już nie jest nauka. W moim rozumieniu odpowiada to — z pewnym dosyć grubym przybliżeniem — rozdzielaniu funkcji działania rąk od funkcji działania nóg. Rzecz jasna nie możemy powiedzieć, że ręce są rodzajem nóg, ani odwrotnie, ale ich funkcjonowanie ma wiele cech wspólnych. Z nauki wypączkowują pewne technologie, które zyskują wsparcie myślenia ścisłego, a czasem to myślenie napędzają. Te procesy w dużym procencie mają charakter zwrotny.

— Czy taki radykalizm nie płynie po prostu z mody? Mamy koniec tysiąclecia, modne są wszelkie podsumowania, najlepiej więc podsumować i naukę, problem zamykając.

— Właśnie, Horgan już nawet stawia nagrobki poszczególnym jej dziedzinom! Popper dosyć się na niego zirytował, ponieważ pytanie o to, czy falsyfikowalność jest falsyfikowalna, nie ma po prostu sensu. Falsyfikacja miała swoich krytyków, należeli do nich na przykład Lakatos czy Feyerabend, zbuntowany uczeń Poppera. Są tu pewne skrajności wewnątrz filozofii; na przykład Feyerabend był rzeczywiście anarchistą filozoficznym, twierdził, że *anything goes* — każda metoda jest dobra, jeżeli prowadzi nas do celu.

Czy w ogóle można oddzielić to, co jest naukowe, od tego, co tylko techniczne? Czy można oddzielić nóż od chleba? Wydaje mi się to niemożliwe. Problem łączy się zresztą także i z tym, co głoszą hurraoptymiści w rodzaju popularyzatorów ze „Spiegła”. Cała koncepcja tego nieomalże uwiecznienia indywidualnego życia ludzkiego załamuje się, kiedy się wykracza poza ewentualność wykorzystania — dzięki klonacjom i tak dalej — składów narządów takich jak serce, nerki itd.

Nie można w żaden sposób pominąć faktu, że życie — w największym uproszczeniu, ale sięgającym istoty rzeczy — jest zawsze przekształcaniem przez ustroje żywe, od najprostszych bakterii aż do ludzi, jakiejś stawy będącej materią uporządkowaną wyżej w uporządkowaną znacznie gorzej. Następuje więc zawsze wzrost entropii, i to odpowiada najbardziej ogólnie wziętej zasadzie panewolucyjnej. Uczynię tu ekskurs w stronę kosmosu: podobnie gwiazdy na głównym ciągu Hertzsprunga—Russella powstają, rodzą się, dojrzewają, rozrastają się, rozpalają się i rozjaśniają dzięki przemianie wodoru w hel, a potem helu w węgiel, i tak dalej, a potem albo, jeśli są bardzo wielkie, większe od masy słonecznej, dochodzą kresu jako nowe i supernowe i zmieniają się albo w brunatne, albo w białe karły, albo — jeśli mają dostateczną masę pozostałą po eksplozji — zapadają się w czarne dziury. Ten główny ciąg ewolucji jest już dobrze rozpoznany. Dotyczy to właściwie tak samo, tylko na małą skalę, obiegów planetarnych. Już teraz wiadomo, że Księżyc powstał dzięki zderzeniu jakiegoś ciała niebieskiego z Ziemią. Ciało to wyrwało z gorejącej jeszcze Praziemi znaczną jej część, która pod wpływem siły ciężenia uformowała się i krążyła najpierw blisko, a teraz oddala się od nas od czterech do dziewięciu centymetrów w roku. Księżyc, dzięki temu, że jest największym satelitą w całym Układzie Słonecznym, bardzo skutecznie stabilizuje nachylenie osi ziemskiej do płaszczyzny ekliptyki, dzięki czemu Ziemia nie koziółkuje, jak to niektóre inne planety robią; tym samym Księżyc chroni biosferę. Po wtóre, Jowisz działa jak odkurzacz kosmiczny, skutecznie bowiem odchyła drogi rozmaitych krążących w przestrzeni kosmicznej odłamów ciał — planetoid czy meteorów — i zmniejsza

niebezpieczeństwo zabójczych dla życia udarów z Ziemią. Udar naprawdę zabójczy dla wielkiej części życia na Ziemi zdarza się mniej więcej raz na pół miliona lat; martwić się można, jeśli ktoś ma po temu skłonności, ale nie jest tak źle.

Życie jest to zimne spalanie, odbywające się dzięki enzymom. Pozbawienie dopływu glukozy przez krew do mózgu przynosi zagładę mózgu w ciągu sześciu minut. Stale powstają pewne wydaliny, które w większości opuszczają nasz organizm jako ekskrementy, ale w drobnej części osiadają jako złogi i odpadki, powodując na przykład miażdżycę układu naczyniowego. Otóż można zmienić serce, ale całego układu naczyniowego zmienić nie sposób. Gdyby wszystkie naczynia znajdujące się w ludzkim ciele wypreparować i utworzyć z nich linię ciągłą, liczyłaby ona kilometry. Z drugiej strony, trzeba sobie powiedzieć, że wystarczy jedna, w przykrym dla człowieka miejscu pęknięta tętniczka w mózgu, żeby nastąpiło porażenie i śmierć. Tego niestety przewidzieć nie bardzo się da.

Można natomiast stwierdzić, jaki jest genomowy skład osób mających po sto dziesięć lat i zachowujących przy tym dużą jasność umysłu i sprawność fizyczną, i ewentualnie w przyszłości stosownie przestrajać geny ich potomstwa. Natomiast zarówno produkowanie geniuszów, jak i obdarzanie stu—dwudziestoletnich ludzi sprawnościami umożliwiającymi akrobację parterową i napowietrzną to sen błogi naiwnych utopistów.

Utopiści należą do dwóch rodzajów: są utopiści pełni optymizmu, którzy obiecują złote góry, i dystopiści, co produkują czarne scenariusze — wszystko się skończyło, nic się już nie da zrobić. Postawa pesymistyczna nie jest tak do końca wyzbyta podstaw i przesłanek, ze względu na to, że jako istoty żywe, wyposażeni jesteśmy w określone oprzyrządowanie, przystosowane do środowiska, w którym żyjemy. Nie jesteśmy przystosowani ani do temperatur gwiazdowych, ani do zjawisk zachodzących w dziedzinie kwantowej, i żeby dojść tu albo tam, musimy wysyłać — że się tak w cudzysłowie wyrażę — macki matematyczne, pozwalające nam to i owo wykryć. Uzyskane w ten sposób wyniki ulegają potem próbom falsyfikacji — ale upośrednienia falsyfikacji są coraz bardziej skomplikowane i zawodne. Trochę tak, jakby ktoś chciał za pomocą coraz dłuższych, stopniowo dosztukowywanych i coraz bardziej skomplikowanych szczypiec naprawiać z Ziemi znajdujący się na Księżycu zegarek. Łatwo zrozumieć, jak to jest zawodne i jak wiele rozmaitych prób należałoby wykonać, aby nam się choćby wydawało, że operacja się powiodła; żadnej bowiem pewności mieć nie można. W zgrabnych i świetnie sporządzonych wykładach o mechanice kwantowej dla filozofów ks. Michał Heller powołuje się na kilka rozmaitych odmian interpretacji obiektów kwantowych, które mają to do siebie, że są wprawdzie wszystkie sprowadzalne ostatecznie do wyników doświadczeń, ale przestrzenie, w których się to dzieje, są to

przestrzenie rozumiane matematycznie. Jedyna przestrzeń nie rozumiana matematycznie i topologicznie to jest przestrzeń, jaką postulował Richard Feynman — wielki umysł fizyki amerykańskiej.

To, którą drogą kto się udaje w kierunku kwantów, zależy już w bardzo dużej mierze od indywidualnych predyspozycji umysłowych i oczywiście od wiedzy, jaką się nabyło. Zapomina się przy tym na ogół łatwo, do jakiego stopnia jesteśmy istotami społecznymi. Człowiek od urodzenia izolowany od wpływów innych ludzi — nauczycieli, autorytetów — nie może zostać samodzielnie twórcą jakiejś mniej lub bardziej odkrywczej koncepcji z zakresu nauk ścisłych. Ta strona „owadzio—mrowiskowo—instynktowa” naszych indywidualnych poczynań jest bardzo silnie wyprowadzana poza nawias, jako mało istotna — ale to nieprawda, ona jest ważna!

Samo zagęszczenie liczby pracujących naukowców stwarza merytorycznie pozanaukową potrzebę wyróżniania się w tłumie. Stąd powstają hipotezy często dość szalone i ryzykowne, na samym skraju nauki ścisłej i fantazmatów. Rozpościera się tam szara strefa, której żadnym nożem wyraźnie odciąć się nie da. Ze względu na to nie jest ani tak źle, jak to przedstawia Horgan — nie ma mowy o żadnym końcu nauki! — ani tak dobrze, jak twierdzą ci, którzy już dzisiaj zabierają się w Ameryce do przyszykowania recepty na nieustającą długowieczność i sprawność.

— Ci ostatni w znacznej mierze zapełniają jednak szpalty rozmaitych dodatków naukowych w codziennych gazetach, media bowiem i w tej dziedzinie domagają się sensacji, co tydzień powinna pojawić się jakaś rewelacja.

— Co tydzień potrzebna jest rewelacja, a co za tym idzie — odpowiednia wierszówka... Skrajności, pomiędzy którymi się poruszamy, przywołują na pamięć żeglugę Odyseusza pomiędzy Scyllą a Charybdą. W 2001 roku, jeśli dożyję, ukończę osiemdziesiąt lat. Nie chciałbym żyć jeszcze pięćdziesiąt czy choćby czterdzieści lat. Tempo przemian obyczajowo—społeczno—ustrojowych jest takie, że to, do czego się człowiek w młodości i sile wieku przyzwyczaił, staje się potem jakby balastem, który przecież trudno zrzucić.

— Zwłaszcza jeśli ma się szczęście albo pecha żyć w obecnych czasach. Bywały epoki historyczne, w których można było przeżyć sto lat, nie doświadczając większych zmian cywilizacyjnych.

— Czy to jest szczęście? Raczej pech. A co do przyspieszenia: dlatego właśnie mówiłem o stromym eksponencjalnym, czyli wykładniczym, momencie pędu, który wcale nie ustaje, wbrew mniemaniom Horgana. Teraz dopiero doszedłem do tego, dlaczego otwierająca moje *Dialogi* rozmowa na temat daremności prób kontynuacji osobniczego żywota przez

złożenie z atomów jest skażona skrytym błędem. Po prostu logika nasza ulega załamaniu, kiedy zaczynamy ją na siłę wpychać w świat kwantów. My już wiemy, że obiekty kwantowe nie chcą się zachowywać zgodnie z tradycyjną logiką. Nawet cały atom może znajdować się w dwóch miejscach naraz, o ile one nie są od siebie za bardzo oddalone; przez tak zwane szczeliny Josephsona mogą przepływać ładunki, trochę tak jak duchy — przez ścianę. Nikt przecież nie może przejść przez ścianę, będąc człowiekiem albo psem — a poszczególne atomy mogą dokonywać tych sztuk. Wynika stąd, że logika, jaką się w moim dialogu posługiwałem, musi ulec unieważnieniu, ponieważ nie uwzględnia kwantowo—statystycznej natury podwalin, które stanowią opokę indywidualnego istnienia. To jedna sprawa. A druga jest taka, że życie — każde życie! — żywi się w pewnym sensie porządkiem informacyjnym i ten porządek spala, ale takie spalanie zawsze musi dawać pewne efekty w postaci po prostu wydalin, popiołów. Tego nie można za pomocą żadnych technologicznych czy biotechnologicznych zabiegów usunąć.

Nie należy, jak sędzę, ani malować czarnego diabła na ścianie, ani uważać, że jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni samymi aniołami, które tylko czekają na skinienie czarodziejskiej różdżki. Napisałem w *Okamgnieniu*, że nie wierzę w doczesne zbawienie wiekuiste. Tak, nie wierzę! Ono jest po prostu niemożliwe. Można wymienić serce, nerki czy nawet płuca, ale nie można wymienić całego układu naczyniowego czy systemu nerwowego, na czele z mózgiem. Gdyby zaś dało się wsadzić do naszej czaszki inny mózg — pojawi się wtedy zupełnie inna osoba, inny człowiek. To jest jakaś *contra—dictio in adiecto*. Istnieje granica nieprzekraczalna i nie oznacza ona żadnego „końca nauki”, lecz jedynie koniec pewnych możliwości, jakie daje nam przyroda, której dziećmi czy też prawnukami jesteśmy.

Nieprzyjemne było dla mnie w recenzji inteligentnego faceta, jakim jest Wojciech Orliński, nazywanie rozmaitych rzeczy, o których pisałem w *Okamgnieniu*, anegdotami. Rozumując w ten sposób, wymyślenie przez Einsteina teorii względności także można uznać za anegdotę, a właściwie dwie anegdoty: jedna to będzie ogólna teoria względności, druga — teoria szczegółowa. Dzieje poznania wszechświata składałyby się z samych anegdot, a historia byłaby zbiorem anegdot obficie pokropionych krwią.

W *Okamgnieniu* chodziło mi o konfrontację pewnych bardzo dawno przeze mnie wymyślanych czy wyfantazjowywanych możliwości z tym, co zostało urzeczywistnione. Chciałem też zobaczyć, jak to urzeczywistnienie się dokonało, czyli, krótko mówiąc, jak brzydki użytek potrafią ludzie robić z czegoś, co w przewidystycznym spojrzeniu wydaje się rzeczą wspaniałą, niezwykłą i podnoszącą nie tylko na duchu.

Nie będąc na szczęście przywiązany do żadnego wózka, uważam za szczególnie

denerwujące dla ludzi, którzy żyją w takich warunkach jak niemiecki polityk Schauble, sparaliżowany od czasu zamachu na jego życie, że wciąż muszą czytać o tym, jak to już niedługo metody wypróbowane na nicieniach przeniesione zostaną na człowieka, dzięki czemu połowiczny paraliż ustąpi, a na dodatek zwyciężymy raka. Nie jest to w zupełności niemożliwe, ale chodzi o sprawy, które dotyczą raczej przyszłych wieków.

Z faktu, że uprawia się biegi na krótką metę, stu—, dwustu—, nawet i czterystumetrówki, wcale nie wynika, że niemożliwy jest maraton. Ośmielę się nawet powiedzieć, że rozumiem intencje Horgana, który chciał naukę załatwić i złożyć do grobu; rozumiem bowiem potrzebę zabłyśnięcia, choćby i jako czarna kometa. Kiedy się głębiej zastanowić, falsyfikacjonizm falsyfikacjonizmu, o który Horgan nagabuje Poppera, jest nonsensem, propozycją, która świadczy o dość wszechstronnym niezrozumieniu, czym w istocie jest ta popperowska kategoria. Istnieją rozmaite szkoły filozoficzne i w rozmaitych uchwytach starają się nadać jakiś kształt, w miarę jednorodny, światopoglądowi; świadczy to o wielości naszych ludzkich spojrzeń na świat i naszego ludzkiego rozumienia. Z tego jednak, że materia, łącząc się z antymateria, daje w efekcie anihilację, nie wynika, że zderzenie jednej szkoły filozoficznej z inną szkołą filozoficzną przynosi efekt podobny i następuje anihilacja wszystkich poglądów żywionych przez jedną i przez drugą stronę; one są często po prostu, jak się to dzisiaj mówi, niekompatybilne, i na to nie ma żadnej rady.

Oczywiście, rozmaita jest długość łańcuchów logiczno—matematycznych, które prowadzą od intuicyjnego pochwycenia pewnych koncepcji makro— i mikroświata, przeszłości i przyszłości, do jakichś teorii. Falsyfikowalność jest zawsze tylko częściowo, jak to nie tylko Lakatos stwierdził, zasadna, ponieważ każdą hipotezę, która się wydaje już sfalsyfikowana, można tak czy owak podeprzeć dodatkowymi argumentami, *ad hoc* najczęściej wyszukiwanymi. Jest taki uczoney amerykański nazwiskiem Duesberg, który do dzisiaj twierdzi, że wirus HIV nie ma nic wspólnego z chorobą AIDS i masową zagładą ponad trzydziestu już milionów ludzi! Dzięki temu, że powtarza swe twierdzenie dostatecznie uporczywie, uzyskał pewien rozgłos, choć może nie użyłbym terminu „sława”. Strategia Herostratesowa nie okazuje się i dziś całkiem bezzasadna. Ja wam spalę świątynię, wtedy dopiero dobrze mnie zapamiętacie, choć ze spalenia świątyni nic prócz zgliszczy i pożarowiska nie wynika...

Podsumowując: nauka będzie, wbrew Horganowi, istniała dalej, ludzie będą dalej umierali ze starości, choć przeciętna długość życia zapewne się zwiększy; na przykład moje życie już przekroczyło granicę wieku mojego ojca, który umarł na nagłą niewydolność systemu krążenia, a w 1954 roku, kiedy to się stało, nie było jeszcze takich jak dziś środków

zaradczych. Z tego jednak, że się one pojawiły, nie wynika jeszcze, że jak się człowiek rozpędzi, to przez wieżę kościelną przeskoczy. *Est modus in rebus*, trzeba pamiętać o pewnym pomiarkowaniu.

Nazwałem Horgana „czarną kometa”; nowe teorie pojawiają się nie tylko dlatego, że pojawiać się mogą i powinny, ale też dlatego, że są ludzie, którzy z takich lub innych powodów pragną zabłysnąć, mimo że strasznie gęsto wokół od hipotez i teorii.

Był pewien naukoznawca. Derek de Solla Price, który twierdził, że za kilkadziesiąt lat ilość informacji produkowanej przez uczonych tak się będzie wykładniczo powiększała, że albo każdy człowiek na Ziemi zostanie profesorem jakiejś dyscypliny, albo front nauki stanie się dziurawy i łaciaty. Pewne sprawy będzie się badało dalej, inne zaś się porzuci, bo nie będzie się komu nimi zająć. Rzeczywiście, wszystkiego robić nie można, ale zawsze twierdziłem, że to, co ja opisywałem, miało charakter podobny do przewodnika po Tatrach czy Alpach. Nikt przecież nie wchodzi na wszystkie szczyty, ale opisać wszystko trzeba, i mogą to być także opisy dotyczące szczytów oglądanych, lecz nie zdobytych, które kuszą szczególnie. Dotyczy to zwłaszcza nauki.

Specjalnie sceptyczny jestem, jeżeli chodzi o sztuczną inteligencję. Po pierwsze, mózg jest zbudowany zasadniczo po to, by zajmować się regulowaniem funkcjonowania poszczególnych podzespołów naszego własnego ciała. Jeżeli pan wstaje z tego fotela, potrzebna jest do tego zharmonizowana i skorelowana współpraca dwustu dwudziestu grup mięśniowych. Korelacją tą zajmuje się mózdzek, ale on równocześnie wspomaga nasze zdolności elokwencyjne; wielość zastosowań poszczególnych elementów, agregatów i modułów mózgowych musi być bardzo daleko posunięta w koherencji. Starzenie się, jakiemu podlegam, objawia się na przykład tym, że przedmioty wzięte do ręki często z niej wypadają. Przyjaciel mój opowiadał mi z kolei, jak strzaskał lustro nadjeżdżającego z przeciwka samochodu, bo na mgnienie utracił wyczucie odległości. To są drobne drgania, które wymykają się coraz częściej spod kontroli mózgu. Bardzo przekonująco brzmiał dla mnie pewien *bon mot* Tuwima: że ruch wielkowiejski jest to suma cudem unikniętych katastrof. Coś w tym jest: kiedy prowadzi się samochód, wystarczy najdrobniejszy ruch kierownicą, a zaraz zdarzyć się może straszliwa katastrofa i mordownia, choć jakoś tego na ogół unikamy.

Giedroyc napisał niedawno w „Kulturze”, jak ciężka i smutna jest długowieczność, ponieważ w rosnącej liczbie odumierają człowieka przyjaciele i samotność jego wzrasta. On sam natomiast zachowywał, mimo podeszłego wieku, zdumiewającą sprawność umysłu; nierównomierność starzenia się stanowi dar osobisty, na który na razie nie mamy wpływu.

Opowiadanie o przedłużaniu życia muszki owocowej albo nicienia czy wzmacnianiu

inteligencji ślimaków nie daje nam kolosalnej satysfakcji, nie ma bowiem takiej ilości mądrych ślimaków, której spożycie mogłoby choć o kilka centyli zwiększyć osobniczą inteligencję człowieka. Jesteśmy cholernie skomplikowanymi urządzeniami, które wytworzyła ewolucja naturalna, i usprawnienia tych urządzeń są możliwe, ale o żadnym wiecznym życiu w doczesności mowy być nie może, choć ci, którzy tak mówią, czasami w swoje słowa wierzą.

Jestem atakowany informacjami gwarantującymi istnienie nierozpoznanych obiektów latających. Mam tutaj na stole przysłany mi przedwczoraj gruby fascykuł fragmentów wyrwanych z różnych książek i pism, które świadczyć mają o tym, że nad Polską unoszą się masowo niezidentyfikowane objekty. Są tam nawet relacje osób, które miały zostać wzięte na ich pokład. Był już kiedyś niejaki Adams, który twierdził, że spotyka się z kosmitami; mówili oczywiście po angielsku z amerykańskim akcentem, ci z polskich UFO natomiast mówią po polsku... Trzymam się swego, że żadnych obiektów latających z innych planet i galaktyk nie ma i że ludzie, którzy w to wierzą, łatwo potrafią uwierzyć właściwie we wszystko. Schyłek średniowiecza i lata późniejsze, aż do XVIII wieku, znały szaleństwo bardziej ponure — pławienia i palenia czarownic, mamy nawet z tamtych czasów dokładne opisy ich zjazdów na Łysej Górze, chociaż wiemy, że żadnych czarownic nie było. Przez długie wieki jednak były one dla ludzi najzupełniej realną realnością. Dzisiaj mamy za to UFO. Byłbym zobowiązany moim czytelnikom, gdyby przestali mnie zasypywać informacjami zapewniającymi o ich istnieniu.

To dygresja, ale baśnie, którymi nas częstują jako promienną przyszłością ludzkości, wydają mi się równie nieprawdopodobne jak opowieści o złożeniu wszech nauk do ostatecznego grobu. Z tego, co pisze Horgan, wniosek byłby następujący: wszyscy uczeni idą na wcześniejszą emeryturę, litościwie przyznaną im przez odpowiednie władze państwowe... Zrównanie bariery kosztowej czy finansowej z barierą epistemologiczną — a do tego sprowadza się teza Horgana — to nonsens, w dodatku dość prymitywny.

— *Nauki więc, zdaniem pana, grzebać nie należy?*

— Nauka będzie rozwijać się dalej, życie też będzie szło dalej, choć nieśmiertelności oczekiwać raczej nie należy. Nie musimy się jednak spieszyć: wypalenie się rezerw wodoru na Słońcu nastąpi dopiero za trzy do czterech miliardów lat, mamy więc jeszcze trochę czasu na urządzenie rozmaitych awantur.

A co do mojego pesymizmu — na zakończenie zakończenia chciałbym przypomnieć książkę dawno zmarłego himalaisty nazwiskiem Smythe, zatytułowaną *Obóz szósty*. Opowiada w niej, jak ze swym towarzyszem podeszli na trzysta metrów do piramidy

wierzchołka Mount Everestu i nie mogli już iść dalej; zatrzymali się mniej więcej tam, gdzie wcześniej Irving i Mallory wydali ostatnie tchnienie. Otóż lektura tej książki dostarcza *przeżyć* znacznie bardziej intensywne niż czytanie o Hillarym i Tenzingu, którzy zwyciężyli. Tak już jest, że dramat porażki bardziej nami wstrząsa aniżeli sukces czy powodzenie.

Początek podróży.....	
Rozmowa pierwsza.....	
O pracowitym dzieciństwie, lwowskiej Arkadii i życiu poza czasem.....	
Rozmowa druga.....	
O dwóch okupacjach, wojennej pamięci i rzeczywistości w rozpadzie.....	
Rozmowa trzecia.....	
O pierwszych latach krakowskich, krętej drodze do literatury i przygodach z cenzurą.....	
Rozmowa czwarta.....	
O zagranicznych podróżach, rosyjskich przygodach i olbrzymiej kuropatwie.....	
Rozmowa piąta.....	
O przyczynach rozpadu Imperium, spotkaniu z kosmonautą i rosyjskiej dumie.....	
Rozmowa szósta.....	
O złu w historii, głupocie i prywatyzacji zbrodni.....	
Rozmowa siódma.....	
O religii, wierze, wiedzy i przywoływaniu imienia Pana Boga nadaremno.....	
Rozmowa ósma.....	
O upadku sztuk wizualnych, błędnych drogach kultury i triumfie merkantylnizmu.....	
Rozmowa dziewiąta.....	
O pornografii, pruderii i niebezpieczeństwach detabuizacji.....	
Rozmowa dziesiąta.....	
O minusach Internetu, tajemnicach ludzkiego mózgu i skrzyżowaniu technologii z biologią.....	
Rozmowa jedenasta.....	
O naprawianiu człowieka i protezowaniu organów.....	
Rozmowa dwunasta.....	
O prognozowaniu, prorocत्वach, perspektywach biotechnologii i patentowaniu embrionów.....	
Rozmowa trzynasta.....	
O zaletach energetyki jądrowej.....	
Rozmowa czternasta.....	
O nas, naszych wadach i naszych sąsiadach.....	
Rozmowa piętnasta.....	
O bliższych i dalszych perspektywach.....	
Rozmowa szesnasta.....	
O radosnych nonsensach i mniemanym końcu nauki.....	